

Jack Higgins

Zdrajca W Białym Domu

Prolog

MANHATTAN w marcu, ze wschodnim wiatrem hulaj cym po Park Avenue, zacinaj cym m awk deszczu ze niegiem, był tak ponury jak wi kszo wielkich miast po północy. Ulice całkiem wymiotło — czasem tylko przemkn ła limuzyna albo taksówka — jak to o tej porze.

W ocienionej bramie jednego z domów w rz dzie budynków biurowych i kamienic mieszkalnych stała kobieta. Miała kapelusz przeciwdeszczowy z szerokim rondem i trencz z podniesionym kołnierzem, na lewej r ce zawieszon parasolk .

W prawej kieszeni płaszczka wymacała pistolet o miostrzałowy, półautomat, kolt kaliber dwadzie cia pi , bro nietypow , aczkolwiek wielce skuteczn , zwłaszcza z przykr onym tłumikiem. Wyj ła, sprawdziła fachowo, po czym wsun ła z powrotem do kieszeni i rozejrzała si czujnie.

Naprzeciwko, po drugiej stronie Park Avenue, wznosiła si okazała rezydencja. Jej wła cicielem był senator Michael Cohan, który bawił wła nie w hotelu Pierre na balu charytatywnym, który miał si sko czy o północy. Z tego wła nie powodu czekała teraz w mroku, bo miała zamiar ni mniej, ni wi cej, tylko zastrzeli go, tam na tym chodniku.

Naraz usłyszała jakie głosy, czyj pijacki okrzyk. Zza rogu po drugiej stronie ulicy wyszli dwaj młodzie cy ubrani identycznie, w wełniane czapki, dwurz dowe kurtki i d insy. Deszcz si nasilił, jeden z nich, dryblas z brod , wypatrzył schronienie w osłoni tym zaułku. Dopił piwo i wyrzucił puszk do spienionego rynsztoka.

— Stary, tutaj. Podbiegł do wej cia.

— Cholera! — zakl ła kobieta. Zaułek był tu obok domu Cohana. Nie mogła nic zrobi . Znikn li w ciemno ciach, ale słyszała ich

wyra nie, miech nadal brzmiał gło no. Miała nadziej , e si niebawem wynios , lecz wtedy jaka młoda kobieta nadeszła z tej samej strony, co przed chwil ci m czy ni. Była drobna, a pomin wszy parasolk nad głow , niezbyt stosownie ubrana na tak pogod : wysokie obcasy, czarny kostium z krótk spódnic .

Usłyszała rechot z zaułka, zawahała się, lecz nie zawróciła.

— Dokąd to, mała?

Brodacz wyszedł z cienia. Jego kolega za nim. Dziewczyna przyspieszyła kroku, ale brodacz rzucił się za nią i chwycił za rękę. Upuściła parasol, zaczęła się szamotać.

— A miotaj się, ile chcesz, lalunia. Ja to nawet lubię. Kolega złapał ją za drugą rękę.

— Dawaj ją tutaj. — Dziewczyna krzyknęła z przerażeniem, na co brodacz uderzył ją w twarz. — Tylko grzecznie.

Zacięgnięli ją do zaułka. I wtedy starsza kobieta usłyszała głośny krzyk.

— Psiakrew! — zaklęła ponownie, wysunęła się na deszcz i ruszyła w ich stronę.

Dziewczyna usiłowała się wyrwać, czy nie, który przytrzymał ją od tyłu, ale brodacz miał w prawej ręce nóż. Drasnął ją w policzek, a trysnęła krew.

Dziewczyna krzyknęła z bólu, na co napastnik przypomniał:

— Mówiłem ci, że tylko grzecznie. — Chwycił rękę spódnicy i ciachnął ją ostrzem z dołu do góry. — Nie atuj siebie, Freddy. Ja stawiam.

Ale wtedy odezwał się spokojny głos:

— Nic z tego.

Na twarzy Freddy'ego odmalowało się zdumienie.

— A to, do cholery, co znowu? — zawołał.

Brodacz odwrócił się i zobaczył kobietę stojącą w wejściu do zaułka. W prawej ręce trzymała kapelusz przeciwdeszczowy. Jej siwe włosy srebrzyły się w świetle latarni ulicznej. Tak na oko miała sześćdziesiąt lat albo więcej, ale w tych ciemnościach trudno było poznać.

— Puść ją.

— Nie wiem, o co tej wiedzie chodzi, ale wiem, co dostanie — zwrócił się brodacz do kolegi. — Szukasz towarzystwa na wieczór, babciu?

Postąpił krok naprzód, a wtedy kobieta oddała strzał prosto w jego serce, przez kapelusz deszczowy, który stłumił huk.

Dziewczyna była tak zdjeta przerażeniem, że nawet nie pisnęła. Zareagował natomiast mężczyzna, który ją trzymał. Wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy, błysnęło ostrze.

— Przysięgam, zaraz poderżnę tę małą gardło — zagroził. Kobieta stała z

koltem w prawej ręce, przyciśniętym teraz do

uda. Jej głos brzmiał zupełnie spokojnie.

— Jesteście nierreformowalni, co?

Wymierzyła i strzeliła między oczy. Upadł na wznak. Dziewczyna oparła się o cian, cięko dysząc. Twarz miała we krwi. Starsza kobieta zdjęła z szyi lekki wełniany szalik i podała go dziewczynie. Ta przyłożyła go sobie do policzka. Kobieta sprawdziła brodacza i jego kolegę.

— No, już jeden z tych panów nikomu nie zagrozi. Wtedy dziewczyna wybuchła.

— Co za kanalie! Gdyby pani nie nadeszła... — A ja przeszedł dreszcz. — Oby zgnili w piekle!

— To wysoce prawdopodobne — powiedziała kobieta. — Mieszkasz w pobliżu?

— Mniej więcej dwadzieścia przecznic stąd. Byłam na kolacji tuż za rogiem, ale pokłóciłam się z chłopakiem i wyszłam, żeby złapać taksówkę.

— Kiedy pada, nie sposób nic złapać. Pozwól, żeby obejrzała ci twarz. Podprowadziła dziewczynę do oświetlonego wejścia do zaułka.

— Przydałoby ci się chyba kilka szwów. Dwie przecznice stąd w tę stronę jest Szpital Najświętszej Marii Panny. — Wskazała kierunek. — Zgłoś się na ostry dyżur. Powiedz, że miała wypadek.

— Uwierzyć mi?

— Mniejsza o to. To już twoja sprawa. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Chyba że wolisz zgłosić się na policję.

— Uchowaj Boże! — wykrzyknęła dziewczyna. — Za nic w świecie. Kobieta wyszła z zaułka, podniosła z ziemi parasol, wróciła dziewczynie.

— No, to idź już, moja droga, i nie oglądaj się. Nic się tu nie wydarzyło. — Cofnęła się i podniosła z ziemi torbę dziewczyny. — I nie zapomnij torebki.

Dziewczyna sięgnęła po nią.

— Pani tego nie zapomni.

— Szczerze mówiąc, wołałabym, żeby zapomniała. Dziewczyna zdobyła się na słaby uśmiech.

— Jasne, rozumiem.

Odwróciła się i ruszyła wawo przed siebie. Kobieta odprowadziła ją wzrokiem, obejrzała dziurę po kuli w kapeluszu, włożyła go, po czym rozpostarła parasol i

ruszyła w przeciwnym kierunku.

DWIE przecznice dalej stał zaparkowany Lincoln. Kiedy nadeszła, szofer — rosły Murzyn w szarym uniformie — czekał na nią przy samochodzie.

— Wszystko w porządku? — spytał.

— No przecie jestem, prawda?

Usiadła z przodu, na miejscu pasażera. Kierowca zamknął drzwi, wsiadł z drugiej strony, zajął miejsce za kierownicą. Kobieta zapinała pas i postukała go w ramię.

— Wiadomo gdzie trzymasz ten swój pierświorek, Hedley?

Szofer wyjął srebrny pierświorek ze schowka, odkręcił korek i podał ją kobiecie. Pociągnął łyk whisky, potem drugi.

— Co wspaniałego.

Następnie otworzyła srebrny papierosniczek, wyciągnęła papierosa, zapaliła samochodową zapalniczkę, po czym wypuściła długi smug dymu.

— Nie powinna pani palić, bo to pani szkodzi.

— Czy to ważne?

— Proszę tak nie mówić. — Wyraźnie był zdenerwowany. — Załatwiła pani tego łotra?

— Cohana? Nie, co mi przeszkodziło. Wracajmy do Pla'a, po drodze ci opowiem.

Już w połowie drogi zakończyła relację. Szofer wysłuchał opowieści ze zgrozą.

— Co to pani przychodzi do głowy? Chce pani teraz uprzedzić cały świat?

— A co? Wolałby, aby się przygłodała z żałobnymi rękawicami, jak te dwa zwierzęta gwałciły dziewczynę i podrzynały jej gardło?

— No dobrze, już dobrze — zmitygował się. — A senator Cohan?

— Jutro polecimy do Londynu. Ma się tam zjawić za kilka dni niby to w sprawach kampanii prezydenckiej. Wtedy go dopadną.

— A co potem? Kiedy to się skończy? — mruknął Hedley. — To wszystko dzieje się jak w jakimś nierealnym świecie.

Zatrzymał się przed hotelem Pla'a. Kobieta uśmiechnęła się.

— Wiem, Hedley, masz ze mną skaranie boskie, ale co ja bym bez ciebie zrobiła? No to do jutra.

Przy wejściu czekał nocny portier.

— Witam, lady Helen! — przywitał ją. — Miło pani widzieć. Już słyszałem, że

pani przyjechała.

— Ciebie też miło, George. Jak tam twoja córeczka?

— Znakomicie, dziękuję, znakomicie.

— Rano wracam do Londynu. Ale niedługo znów się zobaczymy.

— Dobranoc, lady Helen.

Weszła do rodzka, a mężczyzna czekający na taksówkę spytał:

— Co to za kobieta?

— To lady Helen Lang. Przyjeżdża tu od lat.

— Lady? Jako nie słyszysz u niej brytyjskiego akcentu.

— Bo pochodzi z Bostonu. Przed laty wyszła za mąż za angielskiego lorda.

Podobno ma miliony.

— Co takiego. Ale naprawdę robi wrażenie.

— O, z całą pewnością ci. To najsympatyczniejsza osoba, jaką znam.

Rozdział pierwszy

URODZONA W Bostonie w 1933 roku w jednej z najbogatszych tamtejszych rodzin, Helen Darcy była jedynaczką. Matka zmarła przy jej urodzeniu, lecz na szczęście ojciec, mimo sporego zaangażowania w interesy, poświęcał jej dużo uwagi. W dzieciństwie chodziła do najlepszych szkół, potem do prestiżowego Vassar College w Nowym Jorku, gdzie odkryła w sobie smykałkę do nauki języków obcych, a wreszcie do St Hugh's College w Oxfordzie.

Wielu współpracowników ojca w Londynie na wypródkę starało się jej zapewnić rozrywkę, toteż wkrótce stała się osobą popularną w towarzystwie. W wieku dwudziestu jeden lat poznała sir Rogera Langa, baroneta, niegdyś podpułkownika Gwardii Szkockiej, a później prezesa banku handlowego mającego bliskie powiązania z jej ojcem. Natychmiast się w nim zakochała, i to z wzajemnością. Związek miał jednak jedną słabość. Dzielili ich spora różnica wieku — piętnaście lat — w tamtych czasach w jej odczuciu nie do pokonania.

Wróciła zatem do Ameryki, nie wiedząc, co poczynić. Krążyła wokół mniejszości młodych ludzi, ale żaden jej nie odpowiadał, bo nie mogła sobie wybić z głowy Rogera Langa, z którym zresztą pozostawała w kontakcie.

Wreszcie w którąś sobotę w rodzinnej rezydencji letniej na Cape Cod powiedziała ojcu przy niadaniu:

— Wiesz, tato, chyba się przeprowadzę do Anglii... i tam wezmę męża.

Odchylił się w krzesło i uśmiechnął.

— A czy Roger Lang o tym wie?

— Niech cię licha! Wiedziałyście!

— Odkąd wróciła z Oxfordu, wciąż czekam, kiedy się wreszcie opamiętasz.

— No więc odpowiedź brzmi... nie wie.

— W takim razie idź do Londynu i mu to powiedz. Po czym wrócił do lektury „New York Timesa”.

I TAK się zaczęło nowe życie Helen Darcy, obecnie lady Helen Lang, na przemian w ich domu w Mayfair przy South Audley Street oraz w posiadłości wiejskiej w nadmorskim Compton Place, w północnym Norfolk. Na jej szczęściu kładł się tylko jeden cień. Nikały jej poronienia. Jedno za drugim. Toteż gdy w wieku trzydziestu trzech lat urodziła syna Petera, uznała to niemal za cud.

Peter okazał się kolejną wielką radością w jej życiu. Dbała pieczołowicie o jego wykształcenie, tak jak ojciec zadbał kiedyś o jej edukację. Mąż zgodził się, żeby ich syn poszedł do amerykańskiej szkoły wstępnej, ale dalej miał się kształcić w Anglii. Najpierw w Eton, a następnie w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst. Tak nakazywała tradycja rodzinna — co ze wszelkich miar odpowiadało Peterowi, który postawił sobie jeden cel: zostać wojskowym, tak jak wszyscy Langowie przed nim.

Po ukończeniu Sandhurst dostał się do Gwardii Szkołkowej, do dawnego regimentu ojca, a po kilku latach trafił do służby specjalnych, bo po matce odziedziczył smykałkę do języków obcych. Służył w Bombie, w Zatoce Perskiej, a potem, mając już rozumieć, w Irlandii Północnej, gdzie jego talent do naśladowania dialektów uczynił zeń nieocenionego tajnego agenta w walce z IRA.

Helen była w ciągłym strachu o niego, ale dawała to brzemieniu nie, jak onie i matce wojskowego przystało, a do czasu, gdy pewnej koszmarnej niedzieli w marcu 1996 roku jej mąż odebrał telefon w domu przy South Audley Street. Zbladł jak papier, odłożył powoli słuchawkę i powiedział tak po prostu:

— Już go nie ma. Nie ma naszego syna.

Po czym zapadł się w fotel i zaczął wyplakiwać sobie oczy, a ona trzymała go tylko za rękę i patrzyła tępo przed siebie.

OWEGO deszczowego dnia w kościele Najświętszej Marii Panny i Wszystkich świętych opodal Compton Place tylko jeden człowiek rozumiał ból lady Helen Lang, a mianowicie Hedley Jackson, jej szofer, który stał w nieskazitelnie szarym uniformie tuż za nią i sir Rogerem, trzymając nad nimi wielki parasol.

Miał metr dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Pochodził z Harlemu. W wieku osiemnastu lat zaciągnął się do wojska i pojechał do Wietnamu, skąd wrócił ze Srebrną Gwiazdą i dwoma Purpurowymi Sercami. Oddelegowany do ochrony ambasady amerykańskiej w Londynie, poznał dziewczynę z Brixton, która prowadziła Langom dom przy South Audley Street. Pobrali się, Hedley odszedł z wojska i podjął pracę jako szofer Langów. Zamieszkał razem z nią w przestronnej suterence.

Urodził im się syn. Ale wtedy dosi gła go tragedia: pewnego dnia jego ona i syn znale li się w okropnym karambolu na North Circular Road. Zgin li na miejscu.

Lady Helen trzymała go za rękę w krematorium, a kiedy zniknął z South Audley Street, szukała go po barach w Brixton, a znalazła pijanego w dym, bliskiego samobójstwa, zabrała do Compton Place, gdzie powoli, cierpliwie, wyprowadziła znów na ludzi.

Powiedzie , że był jej bezgranicznie oddany, to mało. Serce krajało mu się ze współczucia dla niej, zwłaszcza że słowa sir Rogera: „Ju go nie ma” zawierały straszliwą prawdę. Bomba samochodowa IRA, która zabiła syna Langów, była tak niewiarygodnej siły, że z chłopaka dosłownie nic nie zostało. Mogli więc tylko wyryć jego nazwisko na płycie w rodzinnym mauzoleum.

Spoczywaj w pokoju, pomyślała lady Helen, patrząc na imię Petera wyryte na tablicy. Właśnie nie o ten pokój niby walczył. O pokój w Irlandii, a ci szubrawcy go zabili. I nie został po nim nawet ślad. Jak gdyby go nigdy nie było, pomyślała, nie mogąc nawet zapłakać. To nie jest w porządku. Nie ma sprawiedliwości ci, absolutnie.

Ksiądz zaintonował:

— Rzekł do niej Jezus: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”.

Helen pokręciła głową. O nie, nie stać mnie już na wiarę, skoro zło chodzi sobie po tej ziemi bezkarnie.

Odwróciła się, zostawiła słobników, wzięła manta pod rękę i odeszła. Hedley podążył za nimi, z parasolem nad ich głowami.

OJCIEC Helen, który z powodu choroby nie mógł się zjawić na pogrzebie, zmarł kilka miesięcy później i zostawił jej fortunę wartą miliony. Korporacja zarządziła godny zaufania zarząd, któremu prezesował jej kuzyn, zatem wszystko zostało w rodzinie. Po wzięciu się do ręki, lecz ten był już człowiekiem kompletnie złamanym i umarł rok po synu.

Helen rzuciła się w wir pracy charytatywnej. Ponadto spędzała mnóstwo czasu w Compton Place, i to trzymało ją przy życiu. Ta okolica wciąż stanowiła urocze wiejskie zacisze pełne wiskich krętych ciętek i małych osad. Kiedy Roger zabrał ją tam po raz pierwszy, oczarowały ją te słone bagna i wydmy piaszczyste, a także olbrzymie mokre plaże pozostawiane przez fale odpływu. Uwielbiała spacerować lub jeździć na rowerze po groblach przecinających rozległe, zarówno te trzcinami brzegi. Kiedy powiew słonej morskiej bryzy wlewał w niego nowego ducha.

Dom został wzniesiony jeszcze za Tudorów, ale był w stylu georgia skim, pomin wszy kilka pó niejszych dodatków. Prowadziła go ochmistrzyni, niejaka pani Smedley, a inna kobieta ze wsi pomagała w sprz taniu. Ten spokojny uporz dkowany tryb ycia pomógł lady Helen wróci do normalno ci.

Co niedziela rano chodziła do ko ciola, a Hedley, zawsze nienaganny, w stroju szofera, siedział w tylnych ławkach. Zdarzało jej si zachodzi wieczorem do miejscowego pubu na kielicha albo i dwa, a tam te zawsze towarzyszył jej Hedley.

Chocia wi c ycie straciło swój smak, skonstatowała, e mogłoby by gorzej — i wówczas dostała nieoczekiwany telefon.

— Helen, to ty?

Głos brzmiał słabo, lecz dziwnie znajomo.

— Tak, a kto mówi?

— Tony Emsworth.

wietnie go pami tała. Jako podoficer słu ył przed laty pod komend jej m a, a potem został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dawno go nie widziała. Pewnie dobiegał siedemdziesi tki. Nie zjawił si na pogrzebie Peter a ani jej m a. Wtedy j to zdziwiło.

— Witaj, Tony — przywitała si . — Sk d dzwonicz?

— Jestem teraz u siebie na wsi. Mieszkam w niewielkiej wiosce Stukeley w hrabstwie Kent. Jakie sze dziesi t kilometrów od Londynu. Koniecznie musz si z tob spotka . To sprawa ycia i mierci. — I zaniósł si kaszlem. — Mojej mierci. Mam raka płuc. Niewiele mi ju zostało.

— Och, Tony, tak mi przykro. Usiłował obróci to w art.

— Mnie te . — Ale po chwili przybrał powa ny ton. — Posłuchaj, Helen, musisz tu do mnie przyjecha . Chc ci co wyzna .

I znów si rozkaszał. Czekala, a przestanie.

— Dobrze, Tony. Tylko si nie denerwuj. Podjad dzi po południu do Londynu, przenocuj w mie cie, a rano postaram si jak najwcze niej przyjecha do ciebie. W porz dku?

— Wspaniale. No, to do zobaczenia. Odło ył słuchawk .

Odebrała ten telefon w bibliotece wykładanej d bow boazeri . Zastygła tam, zamy lona. Otworzyła srebrn papiero nic , wyj ła papierosa, zapaliła.

Tony Emsworth. Słaby głos, kaszel — a j ciarki przeszły. Zapami tała go jako ol niewaj co przystojnego kapitana gwardii. Co te si z takiego m czyzny zrobiło!

Był to jednak inny, ukryty powód jej obecnych emocji, którego nie znał nawet Hedley. Już od pewnego czasu odczuwała sporadyczne bóle w piersiach i w rękach. Udała się więc na konsultację do jednego z najlepszych lekarzy na Harley Street, a potem na szczegółowe badania w londyńskiej klinice Akademii Medycznej. Stwierdzono oczywiście kłopoty z sercem. Wiecówka.

— Nie ma powodów do obaw — pocieszył ją lekarz. — Prosz tylko brać te proszki i zwolnić nieco tempo. Zapomnieć o pogoniach z chartami i podobnych przyjemnościach.

— No i pewnie koniec z tą trucizną — dodała cicho, gasząc papierosa z ironicznym uśmiechem. Powtarzała to od miesięcy.

STUKELEY okazało się bardzo miłe wiosko. Po obu stronach wskiej szosy chaty, pub, sklepik i dom Emswortha, Willa Rómana, naprzeciwko kościoła. Kiedy otworzył im drzwi, przeraziła się. Wysoki, zmizerniały, wyglądał jak morderca na chorągwi.

Lady Helen pocałowała go w policzek.

— Tony, strasznie wyglądasz.

— Prawda? — Zdobył się na uśmiech. — Miło ci znów widzieć, Hedley.

— Mam poczekać w samochodzie? — zapytał szofer.

— A nie zakrzyczę ci się w kuchni? Godzinę temu zwolniłem gospodynię. Gdyby mógł nam zaparzyć herbaty...

— Z przyjemnością — odparł Hedley i wszedł do rodka.

W salonie na wielkim otwartym kominku palił się ogień. Emsworth zasiadł w rozłożystym fotelu i odłożył laskę na podłogę. Na stoliku obok leżała brzoza teczka.

Helen Lang podeszła do kredensu. Obejrzała zdjęcie swojego męża z Tonym Emsworthem, kiedy Tony był jeszcze jego podwładnym.

— Ale byliście przystojni — skomentowała, a potem usiadła.

— Nie byłem na pogrzebie Petera. Na Rogera zresztą też nie.

— Zauważyłam.

— Wstydziliśmy się pokazać.

Lady Helen poczuła dreszcz. Hedley wszedł z herbatą na tacy.

— Będzie tak dobry — poprosił Emsworth — i przynieś z kredensu karafkę whisky. Należ mi szklaneczkę i lady Helen też.

— A co, dzisiaj nie mi się przyda?

— Wła nie tak s dz .

Skin ła głow . Hedley nalał im whisky i podał.

— B d w kuchni, gdyby mnie pa stwo potrzebowali.

— Dzi kuj . S dz , e b dziemy. Hedley wyszedł.

— Od lat okłamywałem swoich przyjaciół — rozpoczął Emsworth. — Wszyscy uważali cie, e pracuj w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ale to nie była prawda. Pracowałem w tajnych służbach. Tyle e nie w terenie. Pracowałem w biurze — wysyłałem odważnych chłopców do brudnej roboty. Cz sto gin li podczas wykonywania obowiązków. Jednym z nich był major Peter Lang.

Przeszedł j dreszcz.

— Rozumiem — powiedziała.

— Pozwól, e ci wyja ni . Moja komórka zajmowała si tajnymi operacjami w Irlandii. cigali my nie tylko bojówkarzy IRA, lecz również członków paramilitarnych oddziałów lojalistów, którzy zastraszaj c wiadków, uchodzili sprawiedliwo ci.

— Jak mogli cie temu zaradzi ?

— Mieli my całe oddziały wietnie wyszkolonych tajnych agentów, którzy ich likwidowali.

— To znaczy mordowali?

— Nie, nie zgodz si na to określenie. Wojna z tymi lud mi ci gnę si ju zbyt długo.

Nie nalała sobie herbaty, tylko si gn ła po szklank i poci gn ła łyk whisky.

— Czy mam rozumie , e mój syn wykonywał tak robot ?

— Tak, był jednym z naszych najlepszych agentów. Nale ał do pi cioosobowej grupy. Czterech m czyzn i jedna kobieta.

— I co?

— Wszyscy zgin li przedwcześnie w jednym tygodniu. Trzech m czyzn i kobiet zastrzelono...

— A Petera wysadzono w powietrze?

— Tak naprawd to nie. Tak ci tylko powiedziano.

Dopiła whisky, wyj ła srebrn papieronic , wzi ła papierosa, zapaliła.

— No, to powiedz, jak było.

Emsworth wskazał głow teczk za swoimi plecami.

— Wszystko jest tutaj. Wszystko, co powinna wiedzie . Naruszam tym samym najwy sz tajemnic pa stwów , ale co tam! Jutro mog ju nie y .

— Sam mi powiedz! — za dała stanowczo. — Chcę to usłyszeć od ciebie.
Zaczerpnął głębiej.

— Skoro tak wolisz. Jak wiesz, na mapie politycznej Irlandii istnieje wiele organizacji, zarówno katolickich, jak i protestanckich. Do najgorszych należy pewna grupa nacjonalistów, którzy zwą się Synami Erynu. Przed laty dowodził nimi niejaki Frank Barry, z gruntu nieciekawym typem, a przy tym wyjątkowym oryginałem, bo był protestanckim republikaninem. W końcu zginął, ale miał kuzyna amerykańskiego pochodzenia imieniem Jack, który jako osiemnastoletni chłopak pojechał w 1970 roku do Wietnamu. Nie zagrażał tam długo miejsca, bo spowodował skandal. Bodaj że zastrzelił kilku jeńców Vietcongu, toteż dyskretnie go stamtąd wywalili.

— I co, wstąpił do IRA?

— Jakby zgadła. Przejął schedę po stryju. To psychopata, który od lat morduje ludzi. A, i jeszcze jedna ciekawostka. Stryjecznym dziadkiem Jacka był lord Barry. Miał swoją rezydencję na wybrzeżu w Down w Ulsterze, zwaną Hiszpańską Kopłą. Teraz posiadał należą do skarbu państwa. Ale lord Barry po śmierci zostawił Jackowi tytuł, którego ten zresztą nie przyjął, żeby nie uznano go za zdrajcę Korony.
— Przymknął na chwilę oczy, westchnął i mówił dalej. — Jack Barry miał szofera nazwiskiem Doolin. Facet wylądował w więzieniu Maze, a wtedy zaplantowali mu informatora do celi. Doolin wyznał mu, że pewnej nocy, kiedy wioził swojego szefa na północ do Stramore, przymulonego prochami i whisky, ten zwierzył mu się, że właśnie załatwił całą grupę angielskich tajnych agentów dziki nowojorskiej filii Synów Erynu. Miał mu w tym pomóc osobnik kryjący się pod ksywą Łącznik. Doolin spytał, kim jest ten Łącznik. Barry stwierdził, że go nie zna. Wiedział tylko, że to Amerykanin.

— Czyli ten Łącznik musi być kimś wysoko postawionym, zaplanowanym gdzieś na stanowisku? Ale gdzie? I jak?

— Od lat wywiad brytyjski miał swój wtyczkę w Białym Domu i w razie potrzeby odbierał od niej informacje.

— W tym informacje na temat grupy mojego syna?

— Tak. Wtedy uważałem, że posuwamy się za daleko, ale ludzie bardziej wpływowi ode mnie, tacy jak Simon Carter, zastępca dyrektora służb specjalnych, mnie przegłosowali. I wtedy znaleziono Doolina powieszzonego w celi.

Lady Helen nalała sobie kolejną whisky.

— Przypomina to historię rodu Borgiów. Do rzeczy, Tony.

— No wi c Synowie Erynu przekazywali informacje uzyskane od Ł cznika swoim ludziom w Dublinie i Londynie. Wszystko jest tu w aktach. Pełna dokumentacja, zdj cia.

— Opowiedz mi o Peterze.

— Barry i jego ludzie porwali go, kiedy wychodził z pubu w South Armagh. Torturowali go, a poniewa nie chciał mówi , zakatowali na mier . W pobli u budowano now obwodnic . Przez cał noc pracowała tam olbrzymia betoniarka. Przepu cili przez ni jego ciało. — Lady Helen siedziała w milczeniu. Dopięta whisky. Emsworth mówił dalej. — A potem wysadzili jego samochód, eby upozorowa mier w zamachu.

Nagle Helen krzykn ła, przyło yła r k do ust, zerwała si i rzuciła do drzwi. Dobiegła do toalety w korytarzu i zwymiotowała. Kiedy wyszła, zobaczyła Hedleya czekaj cego pod drzwiami salonu.

— Słyszałe ?

— Niestety, tak. Dobrze si pani czuje?

— Bywało lepiej.

Wróciła do pokoju, znów usiadła.

— I co dalej?

— Postanowili to zatai , dlatego nie powiedziano ci prawdy. I wtedy wpadli my na trop pewnego ekskluzywnego klubu w Nowym Jorku pod nazw Synowie Erynu. Nazwiska i zdj cia członków znajduj si w tej teczce. Wszyscy s znanymi biznesmenami, jeden nawet senatorem Stanów Zjednoczonych. Wszystko pasuje. Mamy wiele przykładów na to, jak ci le tajne informacje przekazywane z Londynu do Waszyngtonu trafiały w r ce IRA.

— Ale dlaczego kto tego nie ukrócił? Emsworth wzruszył ramionami.

— Wiesz, polityka. Prezydent, premier... nikt nie chciał rozp ta ' burzy. Powiem ci co o pracy wywiadu. S dzisz, e CIA i FBI informuj o wszystkim prezydenta? Nic bardziej mylnego. W Wielkiej Brytanii jest tak samo. MI5 i M16 maj swoje mroczne tajemnice. Na dowód tego znajdziesz w tej teczce sylwetki dwóch bardzo interesuj cych osobników — jeden to Amerykanin, drugi

— Brytyjczyk. Pierwszy to Blake Johnson, niegdy z FBI. obecnie szef Wydziału Spraw Wewn trznych w Białym Domu, znanego pod nazw Piwnicy. To jedna z najpilniej strze onych tajemnic gabinetu, bez adnych powi za z FBI, CIA czy słu bami specjalnymi. Podlega jedynie prezydentowi. Jest tak dobrze utajniona, e

ludzie nie za bardzo wierzą w jej istnienie.

— Ale istnieje?

— Bez dwóch zdań. Zresztą premier brytyjski też ma coś podobnego. Wszystko jest w tej teczce. Prowadzi to generał brygady Charles Ferguson.

— Charles Ferguson? Znam go od lat.

— Nie wiem, za kogo zawsze go uważała, ale jego brygada uchodzi w środowisku za prywatne wojsko naszego premiera. Ferguson odpowiada wyjątkowo cnie przed premierem, dlatego inne służby wywiadowcze go nienawidzą. Jego prawym ręką jest były działacz IRA, niejaki Sean Dillon. Lewą jest główny inspektor policji, pani Hanna Bernstein, wnuczka rabina.

— A co to ma do rzeczy?

— To, że wywiad nie chciał angażować Ferguson, bo mógłby coś zdradzić premierowi. Ponadto jest w kontakcie z Blakiem Johnsonem, co oznaczałoby, że informacje mogłyby dotrzeć do prezydenta Stanów, a wywiad tego by nie chciał.

— No wiemy, jak się to skończyło?

— Nie można było nawet obciążyć Synów Erynu, bo ich akta zaginęły. — Sięgnął po teczkę i zamachał jej przed nosem. — Poza moim egzemplarzem. Chcę ci go przekazać.

Rozkaszał się, podała mu serwetkę. Splunął, zobaczyła krew.

— Wezwana ci lekarza?

— Ma przyjechać później. Chociaż to i tak już bez znaczenia.

— Umiechnął się do niej upiornie. — No wiemy teraz już wiesz. Ja się lepiej połóż.

Wstał, podniósł laskę i wyszedł powoli na korytarz.

— Bardzo mi przykro, Helen, nawet nie wiesz, jak bardzo.

— Tony, to nie twoja wina.

Wspiął się z trudem na schody. Odprowadziła go wzrokiem. Hedley stanął za nią z teczką w ręce.

— Rozumiem, że pani ją bierze.

— Jak najbardziej. — Wyjęła mu teczkę z ręki. — Jedziemy, Hedley.

SIEDZIAŁA W gabinecie przy South Audley Street pogrążona w lekturze. Czytała wszystkie akta, oglądała zdjęcia. Skład grupy Synów Erynu był interesujący. Do ich grona zaliczali się: senator Michael Cohan, lat pięćdziesiąt, który dorobił się fortuny

na supermarketach i centrach handlowych; Martin Brady, lat pięćdziesiąt dwa, wałszycha w Związku Zawodowym Szoferów; Patrick Kelly, lat czterdzieści osiem, budowlaniec milioner, oraz Thomas Cassidy, lat czterdzieści pięć, który zbił majątek na irlandzkich pubach. Wszyscy byli Amerykanami pochodzenia irlandzkiego. Z jednym zaskakującym wyjątkiem — znanym londyńskim gangsterem o nazwisku Tim Pat Ryan.

Przyniosła z kuchni imbryk z herbatą, wróciła do gabinetu i włączyła komputer, niedawny nabytek, z którym ostatnio zdołała się, ku własnemu zdziwieniu, oswoić dzięki pomocy z nieoczekiwanej strony.

Zwróciła się z prośbą o radę do londyńskiego biura korporacji matki, na co cały wydział informatyczny stanął dosłownie na baczności. Skutek był taki, że na South Audley Street zawitał pewien nieznajomy młody człowiek na supernowoczesnym wózku inwalidzkim. Miał włosy do ramion i bystre niebieskie oczy.

— Lady Helen? — przywitał ją wesóło. — Nazywam się Roger. Podobno chciałaby pani oswoić swój komputer i nauczyć go kilku sztuczek. Najpierw sprawdź, co pani wie, potem zobacz, czego mógłbym pani nauczyć.

I to właśnie nie zrobił. Nauczył ją wszystkich najgorszych sztuczek z zakresu informatyki. Kiedy skończył, potrafiłaby już włamać się nawet do sieci komputerów Ministerstwa Obrony.

Teraz, stukając z pamięci, zaczęła przeglądać pliki, klikając po drodze na różne nazwiska. Niektóre wywietlały się od razu. Inne, takie jak Ferguson, Dillon, Hanna Bernstein i Blake Johnson nie. Ale kiedy włamała się do listy najbardziej poszukiwanych przez Scotland Yard przestępców, znalazła tam nazwisko Jacka Barry'ego i jego czarno-białe zdjęcie.

Raz ci dopadli, zadumała się. To może i drugi raz się uda.

Z kuchni wyszedł Hedley.

— Może czego pani potrzeba?

— Nie, Hedley. Dziękuję. Kładę się spać. Odszedł z ociąganiem.

Nalała sobie whisky, szukała notatnika, otworzyła dolny szuflad biurka i znalazła kolta kaliber dwadzieścia pięć, który Peter przywiózł z Bośni, a do kompletu pięćdziesiąt naboju wydrążonych w rodku i tłumik. Prezent był wysoce nielegalny, ale Peter wiedział, że mama lubi sobie postrzelać, bo czsto wiczyła w zaimprovizowanej strzelnicy w starej stodole w Compton Place. Niemal bezwiednie załadowała broń i przykręciła tłumik. Przez chwilę ważyła ją w dłoni, po czym

odło ją do biurka i wróciła do teczki.

Ferguson niegdy j frapował. Niby znała go tyle lat, a jakby nie znała wcale. I ta cała Bernstein — z pozoru tak opanowana za okularami w sztyldkretowych oprawkach, a je li wierzy dokumentacji, miała cztery ludzkie istnienia na sumieniu.

No i Sean Dillon. Urodzony w Ulsterze, wychowany przez ojca w Londynie. Z zawodu aktor, absolwent Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych. Kiedy miał dziewiętnaście lat, jego ojciec wybrał się z wizyt do Belfastu, gdzie zginął w przypadkowej walce ulicznej z angielskimi spadochroniarzami. Dillon po powrocie do kraju zaciągnął się do IRA, w której to organizacji stał się najbardziej nieustraszoną bojownikiem. Na jego obron można powiedzieć tylko tyle, że nie maczał palców w rzezi ludności cywilnej. Aresztowano go dopiero wtedy, kiedy trafił do serbskiego więzienia za przewóz samolotem lekarstw dla dzieci. Ferguson uratował Dillona przed plutonem egzekucyjnym i zmusił go, aby pracował dla niego.

Lady Helen wróciła do Synów Erynu i w końcu doszła do Tima Pata Ryana. Miał paskudną kartę. Narkotyki, prostytutka, łapówkarstwo. Podejrzany o dostarczanie broni i materiałów wybuchowych oddziałom IRA działającym w Londynie. Niczego mu jednak nie udowodniono. Był właścicielem pubu „Eglar” nad Tamizą na Chijskim Nabrzeżu. Zdjęła z regału przewodnik po Londynie, odszukała Chijskie Nabrzeże. Było w Wapping.

Odchyliła się w krzesło. Co za kanalia z tego Ryana! Z Barry'ego zresztą też! Nie mówię o innych. Nie mogła przestać myśleć o tym, co spotkało jej syna.

Mniej więcej w tym samym czasie generał brygady Charles Ferguson siedział przy kominku w eleganckim saloniku swego mieszkania na Cavendish Square. Naprzeciwko siedziała pani główny inspektor Hanna Bernstein z teczką na kolanach. Dillon nalewał sobie whisky Bushmills przy barku. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę lotniczą i biały szal na szyi.

— Proszę się czuć swobodnie — zachęcił go Ferguson.

— Przecież nigdy się nie oszczędzam, panie generale — odparł Dillon z uśmiechem.

Hanna Bernstein zamknęła teczkę.

— Tak to wygląda, panie generale. Na dzień dzisiejszy w Londynie nie ma ani jednej czynnej grupy IRA.

— Przyznaj, acz z niedowierzaniem — wyznał. — Nasi polityczni zwierzchnicy chcieliby, żebyśmy wszystko i tak zatuszowali. — Westchnął. — Przedstawi pani

odkrycia premierowi. adnych czynnych grup terrorystycznych w Londynie.

Dillon popijał whisky.

— To, e ich nie widzimy, wcale nie znaczy, e nie istnieją. S k w tym, e ostatnio namno yło si grup odszczepie czych. Ze strony lojalistów mamy takie oddziały paramilitarne, jak UFV i LVF, odpowiedzialne za te wszystkie ataki i zamachy. A ze strony republikanów INLA i Synów Erynu Jacka Barry'ego.

— Znów ten szubrawiec — pokiwał głow Ferguson. — Ch tnie oddałbym swój emerytur , eby go dorwa .

— Niewiele da si zrobi — stwierdziła Hanna Bernstein. — Dopóki chroni go siły wy sze.

Dillon podszedł do okna. Wyjrzał. Na dworze lało.

— e te zawsze si znajdzie taki łajdak, który tylko czeka, eby wywoła krwaw jatki . Chocia by Tim Pat Ryan.

— Ju to tyle razy wałkowali my — przypomniała mu Hanna. — Ma najlepszych prawników w Londynie. Byłyby kłopoty z postawieniem go w stan oskar enia, nawet gdyby my złapali go z kawałkiem semtexu w r ce.

— To prawda — przyznał Dillon. — Ale wiemy na pewno, e dawniej zaopatrywał bojówki terrorystyczne w materiały wybuchowe.

— Znów chciałby si zabawi w kata, co? — spytał Ferguson. Dillon wzruszył ramionami.

— Nikt by po nim nawet nie zapłakał.

— Daj spokój. — Ferguson wstał. — Chyba dzisiaj wcz e niej sko cz prac . Zmykajcie, dzieci. Pani Hanno, mój kierowca czeka na pani w daimlerze. Dobranoc.

Dillon wyjął parasol ze stojaka w korytarzu, otworzył i zaprowadził Hann do daimlera. Usiadła z tyłu, opu ciła troch okno.

— Martwi si , gdy zapada taka cisza. Wtedy jest najbardziej niebezpiecznie.

— egnam si , zanim zaczn my le , e si przejął . — Wyszczerył z by w u miechu. — Do zobaczenia w biurze jutro rano.

Rozłożył parasol i odszedł dziarskim krokiem. Miał mały dom w Stable Mews zaledwie pi minut drogi stamt d. Po otwarciu drzwi wej ciowych poczuł si dziwnie zm czony. Dom był doprawdy mały — perskie dywany, lakierowany parkiet, nad kominkiem olej p dzła Atkinsona Grimshawa, wybitnego malarza wiktoria skiego. Dillon nie był biedny, dorobił si swego czasu do niegodziwie jako wieloletni najemny strzelec wynajmowany przez rozmaite organizacje na całym wiecie.

Nalał sobie kolejną szklankę bushmillsa i zadumał się. Tim Pat Ryan nie wychodził mu z głowy. Dillon za bardzo był pobudzony, żeby zasnąć. Spojrzał na zegarek. Pół do dwunastej.

Podszedł do regałów w alkowie, wyjął trzy książki, otworzył skrytkę z tyłu, wydobył walthera ppk z przykręconym tłumikiem. Sprawdził, zatknął za pasek do kieszeni z tyłu.

Wychodząc z domu, wziął parasol, bo lało jak z cebra, podniósł drzwi do garażu, w którym czekał stary mini cooper w zielonych barwach rajdowych Wielkiej Brytanii. Wsiadł i ruszył przed siebie.

— Dobra, skurczybyku, zobaczymy, co tam u ciebie.

LADY Helen Lang zdrzemnęła się na kanapie. Obudziła się z wizerunkiem Tima Pata Ryana przed oczami z ostatniego zdjęcia w teczce. Wstała, podeszła do biurka i wbiła wzrok w otwarte akta. Tim Pat Ryan odwzajemnił jej spojrzenie.

Podniosła koltę i zwała ją w dłoń. Poczowała nieuchronnie wydarzenie. W korytarzu włożyła trenkę, kapelusz przeciwdeszczowy, otworzyła torbę na ramie wiszącą na wieszaku w holu, znalazła trochę gotówki. Następnie wsadziła pistolet do kieszeni, sięgnęła po parasol i wyszła z domu.

Ruszyła wawym krokiem przez South Audley Street, parasol chronił ją przed zacinającym deszczem. Z naprzeciwka nadjechała taksówka. Lady Helen zatrzymała ją, podbiegła.

— Wapping High Street — rzuciła kierowcy, napięta i podekscytowana. — Do hotelu George.

HEDLEY wprawdzie udał się na spoczynek, ale wcale nie miał zamiaru się kłaść. Siedział po ciemku w suterenie, nie wiedząc czemu, bojąc się o lady Helen. Na dwadzieścia kroków w korytarzu zerwał się i wybiegł za nią. Widział, jak podbiega naprzód, a podskakuje jej parasol, jak łapie taksówkę. Ponieważ zaparkował mercedesa przed domem, teraz natychmiast do niego wskoczył. Kiedy taksówka ruszała z drugiej strony, on podbiegł za nią.

DILLON dotarł na Wapping High Street, minął hotel George i skręcił w głąb bocznych uliczek. Zaparkował w zaułku, wysiadł, zamknął samochód i przemknął między wielkimi, podupadłymi magazynami, w końcu skręcił na Chijskie Nabrze.

„ eglarz" znajdował si ę u wylotu, za star ą przystani ą. Zerkn ął na zegarek. Północ. Puby dawno zamkni ęto. Kiedy stan ął w cieniu, otworzyły si ę drzwi kuchenne, ukazuj ąc rz ę si ę cie o wietlone wn ętrze. Tim Pat Ryan stał z jak ąś kobiet ą.

— No, to do jutra, Rosie.

Emokn ął j ą w policzek, a ta odeszła pr ędko, nie zauwa żywszy m ęczyzny w cieniu. Dillon podszedł do najbli szego okna, zajrzał do łożka. Ryan siedział przy barze nad kuflem piwa i czytał gazet ę. Był sam. Dillon uchylił drzwi i wszedł.

Zawiasy drzwi skrzywn ęły cicho, lecz złowieszczo, lekki przeci ęg uniósł arkusz gazety. Ryan odwrócił si ę.

— Hej e, nie jeste ę stracony dla ę wiata — odezwał si ę Dillon wesóło. — Potrafisz czyta ę.

Ryan zachował kamienn ą twarz.

— Czego chcesz, Dillon? Po co przyszedł ę? Jestem czysty.

— Za ęadne skarby ę wiata.

— Nawet nie jeste ę ze Scotland Yardu.

— Wi ę te słowa. Reprezentuj ę co ę znacznie wi ększego. Twój najwi ększy koszmar.

— Wyno ę si ę.

— Zanim mnie wyrzucisz? To si ę po mnie nie poka ę. — Dillon uniósł klap baru, wszedł za kontuar, zdj ął sobie butelk ę bushmillsa i szklank ę. Nalał. — Nie mam zamiaru pi ę z takim ę mieciem jak ty, ale sam si ę napij ę. Zi ę b na dworze.

Ryan zwrócił si ę do niego głosem wypranym z emocji.

— O co chodzi? Od lat depczesz mi po pi ętach.

— ęeby nie zapomniał, ę nadal ci ę rozpracowuj ę — powiedział Dillon. — Ciekawe, do ilu zamachów bombowych posłu żył semtex, który dostarczył ę chłopcom w Birmingham i w Londynie. Do trzech? Wiemy, ę to ty, tyle ę nie potrafimy tego jeszcze udowodni ę. Ale do czasu.

— Gadaj zdrów. A ilu ty zabił ę dla sprawy? Przez blisko dwadzie ęcia lat, Dillon, zanim został ę zdrajc ą.

— Ale nigdy nie sprzedawał ęm narkotyków ani nie str ęczyłem młodych dziewczyn. A to ró ęnica. — Gołn ął sobie bushmillsa, odstawił szklank ę. — Na dworze zimno i ciemno, a ja zawsze b ęd ę si ę czał gdzie ę w cieniu. Trawestuj ę c stare powiedzenie IRA, mój dzie ę jeszcze nadejdzie.

Odwrócił si ę i wyszedł kuchennymi drzwiami, a Ryan, oszalały z w ęciekło ci,

zatrzasnął kłap baru, otworzył staro wiecką kasę i wyjął z niej Smitha and Wessona kaliber trzydzieści osiem, który zawsze trzymał naładowany w szufladzie. Ruszył do kuchni.

LADY Helen Lang zapłaciła za kurs przed wejściem do hotelu George przy Wapping High Street, a mając w głowie rozkład ulic, skręciła w wiatki zaułek. Hedley, unieruchomiony między dwoma samochodami na czerwonym świetle, nie spuszczał z niej oka. Zaklął pod nosem, ruszył na zielonym i zaparkował w tym samym zaułku. Włączył światła, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Przed nim rozpościerał się labirynt przecinających się uliczek. Co jest tu, do licha, przygnało? A cierpiał z przerażenia.

LADY Helen trzymała parasol wysoko, osłaniając się przed chłostającym deszczem. Chłopskie Nabrzeże znalazła bez trudu. W oknie pubu paliło się światło, a nad wymalowanym szyldem „eglarz” wyginał się łuk staro wieckiej lampy gazowej. Zawahała się. Opodal stał zaparkowany wielki range rover. Pewnie Ryana.

Kiedy tak stała, otworzyły się drzwi na zapleczu i wyszedł Dillon. Rozpoznała go od razu ze zdjęcia w aktach. Zaskoczona, dała krok do tyłu. Dillon ruszył w stronę przystani, zapalił papierosa, gdy wtem drzwi się znów otworzyły i wypadł z nich Tim Pat Ryan.

— Dillon, ty łotrze! — zawołał. W słabym świetle błysnęła lufa Smitha and Wessona. — To dla ciebie!

Dillon się roze miał.

— Nigdy nie potrafię trafić nawet do drzwi stodoły. Wymacał kolbę Walthera, wyrwał go i przykucnął, kiedy Ryan

wypalił z furii. Postąpił naprzód, żeby złapać równowagę, ale trafił na kału rozlanego smaru, poлизnął się i runął jak długi, wypuszczając Walthera z ręki. Ryan roze miał się triumfalnie.

— A widzisz, mam cię! — I wypalił powtórnie.

Dillon przekoziołkował, skoczył z nabrzeża, dał nura w ciemność. Woda była przenikliwie zimna. Kiedy wypłynął, Ryan patrzył w dół, celując wprost w niego. I wtedy Dillon usłyszał czyjś głos:

— Panie Ryan.

Tim Pat Ryan odwrócił się. Dillon usłyszał coś w rodzaju przytłumionego kaszlu, w czym rozpoznał odgłos strzału z pistoletu z tłumikiem, po czym ciało Ryana spadło

na wznak z krawdzi pomostu, run ło do wody obok Dillona i wypłyn ło na powierzchni z dziurami dzi oczami. Dillon odepchn ło je od siebie i uchwycił si kółka na sworzniu.

Kiedy ponownie usłyszał nad sobą tamten głos, rozpoznał w nim irlandzki akcent.

— Wszystko w porządku, panie Dillon?

— W jak najlepszym, łaskawa pani. Ale kim pani, na Boga, jest?

— Pana aniołem stró em. Niech pan uważa na siebie, przyjacielu. Podpłyn ło do drewnianej drabinki i wdrapał si na górę. Kiedy

wysadził głowę ponad poziom nabrzeża, dostrzegł jeszcze ciemne sylwetki pod parasolem znikające w mroku.

Wstał, woda dosłownie się z niego łała. Jego walther leżał tam, gdzie upadł, a obok dostrzegł pistolet Ryana. Zatkn ło sobie walthera za pas, podniósł smitha and wessona i cisnął go w nurty rzeki.

— Na ryj się, łajdaku — zawołał i wrócił do swojego mini coopera. Wyjął ze schowka telefon komórkowy, wybrał numer Cavendish

Square. W głosie Fergusona brzmiała nuta irytacji.

— Kto mówi?

— To ja — odezwał się Dillon.

— Na miły Bóg, nie wiesz, która godzina? Nie mogłem z tym poczekać?

— Nie bardzo. Właśnie zginił pański dobry znajomy. Głos Fergusona się zmienił.

— No, to wpadnij.

— Tylko wskocz po drodze do domu.

— Niby po co?

— Bo zdarzyło mi się popływać w Tamizie. Dillon rozłączył się i odjechał.

Tymczasem Ferguson zadzwonił do Hanny Bernstein.

HEDLEY miał już da za wygraną, kiedy zobaczył lady Helen u wylotu uliczki. Zahamował, wyskoczył.

— Co ty tu robisz, Hedley? — zdziwiła się.

— Usłyszałem, że pani wychodzi, więc pojechałem za panią. Ale znikła mi pani z oczu.

Otworzył jej drzwi, wsunęła się do rodka, a on usiadł za kółkiem. Nieco

zasapana, otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę i wytrzymała kilka pastylek na rękę.

— Piersiówka, Hedley. Podał jej srebrną piersiówkę.

— Co się dzieje?

— E, nic takiego. Lekarz coś mi tam zapisał.

Popiła proszki kilkoma łykami whisky i powiedziała rozpromieniona:

— A teraz wracamy na South Audley Street, żeby się spać. Z samego rana ruszamy do Compton Place.

Hedley ruszając, spytał z zaniepokojeniem:

— Dobrze się pani czuje?

— Jak nigdy. Właśnie wykonałam egzekucję na Timie Pacie Ryanie.

Z wrażenia aż mu drgnęła kierownica w ręce, ale zaraz odzyskał panowanie nad sobą.

— Chyba pani artuje.

— Wcale nie. Pozwól, żeby ci opowiem.

DILLON zastał Hannę Bernstein siedzącą naprzeciwko Fergusona w jego salonie.

— Szczególnie wszystkim, Boże — przywitała się.

— Do jakiej tej irlandzkiej błazenady, Dillon. Powiedz nam od razu najgorsze — poprosił Ferguson znużonym głosem.

Dillon opowiedział pokrótce.

— I co ja mam z tobą, na miłość boską, zrobię? — spytał Ferguson. — Znasz aktualną sytuację polityczną. Tylko spokój, żadnych wyskoków, a ty szukasz guza.

— Chciałem tylko przydusić trochę skurczybyka. Tu wtrąciła się Hanna Bernstein:

— To nie taka znów wielka strata, panie generale. Ryan był strasznym gnidą.

— Owszem, przyznaj się do pewnej satysfakcji — wyznał generał. — Ale jakie rozwiązanie podpowiada ten pani genialny umysł wywiadowcy?

— Zostawi sprawę w spokoju. Niebawem ktoś go pewno stamtąd wyłowi. Przekazać ciało Scotland Yardowi i Wydziałowi do spraw Zabójstw. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jak ktoś jest takim ciemnym, to musi mieć niezliczonych wrogów. To naprawdę nie nasze zmartwienie.

Dillon potrząsnął głową.

— Twarda z ciebie sztuka. Co się stało z tym uroczym ydółeczka, w której się

zakochałem?

— Pracuje teraz z tob . — Odwróciła si do Fergusona. — Nawet je li ta kobieta z irlandzkim akcentem wy wiadczyła nam przysług , wolałabym wiedzie , co to za jedna. Je li pan pozwoli, przejrz wszystkie informacje wywiadu w bazie danych Ministerstwa Obrony i zobacz , co tam znajd .

— Bardzo prosz , pani Hanno. Mo e wpadnie pani na trop jakich lojalistycznych powi za .

— Nie s dz — stwierdził Dillon. — Wi kszo lojalistów ma ulsterski akcent, tak jak ja. Ona miała jaki inny.

Ferguson wstał.

— Mo e pani przenocowa u mnie w pokoju go cinnym, pani Hanno. Nie mam sumienia wypuszcza pani w rodku nocy na tak ulew .

— Bardzo dzi kuj . Odwróci! si .

— Ty, Dillon, mo esz si oczywi cie przespacerowa . Wy, Irlandczycy, chyba jeste cie przyzwyczajeni do deszczu, co?

— Niech Bóg ma pana w swojej opiece, łaskawco. Zdejm buty za drzwiami, zawi je sobie na szyi i pójd boso do Stable Mews, eby ich nie zniszczy .

Ferguson si roze miał.

— No, id ju , łotrze, id . Dillon wyszedł.

HELEN Lang w gabinecie przy South Audley Street przegl dała teczk Emswortha, kiedy Hedley wszedł z herbat na tacy.

— Prosz pani, musi pani da sobie z tym spokój.

— Nie, Hedley, nie ma mowy. Ci łajdacy, jeden w drugiego, ponosz bezpo redni odpowiedzialno za zakatrupienie mojego syna. Przez to umarł przedwcze nie mój m , a powiem ci jeszcze jedno. Mnie te nie zostało wiele czasu. Te proszki, które bior ... to na serce.

Hedley a oniemiał ze zdziwienia. Usiadł.

— Nie wiedziałem.

— No to ju wiesz. Jeste ze mn czy przeciwko mnie? Mo esz zadzwoni do Scotland Yardu, aresztuj mnie wtedy za zabójstwo. Decyzja nale y do ciebie.

— Pani okazała mi tyle serca, ile nikt na wiecie. — Westchn ł. — le mi to pachnie, ale prosz pami ta o jednym. Zawsze mo e pani na mnie liczy , tak jak kiedy ja mogłem na pani .

— Niech ci Bóg błogosławi, Hedley. Wy pij si , bo rano ruszamy do Compton Place.

Rozdział drugi

WYSŁKI Hanny Bernstein, żeby znaleźć coś w komputerze Ministerstwa Obrony, spaliły na panewce. Zagięła nawet na strony Dublina i sztabu generalnego wojsk brytyjskich w Lisburn w Irlandii Północnej, ale niczego tam nie znalazła. Śmierć Ryana była sensacją przez tydzień. Cała prasa rozpisywała się o rywalizacji między gangami w East End i w innych dzielnicach Londynu. Po czym sprawa trafiła na półki. To znaczy pozostała otwarta, ale trafiła na półki.

W COMPTON Place lady Helen dobrze się odżywiała, chodziła na długie spacerunki, zażywała wieżego powietrza. Wyczytywała również na strzelnicy w starej stodole, a Hedley, aczkolwiek z pewnymi oporami, słuchał jej swoim do wiadczeniem. Jego umiejętność strzelecką poznała dopiero pewnego popołudnia, kiedy poasystowawszy jej przez jakiś czas, sam załadował browninga. Na ścianie stodoły oddalonej o dziesięć metrów wisi siedem tekturowych tarcz o ludzkich kształtach. Hedley wycelował, wypalił i trafił wszystkie postaci w głowy.

Oniemiała, a gdy ucichł huk wystrzałów, tylko mruknęła pod nosem:

— Nie do wiary.

— Jestem szkolonym strzelcem, lady Helen. Pani też jest niezłą, ale proszę pamiętać, że na ogół broń ręczna jest zawodna, chyba że się podejdzie naprawdę blisko.

— Jak blisko?

Włożył nowy magazynek do browninga i podał go jej.

— Pani pozwoli ze mną. — Ustawił ją przed wielką tarczą. — Teraz proszę przyłożyć mi go do serca i pociągnąć za spust. — Wykonała polecenie. — I tak jest dobrze.

— Stałam jakieś cztery metry od Ryana.

— Niby tak, ale mogła pani spuścić, i wtedy by pani załatwił. Zadzwonił telefon komórkowy w kieszeni Hedleya. Podał go jej,

a ona się przedstawiła: — Helen Lang. — Po chwili pokiwała głową. — Bardzo

dziękuj. Tak mi przykro. — Zamknęła telefon i spojrzała na Hedleya. — Umarł Tony Emsworth.

— To smutne. Kiedy pogrzeb?

— W ród.

— Wybiera się pani?

— Oczywiście. — Powiedziała to opanowanym głosem, ale w jej oczach widać było ból. — Wystarczy na dzisiaj, Hedley. Wracam do domu.

I odeszła.

RANEK W Stukeley był piękny i słoneczny. Kościół wypełnił się po brzegi. Helen Lang, siedząc z boku nawy, zaskoczył widok Fergusona, Hanny Bernstein i Dillona, zajmujących ławki po drugiej stronie przejścia. Wychodząc, przywitała się z kuzynem Tony'ego Emswortha i jego żoną, którzy zajęli się pogrzebem.

— Bardzo nam miło, lady Helen, że pani przyszła — dziękowali jej serdecznie. — Zapraszamy na przyjęcie w Hotelu Wiejskim zaraz za wioską.

Przyszła. W hotelowym holu klębili się goście. Przyjęła kieliszek lichego szampana, i wtedy wypatrzył ją Charles Ferguson.

— Witaj, kochana Helen. — Ucałował ją w policzki. — Boże, wyglądasz na pięćdziesiąt lat. Jak ty to robisz?

— Zawsze byłam czarusiem, Charles. — Zwróciła się do Hanny u jego boku. — Proszę uważać na niego, moja droga. Pamiętam jego romans z żoną urugwajskiego ambasadora, który wyzwiał go na pojedynek.

— No wiesz, Helen, wstydziłabyś się. Ta wspaniała istota jest moją asystentką. Poznajcie się. Główny inspektor Hanna Bernstein, a to Sean Dillon, który dobrze znał Tony'ego. Dillon, poznaj lady Helen Lang. Służyłem z jej mężem w Korei. Syn Helen, major Peter Lang, służył w Gwardii Szkockiej i w wywiadzie. Był jednym z naszych najlepszych tajnych agentów, no wiesz gdzie. Ale dwa lata temu ktoś z IRA go dopadł i wysadził w powietrze. Podłożył bombę samochodową.

Dillon miał na sobie luźny granatowy garnitur od Armani. Przypadł Helen Lang do gustu już w chwili, gdy tylko ucałowała się sobie dłonie.

Ktoś zadzwonił do Fergusona, przeprosił więc towarzystwo i odszedł. Dillon i Hanna za nim.

W lady Helen było coś, czego Dillon nie umiał zdefiniować, gdy więc Ferguson skupił się na rozmowie z mężczyzną, który do niego zadzwonił, Dillon ruszył za nim w

stron balustrady na tarasie. Tam zobaczył, że kobieta łyka pigułki.

— Moje przynie pani szampana?

— Szczerze mówiąc, wolałabym whisky.

— Słuchaj, uprzejmie. Może by irlandzka?

— Jak najbardziej.

Wrócił po chwili z dwoma szklaneczkami. Odstawiła swoją, wyjęła srebrny papieros i podsunęła w jego stronę.

— Folguje pan sobie?

— Niesamowicie z pani kobietą.

W jego ręce błysnęła staro-wiecka zapalniczka Zippo.

— Czy mógłby mi coś powiedzieć, panie Dillon? — spytała. — Opowiadał mi o panu moim starym znajomym Tony Emsworth. Powód był szczególny.

— Chodziło o pani syna, lady Helen — domyślił się Dillon. — Dziwi się, że w ogóle pani ze mną rozmawia.

— W moim przekonaniu na wojnie te powinny obowiązywać zasady. A z tego, co mi powiedział Tony, zachował pan honor, aczkolwiek postąpił pan bezwzględnie i nie zawsze słusznie.

— Przyznaj się do winy. Skłonił głowę z udawanym pokorzeniem.

— Ech, łotr z pana. Teraz może mi pan przynieść szampana, byle otwarte i przyzwoitego.

— Do usług.

TYDZIEń później lady Helen i Hedley polecili z Gatwick do Nowego Jorku jednym z samolotów Golfstrom należących do jej firmy i zatrzymali się w hotelu Plaza. Helen Lang miała przy sobie koltą dwudziestkę pięt. Tyle lat już latała, i nikt nigdy nie sprawdzał jej na granicy.

Teraz już znała całą teczka na pamięć. Wiedziała, na przykład, że Martin Brady, urzędnik Związku Zawodowego Szoferów, chodzi do związkowej siłowni w pobliżu nowojorskich doków trzy razy w tygodniu i zwykle wychodzi stamtąd o dziewięć wieczorem. Hedley wysadził lady Helen przecznicą dalej. Pokonała ten odcinek pieszo.

Brady miał czerwonego mercedesa. Czekając w zaułku nieopodal miejsca, w którym zaparkował. Wyskoczyła tylko na chwilę, żeby strzelić mu w kark, kiedy pochylił się, chcąc otworzyć samochód.

Ten pomysł podsunął jej Hedley. Słyszał, że mafia woli wykonywać egzekucje pistoletem małego kalibru. Policja zatem pomyśli, że to porachunki mafii ze zwiźkiem.

Thomas Cassidy, który dorobił się na pubach irlandzkich, okazał się równie łatwym celem. Otworzył niedawno nowy pub w Bronksie i zawsze parkował w małej uliczce na jego tyłach. Sprawdziła to dwa wieczory z rzędu, a załatwiła go trzeciego, o pierwszej nad ranem, kiedy otwierał samochód. Według „New York Timesa” istniał gang chroniący ten rewir i policja uważała, że Cassidy padł jego ofiarą. Lady Helen dowiedziała się o tym wszystkim ze swego komputera.

Patrick Kelly, szef przedsiębiorstwa budowlanego, okazał się jeszcze łatwiejszym celem. Miał dom w Ossining na wsi. Zwykle wstawał o szóstej rano i biegał po dziesięć kilometrów. Sprawdziła jego trasę i pewnego ranka stanęła pod drzewem, kiedy nadbiegał, po czym strzeliła mu dwa razy w serce. Zdjęła z jego ręki złoty rolex, a z szyi łańcuszek, znów za podszeptem Hedleya. Aby wyglądało na zwykły napad rabunkowy.

Zatem wszystko poszło jak po maśle. Nie musiała nawet zbyt czysto się gąbić po proszki, a Hedley, mimo wstydliwość, okazał się skałą. Czy jestem taka zła — zadawała sobie w duchu pytanie. Ale niczego nie atowała, z erana dżewianu i sprawiedliwości. I tak to trwało aż do owej deszczowej nocy na Manhattanie, kiedy w oczekiwaniu na powrót senatora Michaela Cohana z hotelu Pierre do domu, zboczyła z kursu.

W TYM samym czasie, kiedy Helen Lang wracała do hotelu Plaza, pocieszając się myślą, że zdybie Cohana w Londynie, zdarzyły się inne rzeczy, które wywarły na nią poważny wpływ.

Kilka godzin po udaniu się lady Helen na spoczynek, Hanna Bernstein weszła do gabinetu Charlesa Fergusona w Ministerstwie Obrony, a za nią Dillon.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie generale, ale mam naprawdę gorącą wiadomość.

— Doprawdy? — uśmiechnął się. — Zamieniam się w słuch. Skinęła głową do Dillona, który powiedział:

— Mój stary przyjaciel, z pochodzenia Irlandczyk, niejaki Tommy McGuire, od lat handluje bronią. Wczoraj w nocy złapali go w Kilburn z zepsutym wiatłem stopu i jakimś gorliwym młodym funkcjonariuszem uparł się, żeby mu przeszukał bagażnik.

— I co? Niespodzianka — dodała Hanna Bernstein. — Dwadzieścia pięć kilogramów semtexu i dwa kałasznikowy ak 47.

— Wybornie — stwierdził Ferguson. — Ze swoją kartoteką powinien dostać dziesięć lat.

— Jest jedno ale — uprzedziła szefa Hanna. — Mówi, że chce się z nami dogadać.

— Twierdzi, że może nam wystawić Jacka Barry'ego — dodał Dillon.

General zamilkł i zamyślił się.

— Gdzie jest teraz McGuire?

— W więzieniu Wandsworth — powiedziała Hanna.

— W takim razie spotkajmy się z nim i zobaczymy, co temat ma do powiedzenia.

Więzienie Wandsworth uchodzi za jedno z najcięższych. Ferguson spotkał się z dyrektorem i przedstawił mu taki papier, który kałdego zwałiby z nóg. Nikt nie mógł mieć widzeć z McGuire'em bez osobistej zgody Ferguson, nawet sekcja antyterrorystyczna Scotland Yardu. W wypadku najdrobniejszego odstąpienia od tego wymogu dyrektor więzienia sam może dostać wyrok za złamanie Ustawy o ochronie tajemnicy państwowej.

Ferguson, Bernstein i Dillon czekali w sali przesłuchań. Strażnik doprowadził McGuire'a.

Ten na widok Dillona omal nie dostał ataku szału.

— Chryste Panie, Sean, to ty?

— We własnej osobie. — Dillon wyjął pozostałym: — Tommy i ja mamy za sobą bogatą przeszłość. Bejrut, Sycylia, Paryż.

— No i, oczywiście, IRA — dodał Ferguson.

— A właściwie nie. Tommy nigdy nie pchał się do akcji, natomiast potrafił zdobyć wszystko, co miało swoją wagę. Czy to automaty, semtex, czy wyrzutnie rakiet. Bardzo pomagał mu w tym amerykański paszport i to, że zawsze działał jako agent firm handlujących zagraniczną bronią. Niemieckich czy też francuskich. Nadal kryje starego Joberta z Marsylii. Hanna spojrzała na McGuire'a z absolutnym pogardem.

— Wczoraj w nocy znaleziono w paśmie aucie dwa kałasznikowy ak 47 i dwadzieścia pięć kilo semtexu. Rozumiem, że to próbki handlowe? Z kim miał się pan zobaczyć?

— To jakieś nieporozumienie — powiedział McGuire. — Nie wiedziałem, że tam

s . Powiedziano mi, że po moim przylocie będzie na mnie czekał na Heathrow samochód z kluczykami w rękach. To z pewno ci pułapka.

— Wychodzimy — zaraz dziś chłodno Ferguson.

— No dobrze, już dobrze — zmiętygował się McGuire. — Ma pani rację, to próbki. Od Joberta dla Tima Pat Ryana. Po przyjeździe tutaj zadzwoniłem do Tima, żeby się umówił, i dowiedziałem się, że nie przyje.

— Istotnie — potwierdził Ferguson. — Ale co wspominał pan o Jacku Barrym. McGuire zawahał się.

— Tim Pat Ryan był człowiekiem Jacka Barry'ego w Londynie. Przysięgam, że mogę go wam wystawić. Posłuchajcie.

— Czyli zna go pan? — spytała Hanna.

— Nie. Nigdy go nie spotkałem.

— To dlaczego marnuje pan nasz czas?

— Proszę pozwolić mi — odezwał się Dillon i poczęstował McGuire'a papierosem. — Nigdy nie spotkałem Jacka Barry'ego? To dobrze, bo ja spotkałem. A gdyby wszedł mu w drogę, odwróciłby ci ją, tak, dla zabawy. Niech zgadnę. Jack wziął rozbrat z Dublinem, Sinn Fein i procesem pokojowym. Pewno uważa, że to banda starych bab.

— Tak słyszałem.

— No to zgadnij dalej. Wyszło mu źródło dostaw broni z Dublina. Ale ponieważ sam jest bogaty, może prowadzi interesy z Jobertem na własną rękę. Kupuje od niego semtex, broń palną, co chce, a ty tylko po redniczysz.

— Zgadza się — potwierdził skwapliwie McGuire. — Za trzy dni jestem z nim umówiony w Belfastie.

— Tak? — zainteresował się Ferguson. — A gdzie dokładnie?

— Mam się zameldować w hotelu Europa i czekać. Przyjeżdża tam po mnie.

W pokoju zapadło milczenie. Ferguson wstał.

— Zaprowadzę cię wprost do kryjówki w Holland Park. Hanna nacisnęła guzik, wszedł strażnik.

— Proszę go zabrać z powrotem do celi i przygotować do wyjścia.

— Czyli wchodzimy w układ? — upewnił się McGuire. Ale strażnik już go wyprowadzał.

Dillon zwrócił się do Fergusona:

— Mylił pan o tym samym, co ja?

— Musisz przyznać, że pułapka będzie przednia. Bo kiedy McGuire'a zastąpi ktoś inny? To nas może doprowadzić wprost do Barry'ego, a marzę o tym, żeby go dostać w swoje ręce.

— Pozostaje tylko drobny szczegół — przypomniała szefowi Hanna Bernstein. — McGuire jest Amerykaninem. Kogo mu wystawimy? Potrzebny jest ktoś, kto może uchodzić za Amerykanina. I żeby Barry się na to nabrał.

— Słuszna uwaga — przyznał Ferguson. — Zresztą, moim zdaniem, sprawa ma aspekt amerykański. Prezydentowi na pewno zrzędląby mina, gdyby w rodoku negocjacji pokojowych z Irlandczykami znalazł się Amerykanin, który próbował sprzedać broń jednemu z najniebezpieczniejszych terrorystów w całej branży.

Dillon, jak zwykle przebiegły, uprzedził go.

— Mam zatem porozmawiać z Blakiem Johnsonem?

— Od tego przecie mamy Piwnicę, prawda, szefie — wtręciła Hanna.

— Kto wie? — dodał Dillon. — Blake pewno chętnie skoczy do Irlandii. A kto lepiej odstawi Amerykanina niż rodowity Amerykanin?

— Ty to masz głowę na karku, Dillon. — Ferguson uśmiechnął się. — Ale wyjdźmy już z tego ponurego miejsca.

BLAKE Johnson mimo pięćdziesiątki na karku nadal znakomicie się prezentował. W wieku dziesiętnastu lat zaciągnął się do piechoty morskiej, a z Wietnamu wrócił ze Srebrną Gwiazdą i Krzyżem Męstwa oraz dwoma Purpurowymi Sercami. Po ukończeniu prawa zatrudnił się w FBI. Kiedy prezydent Jake Cazalet był senatorem i zaczęli się na niego prawicowcy, Johnson sam nadstawił karku i oberwał kulą, osłaniając Cazaleta. Tak zrodziła się jego specyficzna wierność, który został prezydentem, a następnie awans na dyrektora Wydziału Spraw Wewnętrznych w Białym Domu, przykrywką dla prywatnego oddziału leżącego prezydenta, czyli Piwnicy. Johnson dowiódł swojej przydatności dla obecnej administracji w wielu „mrocznych” operacjach, również tych, które wymagały udziału Fergusona i Dillona.

Pewnego parnego popołudnia Johnson przybył do Gabinetu Ovalnego i zastał prezydenta podpisującego dokumenty z szefem kancelarii Henrym Thorntonem. Blake Johnson lubił Thorntona, co było nie bez znaczenia, bo Thornton na dobrą sprawę trząsł Białym Domem. Nie miał zbyt wysokiego uposażenia, za to nad wyraz prestiżową pracą. No i należał do tych nielicznych ludzi, którzy znali prawdziwy cel Piwnicy.

Umiechnę się teraz.

— Hej, Blake, wyglądasz na zamyślonego.

— Faktycznie — odparł Johnson. Cazalet odchylił się w krzesło.

— Co złego?

— Powiedzmy, że dziwnego. Odbyłem ciekawą rozmowę z Charlesem Fergusonem.

— Dobra, Blake, wal najgorsze.

Kiedy Johnson skończył, prezydent powiedział:

— Powiedz mi, czy chcesz jechać do Belfastu, wcieli się w McGuire'a i spróbuj pokonać Barry'ego na jego własnym terenie?

— Od jakiego czasu nie brałem urlopu, panie prezydencie. Poza tym miło byłoby znów się spotkać z Dillonem.

— Blake, na miłość boską, przecie tam panuje wojna. Czy to naprawdę konieczne?

— Panowie, wypruwali my sobie żyły na rzecz pokoju w Irlandii Północnej. Próbowaliśmy Sinn Féin, lojali ci odbywali rozmowy, ale sytuacja kreuje odzłupki i grupy terrorystyczne. Jack Barry to złe nasienie. A proszę pamiętać, panie prezydencie, że jest również żołnierzem amerykańskim, który został zwolniony ze służby w Wietnamie nie mniej, ni więcej tylko za zabójstwo. Od lat bawi się w reżym, mamy więc do niego takie same prawa jak oni. Proponuję, żeby go usunąć. Cazalet umiechnę się.

— Widz, Blake, że masz w tej sprawie pełną jasność.

— Jak najbardziej, panie prezydencie.

— Tylko postaraj się wrócić cały i zdrowy. Bo strata ciebie byłaby dla mnie poważną niedogodnością.

FERGUSON odłożył czerwony telefon bezpiecznej linii w swoim gabinecie w Ministerstwie Obrony w Londynie i nacisnął guzik interkomu.

— Proszę.

Po chwili wszedł Dillon z Hanną Bernstein. Ferguson zwrócił się do nich.

— Rozmawiałem z Blakiem Johnsonem. Pojutrze zamelduje się w hotelu Europa pod nazwiskiem McGuire. Będzie go we dwoje obstawiali.

— A jak dostaniemy osłonę? — spytała Hanna.

— To pani będzie osłoną, pani inspektor. Nie chcę tu widzieć policji z Ulsteru

ani wywiadu wojskowego z Lisburn. Wszędzie mają przecieki. Musicie to załatwić we troje — pani, Dillon i Blake Johnson. Wystarczy warn kajdanki dla Barry'ego.

— Załatwione, panie generale — odpowiedział za wszystkich Dillon.

Rozdział trzeci

JAK to się czuło w Belfastzie, kiedy zimny północny wiatr przywiał na miasto deszcz, który siekł teraz w okna pokoju Dillona w Europie, jednym z najczęściej bombardowanych hoteli miasta.

Dillon podniósł słuchawkę, zadzwonił do pokoju Hanny Bernstein.

— To ja. Jesteś gotowa?

— Nie. Właśnie wyszłam spod prysznicza.

— O, to zaczekaj, jutro do ciebie przyjdę.

— Nie wygłupiaj się, Dillon. Czego chcesz?

— Dzwoniłem na lotnisko. Rejs z Londynu ma godzinne opóźnienie. Chyba zejdziesz do baru, co przekazać cię.

— No, to spotkajmy się na dole.

Minęło południe, bar „Biblioteczny” wiecił pustkami. Dillon zamówił herbatę, herbatę Barry'ego, ulubiony gatunek Irlandczyków, i siedział w kącie zatopiony w lekturze „Belfast Telegraph”. Po dwudziestu minutach podeszła do niego Hanna. Wyglądała bardzo elegancko w brązowym damskim garniturze. Rude włosy miała związane z tyłu.

Pokiwał głową z uznaniem.

— Pięknie wyglądasz. Zupełnie jakbyś tu przyjechała na rewidację mody.

— To herbata? — spytała. — Sean Dillon pije herbatę, mimo że bar jest otwarty? Nie sądziłam, że dojdzie takiego dnia.

Uśmiechnął się, wezwał gestem barmana.

— Skoro jesteście w Irlandii, proszę o dwie kanapki z szynką. A dla ciebie?

— Sałatkę wiosenną i herbatę.

Przekazał barmanowi zamówienie i złożył gazetę.

— I co? Znowu stajemy do walki, żeby rozwiązać problem irlandzki.

— A dzisiaj, czy nam się nie powiedzie?

— Hanno, to się cię gniewa od siedmiuset lat. Rozwiązanie powinno być nadej

dawno temu.

— Chyba nie jeste w najlepszym humorze. Zapalił papierosa.

— Zawsze jak przyje d am do Belfastu, ogarnia mnie taka chandra. To przez ten zapach, ten nastrój. Tu dla mnie zawsze trwa wojna. Powinienem odwiedzi grób ojca, ale jako nigdy nie mog si zebra .

— Jest jaki konkretny powód?

— Bóg raczy wiedzie . Miałem ustawione ycie. Królewska Wy sza Szkoła Teatralna, Teatr Narodowy, opowiadałem ci ju , a miałem zaledwie dziewi tna cie lat. I wtedy Anglicy rozwalili mojego staruszka.

— Przez przypadek.

— Jasne, ale w wieku dziewi tnastu lat człowiek inaczej patrzy na ycie.

— Dlatego wst piłe do IRA, eby walczy o wznioś spraw ?

— Dawno temu. Wiele trupów temu.

Przyniesiono jedzenie. Młoda kelnerka podała i odeszła. Hanna zapytała:

— A patrz c wstecz, ałujesz?

— Bo ja wiem? Do dzisiaj mógłbym być zosta filarem Królewskiego Towarzystwa Szekspirowskiego. — Zjadł z apetytem kanapk z szynk . Si gn ł po nast pn . — Mógłbym si okry sław . Czy Marlon Brando nie mówił czego podobnego?

— Musisz si zadowoli tym, e okryte si niesław .

— I w moim yciu nie ma kobiety. Bo ty mnie wiecznie odtr casz.

— Biedaczysko.

— Nie mam rodziny. To znaczy mam w hrabstwie Down sporo krewnych, ale uciekliby na kilometr, gdybym zjawił si na horyzoncie.

— Nie dziwi si . Ale do ju tego ponuractwa. Ch tnie dowiem si czego wi cej o Barrym.

— Lepiej znałem jego stryja, Franka Barry'ego. Sporo mnie nauczył, zanim nasze drogi si rozeszły. Jack był zawsze złym nasieniem. Sprawdził si w Wietnamie, ale wyrzucono go z armii, bo wymordował je ców Vietcongu. Od tamtej pory jeszcze bardziej si stoczył.

W tej chwili do baru „Bibliotecznego” wszedł Blake Johnson w eleganckim ubraniu od Raybansa — ciemnoniebieskiej koszuli, spodniach i szarej tweedowej marynarce. Miał czarne włosy przyprószone siwizn . Najwyra niej nikogo nie poznawał. Podeszedł wprost do baru.

— Biedny skurczybyk. Wygląda, jakby trafił tu z dalekiej podróży — szepnął Dillon.

Hanna wstała.

— Chodźmy na górę. Zaczekamy na niego w twoim pokoju. Dillon wezwał barmana.

— Proszę to zapisać na rachunek pokoju pięćdziesiąt dwa — poprosił i wyszedł za nią.

DESZCZEBNIŁ o szyby, kiedy Dillon wyjść z lodówki i otworzył małą butelkę markowego szampana:

— Miło cię widzieć, Blake.

— I ciebie, mój drogi irlandzki przyjacielu. — Johnson uniósł kieliszek w jego stronę, a następnie zwrócił się do Hanny. — Witam pani inspektor. Jeszcze pięćdziesiąt pięć dni pani wygląda niemiłosiernie.

— Ej, e, to ja tu jestem od takich uwag — zgasił go Dillon. — Ale do rzeczy.

Usiedli.

— Zapamiętaj wszystko, co mi przesłali ci drogą elektroniczną.

— powiedział Johnson. — Przeszło McGuire'a, francuski komórkowy, dla którego pracuje, Joberta i spółka, oraz Tima Pata Ryana, który omal ci nie załatwił w Londynie, Sean. A co do Barry'ego — powiedz mi wszystko, co o nim wiesz. Nawet to, co mam już w aktach.

Dillon się rozgadał. Po chwili Amerykanin stwierdził:

— Rozumiem. Muszę teraz zebrać myśli. Dillon pokiwał głową.

— Czekaj w barze między szóstą a siódmą wiadomo, że podstawiono taksówkę dla pana McGuire'a.

— Kurs nieznany?

— Ma się rozumieć. Pewno Barry gdzieś czekał gdzieś w mieście, zapewniając sobie wiele dróg ucieczki, na wypadek, gdyby co nawaliło. Na przykład w dokach.

— A ty będziesz jechał za nami?

— Zielonym land roverem. — Dillon podał mu kawałek papieru.

— Tu masz numer.

— A jeśli mnie zgubisz?

— To niemożliwe. — Hanna Bernstein położyła na stole czarną teczkę i otworzyła ją. — Tu mamy specjalnie wyszukiwarkę.

— Najnowszy typ — dorzucił Dillon. Była to czarna kasetka z ekranem.

— A teraz uważaj — powiedziała Hanna i nacisnęła guzik. Wyświetliła się mapa miasta. — Jest tu cała Irlandia Północna.

— Imponujące — pochwalił Johnson.

— A co powiesz na to? — Otworzyła małą szkatułkę i wyjęła złoty sygnet. — Mam nadzieję, że będzie pasował. Bo jeżeli nie, to mam jeszcze jeden pluskiewkę, który może esz przypięć, gdzie tylko zechcesz.

Johnson włożył sygnet na lewą rękę. Skinął głową.

— Pasuje.

— O żadnej broni — przestrzegł Dillon. — W tych sprawach **ludzi** Barry'ego nie da się oszukać.

— W takim razie trzymaj się tu za mnie.

— Nie bój się. Będziemy, i to uzbrojeni po zęby.

— Czyli plan jest taki, że mam cię doprowadzić do Barry'ego, a wy go załatwicie? Bez policji, bez obstawy?

— To czarna robota, Blake. Chwytny skurczybyk, dajemy mu zastrzyk, wieziemy ciupasem na lotnisko, skąd samolotem lecimy na Farley Field, lotnisko RAF-u pod Londynem.

— A potem?

— Do naszej dziupli w Holland Park w Londynie, gdzie rozmówisz z nim generałem — powiedziała Hanna.

— Teraz istnieją niesamowite środki odurzające — dodał Dillon. — Facet w mig wyśpiewa wszystko.

Blake pokiwał głową.

— Ciesz się, że tu jestem i pan prezydent jest również zadowolony. Jestem do waszej dyspozycji.

BAR „Biblioteczny” cieszył się popularnością wśród biznesmenów, którzy lubili się napić przed powrotem do domu. Toteż gdy Johnson wstąpił tam tu po szóstej, było w nim dość rojno. Usiadł przy barze, zamówił whisky z wodą sodową. Spięty, lecz opanowany. Dochodziło pół do siódmej. Zamówił jeszcze jedną małą whisky, a kiedy barman ją przed nim postawił, wszedł portier, trzymając tabliczkę z nazwiskiem McGuire.

— To ja — zgłosił się Johnson.

Kiedy wsiadał do czerwonej taksówki, mocno padało.

— Witam szanownego pana — przywitał go kierowca z wyraźnym akcentem z Belfastu, kiedy Johnson siadał z tyłu.

Taksówka ruszyła, Dillon z Hanną za nią land roverem. Taksówkarz nie odzywał się przez całą drogę do doków, gdzie zaparkował za starym fordem transitem.

— Jesteś tu na miejscu, pan tu wysiada.

Johnson usłuchał. Taksówka odjechała, po czym otworzyły się tylne drzwi transita i z wozu wyskoczyło dwóch mężczyzn. Jeden był w kurtce pilota, drugi, brodacz, miał na sobie burkę australijskiego poganiacza bydła, długą do kostek. Obaj mieli przy sobie broń.

— Pan McGuire? — spytał brodacz. — Ja jestem Daley, a to Bell. Jeden fałszywy ruch i pan nie żyje. Ręce na wóz.

Johnson oparł się dłońmi o transita, rozstawił nogi. Przeszukano go dokładnie. Zadowolony Daley powiedział:

— Na tył i jedziemy.

Siedzenia z tyłu były dość wygodne. Daley usiadł naprzeciwko, Bell zamknął drzwi, wskoczył za kółko i ruszył.

— Co to znaczy? — spytał zdenerwowany Johnson. — Przyjechałem tu w dobrej wierze, bo obiecano mi zorganizowane spotkanie z panem Barrym.

— On tego nie może się doczekać spotkania z panem — rzekł Daley. — Proszę się uzbroić w cierpliwość.

DILLON widząc, że taksówka skręca w stronę doków, zatrzymał się przy małej uliczce, wysiadł i poszedł dalej pieszo. Teraz ruszył biegiem do land rovera i usiadł za kierownicą.

— Musiał się przesiąść. Do białego forda transita — powiedział Hannie i już po chwili jechał za nim opustoszałymi ulicami.

Łało niemiłosiernie. Wraz z zapadnięciem ciemno ci zorientował się, że wyjeżdża z miasta.

W pewnym miejscu trafili na migające światła ostrzegające o robotach drogowych. Jezdnia z dwupasmowej zmieniła się w jedno-pasmową.

— Cholera! — zaklęła Hanna.

— Otwórz tylko kasetkę, dziewczyno. Wszystko będzie dobrze. Położyła walizeczkę na kolanach, podniosła wieko, zabrała się

do roboty. Mapa była jasna. Transit zniknął im z oczu, ale to nie miało

znaczenia. Wytropili go na ekranie. Nadal kierowali się na północ.

— Dokąd my, do diabła, jedziemy? — spytała Hanna.

— Niedaleko stąd jest Antrim. Mówię do Hiszpańskiej Kopy?

— To jakiś obłąd. Przecież mówię, że to teraz właśnie skarbu państwa.

— Owszem, ale takie otwiera się dla publiczności dopiero na Wielkanoc. Pilnuj ekranu, zaraz się przekonamy.

TRANSIT jechał wzdłuż wybrzeża, deszcz na chwilę ustał, niebo było burzowe, wisiął na nim półksiężyc. Wreszcie skręcili w boczny dróg i zatrzymali się przed bramą. Widniała na niej tablica: Hiszpańska Kopa — Posiadłość Państwa.

Obok stał nieduży domek. W oknie paliło się światło. Bell nacisnął dzwonek, drzwi się otworzyły, na progu stanął staruszek. Zawahał się, na co Bell wrzasnął:

— Harker, naciśnij do cholery guzik i nas wpuść.

Staruszek otworzył skrzyneczkę przy drzwiach, trochę w niej pogmerał, brama się otworzyła i Bell wjechał do rodka. Przez tylne okno furgonetki Johnson zobaczył zamek nad urwiskiem, z wieżyczkami i blankami, zapierający dech w piersiach. Dopiero kiedy podjechali bliżej, zorientował się, że to jedynie spora dziewiętnastowieczna rezydencja wiejska w stylu gotyckim. Transit się zatrzymał, Bell wysiadł i otworzył tylne drzwi. Johnson wysiadł za Daleym. Przed nimi rozciągał się wielki dziedziniec.

— Teraz, panie McGuire — pokierował nim Daley.

Bell otworzył masywne dubowe drzwi i wszedł pierwszy. Znaleli się w ogromnym holu z kamiennymi posadzkami, otwartym kominkiem i flagami powiewającymi na masztach.

Daley podniósł szerokimi schodami na górę, Johnson za nim. Bell ubezpieczał tyły. Szli obszernym korytarzem zawieszonym portretami, wreszcie Daley otworzył wielkie mahoniowe drzwi. Znaleli się w bibliotece. Tam również wisiły portrety, na pokaznym kominku płonęły drwa, drzwi na balkon były otwarte. Stał w nich postawny barczysty mężczyzna z kieliszkiem wina w ręce. Miał na sobie czarny sweter i dżinsy. Kiedy się odwrócił, Johnson zobaczył przystojnego, mrocznego, zamyślonego, a przy tym okrutną twarz.

— Pan McGuire? — upewnił się Jack Barry.

— Bardzo mi miło. — Johnson próbował udawać, że jest roztrzęsiony. — Bo już się martwiłem.

— Ej, niech się pan nie udaje, panie Johnson. Doskonale wiem, kim pan jest.

Blake Johnson, osobisty ochroniarz prezydenta Jake'a Cazaleta. To pan prowadzi Piwnic, bo tak się to chyba nazywa? Może kieliszek sancerre? — Wyjął butelkę z kubelką z lodem, nalał, podał go ciowi. — Proszę. Wiem z dobrego źródła, że prawdziwy McGuire pozostaje w rękach generała brygady Charlesa Fergusona i Seana Dillona. I to jest mój drugi handlarz w Londynie, Tim Pat Ryan, rozstał się bezpowrotnie z tym światem. A więc pan zna mojego starego przyjaciela Seana Dillona?

— Przyjaciela?

— No może ciut za wiele powiedziane. Ale trzymajmy się faktów. Mam wietnych informatorów, jednak mógłbym się jeszcze czego dowiedzieć od pana, chociażby szczegółów na temat działalności tego starego łotra Charlesa Fergusona.

— Niech mnie pan pocałuje w dupę — obruszył się Johnson.

— Niestety, liczyłem się z taką pańską reakcją. — Barry skinął głową na Daleya. — Chyba trzeba by mu zaaplikować Rynn. Niech sobie tam godzinkę odmoknie. Zobaczymy, co to da.

KIEDY Daley i Bell prowadzili Johnsona w stronę nadmorskich skał, niebo nad wzburzonymi falami rozdarła błyskawica. Ruszyli cięk w dół, Bell prowadził z latarni w ręce. W połowie drogi raptem się zatrzymał.

— To tutaj.

Biała piana buchnęła z głuchym rykiem. Daley pchnął Johnsona naprzód.

— Właśnie. Trzy metry niżej jest półka. Wytrzymasz. A ponieważ noc jest chłodna, pozwól ci zatrzymać ubranie.

Johnson zawahał się, po czym ruszył w dół. Pokonał kilka stopni, znalazł się na występie skalnym. Piana wzbijała się do góry, a mu oddech cięło. Boże, ależ cię!

Daley przykazał Bellowi:

— Pilnuj go, za jakiś czas wróć. I ruszył w stronę zamku.

— Czyli miałem rację — powiedział Dillon, podjeżdżając z Hanną pod zamek. — To jednak Hiszpańska Kopa.

Zatrzymał się przed bramą, ale nie gasił silnika. Hanna wysiadła, usiłowała otworzyć odzwia, ale jej się nie udało.

— Nic z tego, pewnie to elektroniczny zamek. Poczekać chwilę. Z jednej strony domku była niewielka furtka przeznaczona dla

pieszych. Kiedy Hanna wspięła się na nią i zeskoczyła z drugiej strony, drzwi się otworzyły i zjawili się w nich staruszek.

— Hola, tu nie wolno. To prywatna posiadłość .

— Ju nie. — Wyjęła walthera z torby na pasku i przytknęła staruszkowi do brody. — Proszę otworzyć bramę, ale migiem.

Staruszek przelknął się nie na arty. Podszedł do skrzynki, nacisnął guzik, brama się otworzyła. Dillon przejechał, zatrzymał się z boku, zgasił silnik.

Wysiadł, pchnął staruszkę na ganek.

— Ciekawe, czy się dobrze domyślam. Pewnie jest pan tu strómem. Czy ktoś jeszcze mieszka w tej chałupie?

— Jestem wdowcem.

— A jak się pan nazywa?

— Harker, John Harker.

— Niezbyt dobrze się pan sprawuje, panie Harker. Posiadłość ma być zamknięta od września do Wielkanocy, a pan tu wpuszcza nieproszonych gości, takich jak mój stary przyjaciel Jack Barry.

— Nie wiem, o czym pan mówi. — Staruszek cały a dygotał. — Jego Ekscelencja jest w domu, to prawda, ale jak taki stary człowiek, jak ja, miałby temu zaradzić ?

— Jego Ekscelencja? — Dillon się roześmiał. — Człowiek tu przyjeżdża?

— Czasem zimno tu wpada. To jedna tajemnica. Inni też wiedzą, choćby słuchali ze wsi.

— I na pewno wszyscy trzymają się na kłódkę — dodała Hanna.

— A mamy inne wyjście? — spytał Harker. — Nikt nie odważy się rozgniewać Jego Ekscelencji.

— Bo kulka w łeb, tak? — spytał Dillon.

— Nie ma takiej potrzeby, skoro jest Rynna. Tam właśnie nie zginął w zeszłym roku Tim Leary.

— A co to takiego?

— Taki komin w skałach. Morze bucha przede wszystkim do góry. Jego Ekscelencja odstawia tam ludzi, którym chce dać nauczkę .

— Bo e wity! — zawołała Hanna.

— Do rzeczy — powiedział stanowczo Dillon. — Niedawno przejechał ten biały ford transit, tak?

Harker skinął głową .

— Dziś po południu wyjechał do Belfastu. A wrócił jakieś czterdzieści minut

temu.

— I kto w nim był?

— Bobby Daley i Sean Bell, obaj na usługach Jego Ekscelencji.

— A pan był ciekaw i wyszedł zobaczyć, kto jedzie. Harker się zdumiał.

— Skąd pan wie?

— Wiem wszystko. Co się stało?

— Byłem kawałek stąd, ale widziałem, jak Bell otwiera tylne drzwi furgonetki, a Bobby Daley wysiada z jakimś mężczyzną. Potem wszyscy trzej weszli do rodka.

— Kogo Barry przetrzymuje w zamku? — spytał Dillon.

— Nikogo. Są tylko Daley i Bell.

— Prowadź, dobry człowieku. Tylko cicho. Przekonamy się, czy mówisz prawdę.

LATARNIE stojące na całym terenie rzucały trochę światła, gdy tak szli w ścieżkę przez gęstą las. Wtem Harker stanął.

— Chyba ktoś idzie — szepnął.

Skryli się w ród drzew, a po chwili zobaczyli Daleya podając go w stronę zamku.

— To on — szepnął Harker. — Bobby Daley.

— Ale gdzie był? — spytał Dillon.

— Tam są tylko skały, no i Rynna.

— Czyli zostawili go w Rynnie. Teraz ostro nie.

SEAN Bell schronił się pod drzewem przy ciecie. Postawił lampę na ziemi. Był bardzo nieszczęśliwy, przemoczony do suchej nitki. Z dołu dobiegł go odgłos przypominający ryk rannego dinozaura, gdy woda w Rynnie buchnęła do góry. W taką noc Amerykanin długo nie wytrzyma.

Wtem rozległ się cichy trzask. To tłumik przytwierdzony do walthera Dillona trącił Bella w prawe ucho.

— W każdej chwili mógł rozwalić panu kulką mózg, panie Bell. doradzam zatem grzeczność.

— Kim pan jest, do pioruna? — achnął się Bell. Tymczasem Dillon obmacał go szybko i znalazł pistolet kaliber trzydzieści osiem.

— Moje nazwisko Dillon.

— O Boże!

— Ma pan dzisiaj pecha. Podobno przetrzymujecie tu pewnego Amerykanina, a

to mój dobry znajomy.

Wwiercił Bellowi walthera w ucho, na co ten a krzyknął z bólu.

— Jest w Rynnie. Wejcie tuż za ciebie.

— A dlaczego?

— Barry od razu poznał, że to nie on. Czekaliśmy na niego.

— Tak? To mnie do niego zaprowadź.

Bell podniósł lampę i ruszył za ciebie, uskakując przed białym pianem rozbryzującym się z Rynny.

— Pilnuj go — Sean przykazał Hannie, a sam podszedł do schodów prowadzących w dół. — Jesteś tam, Blake? To ja, Sean.

Blake Johnson, trzymając się zardzewiałego stalowego haka, przemarznięty do szpiku kości, odkrzyknął w odpowiedzi:

— Dlaczego tak długo?

— Wchodź na górę — zawołał Dillon.

Po chwili Johnson wdrapał się na ciebie.

— Nie było to najprzyjemniejsze, Dillon. Fatalnie się czuję.

— Ale co się stało?

— Barry wszystko wiedział. Znał moje nazwisko, wiedział o prezydencie, o Piwnicy. Powiedział, że ma tam informatora, ale chciał nowych faktów na temat twój i Fergusona.

— Chodźmy do zamku i zajmijmy się nim.

— Z najwikszymi przyjemnościami — ożywił się Johnson. — Jeszcze tylko jedno. — Odwrócił się do Bella, który stał u szczytu schodów. — Masz za swoje, łotrze. — Runął Bella tak mocno, że ten runął z krzykiem do tyłu. Po chwili woda w Rynnie wzbijała się z rykiem.

— Moemy już iść? — spytał Dillon.

— Bardzo chętnie.

Johnson poprowadził na podwórzec, stanął przed masywnymi drzwiami. Dillon nakazał Harkerowi:

— Proszę iść do bramy, siedzieć w chałupie i trzymać język za zębami. Jak pan będzie cicho, to nie zastrzelimy. Umowa stoi?

Staruszek czmychnął.

— No, to do dzieła — rzekł Johnson i otworzył drzwi.

W BIBLIOTECE Daley podłogę do kominka, a Jack Barry stał przy oknie

balkonowym i patrzył na zacinającą deszcz.

— Paskudna noc, Bobby. Ciekawe, jak te sobie radzi nasz pan Johnson.

— Lepiej, niż ci panu zdaje — odparł Amerykanin, wchodząc pierwszy do pokoju.

Wszyscy zastygli jak żywy obraz, a wreszcie Barry odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się miechem.

— Bo e, to ty, Sean.

— Do usług, Jack. Charles Ferguson chce się z tobą rozmówić, zwłaszcza po tym, co usłyszałem od swojego przyjaciela. Najwyraźniej masz tam u nas wtyczkę. Musi pochodzić z Białego Domu. Niegrzeczny z ciebie chłopca.

— Do usług, Sean. Rozumiem, że Bell rozstał się z tym wiatem?

— Nieodwołalnie.

— Ech, wszystkim nas to czeka. Należ panu Johnsonowi kieliszek brandy, Bobby, ale nie ałuj. Może postawi go na nogi.

Johnson wziął brandy od Daleya.

— No, to do rzeczy — zwrócił się do Barry'ego. — Wiedziacie, że to ja przyjdę zamiast McGuire'a.

— Co mu się stało?

— Jak dobrze wiesz, jest w bezpiecznej dziupli w Londynie. Gdzie śpiewa a miło — powiedziała Hanna.

— Co za skunks.

— Wygląda na to, że wiesz wszystko.

— Staram się trzymać rękę na pulsie, Sean. Dlatego jeszcze żyje. — I podobno szukała informacji na temat generała brygady Fergusona — stwierdziła Hanna.

— O tak. Szczwany z niego lis.

— Niedługo się z nim zobaczysz — obiecał mu Dillon. — Na pewno odbędzie z nim ciekawą rozmowę.

— O, na pewno. — Barry nalał sobie jeszcze sancerre. Podszedł do kominka. — Bobby, dolej panu Johnsonowi.

Daley podszedł do kredensu, sięgnął po karafkę, po czym szybkim ruchem wyciągnął szufladę i odwrócił się z pistoletem w ręce.

— Chyba się ci odwróciło — rzucił Barry.

Lecz Dillon trzymał rękę z tyłu pod kurtką. Wyszarpnął ją teraz, rozległ się głuchy huk. I Daley z przestrzelonym sercem padł na kredens.

Wtem Hanna krzyknęła, Dillon odwrócił się i zobaczył, że otwiera się na o cie fragment boazerii za kominkiem. Barry postąpił krok do tyłu. I wtedy ciana zamknęła się z trzaskiem. Dillon podbiegł, ale drewno nie puściło.

— Ale ze mnie dureń. Nie korzystałby z tego lokum, gdyby nie miał jednej czy drugiej drogi odwrotu. Teraz go nie dopadniemy.

Hanna spojrzała na Daleya.

— A co z nim?

Na podłodze leżał chodnik w indiańskie wzory. Dillon owiniął nim ciało.

— Pomóż mi go zarzucić na ramię, Blake. Amerykanin spełnił prośbę.

— Co teraz?

— Weźmy stąd. Możemy go spuścić do Rynny, tak jak Bella. Sean Dillon przemierzał hol, Johnson mocno pchnął przed nim

potężne drzwi, przez które wtargnął do rodzka deszcz. Dillon powiedział:

— Wyborna noc na brudną robotę. Do zobaczenia przy bramie. I odszedł.

GDY Blake i Hanna weszli do chałupy, nie zastali tam Harkera, chociaż wiatło wciśnięte paliło. Wsiadli do land rovera. Po chwili zjawił się Dillon.

— Załatwione. — Podeszedł do drzwi domku, kopnął. Otworzyły się, wyrzucił Harker.

— Zgubili my ich — powiedział Dillon. — Jego Ekscelencja i Daley uciekli tajemnym przejściem.

— Jest ich tu kilka.

— Tak czy owak, Barry wcale nie musi wiedzieć o tym, że nam pomogł. Trzymaj go blisko kłódkę, to ci nie spadnie włos z głowy. Nic się tu dziś nie wydarzyło.

— Będę milczał jak grób. Otworzę państwu bramy.

Dillon usiadł za kierownicę land rovera i ruszył w stronę szosy.

— I co teraz? — spytała Hanna.

— Możesz zadzwonić, żeby z samego rana przysłali po nas learjeta. — A przez ramię rzucił w stronę Johnsona: — A ty? Wracasz do Waszyngtonu?

— Nie, chyba załatwi sprawę do końca. Wróć z wami do Londynu i pomogę wam u mierzyć gniew Fergusona.

— Dobra, w takim razie jedziemy do hotelu Europa i niech nas tam dobrze obsłużą.

Rozdział czwarty

FERGUSON czekał na nich w limuzynie, luksusowym daimlerze, na Farley Field.

— Wsiadajcie, na miło bosk , i miejmy to ju za sob . Miło mi ci widzie , Johnson. Siadaj koło mnie. — Hanna i Dillon usiedli naprzeciwko siebie z tyłu. Hanna nacisn ła guzik, eby zamkn szyb dziel c ich od kierowcy. — Teraz powiedzcie mi to najgorsze — poprosił Ferguson.

Dillon stre cił mu pokrótce przebieg wypadków w Belfa cie i w Hiszpa skiej Kopie. Niczego nie pomin ł. Ferguson wysłuchał z kamienn twarz a do ko ca.

— Co podobnego. Ten typ wiedział, e nie jeste McGuire'em. a przecie to sprawa sprzed zaledwie kilku dni.

— I jeszcze co , panie generale. On wie na temat Piwnicy, chwalił si swoj wtyczk .

— Ale kto mógłby ni by ?

— Kto z Białego Domu.

— Nie domy lasz si ? — Ferguson spytał Blake'a.

— Nie. Musiałem skorzysta z pomocy Biura Podró y, jak okre la si eufemistycznie Wydział do spraw Fałszerstw. Potrzebny mi był paszport na nazwisko Tommy McGuire na wypadek, gdyby Barry go za dał. Trzeba te było zorganizowa podró . Bilety na samolot, pokój w hotelu Europa, wszystko na nazwisko McGuire.

— I wszystko w komputerze — dodała Hanna.

— Mimo to nie podoba mi si , e wiedział, kim jeste . — W głosie Fergusona zabrzmiał gniew. — Wcale a wcale.

— My lałem o Tommym McGuire — odezwał si Dillon. — Mo e nie powiedział nam wszystkiego. Prosz pozwoli mi go przycisn .

Ferguson skin ł przyzwalaj co głow .

— Jest do twojej dyspozycji.

— To dobrze — ucieszył się Dillon. — W takim razie mam następną plan...

Dziuple w Holland Park była wiktoriańska kamieniczka otoczona wysokim murem. Wyglądała do niewinnie, ale miała zabezpieczenia nie do sforsowania. McGuire'a zdumiały wygody: dostał własny pokój z łazienką, z telewizorem, a do tego wyborne jedzenie. Nie wiedział tylko, że jest na okrągło monitorowany, nawet kiedy idzie do łazienki.

Czasem sprowadzano go na dół do pięknie urządzonego saloniku z kominkiem. Karmiono go wyśmienicie. Zawsze do obiadu serwowano butelkę chablis. Na strażnika, niejakiego pana Foxa, wystąpił cęgi w cywilu, a ci lej w granatowym garniturze, ten nie mógł narzekać. Nie wiedział tylko, że przez wielkie weneckie lustro w złotych ramach mógł oglądać go wszyscy w pokoju obok, czyli tym razem Ferguson, Johnson i Hanna Bernstein.

Przyglądali się, jak McGuire kończy obiad pod czujnym okiem Foxa. Rozległo się pukanie do drzwi. Fox otworzył. Wszedł Dillon.

— Widz, że jesteś w dobrej formie, Tommy — powiedział. McGuire spojrzał na niego.

— Czego chcesz?

— Chciałem ci tylko powiedzieć, co się zdarzyło w Ulsterze. — Zapalił papierosa i mówił dalej: — Jack Barry nam umknął. Czmychnął z pułapki. Ale załatwili my dwóch jego ludzi, Daleya i Bella. Nic dla ciebie nie znacz?

— Nawet o nich nie słyszałem.

— Najdziwniejsze, że Barry spodziewał się mojego przyjaciela Amerykanina, faceta, który udawał ciebie. Wszystko o nim wiedział. Twierdził, że ma wtyczki w wywiadzie.

— Moje, ale to nie ma nic wspólnego ze mną — powiedział McGuire. — Powiedziałem ci już wszystko, co wiem na temat Barry'ego. Jeżeli go wypuścicie z ręk, to twój problem.

— Problem jest, owszem, ale twój, a nie mój. Bo, moim zdaniem, wiesz znacznie więcej, niż si przyznajesz.

— Bzdura! Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

— Tak? No dobra, to ci puszczamy.

— Puszczacie? — McGuire osłupiał.

— Doprowadziłem nas do Barry'ego. Pech chciał, że nam uciekł, ale przecie

nie pójdziemy z tym do s du. — Skin ł głow na Foxa. — Przyprawd pani inspektor.

— Tak jest, sir.

Fox otworzył drzwi i wyszedł, a po chwili weszła Hanna z urz dowym pismem w r ce.

— Prosz spakowa rzeczy wi nia i odstawi go na lotnisko Heathrow — zaleciła Foxowi i zwróciła si do McGuire" a. — Thomasie McGuire, mam nakaz deportacji pana jako nieproszonego tu obywatela obcego pa stwa. Zgodnie z aktami przybył pan do tego kraju nielegalnym rejsem z Pary a i tam te zostanie pan odstawiony. Nie mam poj cia, jak przyjm pana władze francuskie.

— Zaraz, zaraz... — rozpoc ł McGuire. Dillon nie dał mu jednak doj do słowa.

— ycz szcz cia, Tommy. Na pewno ci si przyda.

— Jak to?

— Jack Barry wie, e mój przyjaciel Blake Johnson to nie ty, czyli pewnie zechce si dowiedzie , co kombinujesz. Zechce ci złapa za jaja, a zatem, Tommy, ycz szcz cia.

— Nie rusz si st d na krok — burkn ł McGuire.

— W takim razie gadaj — rozkazał Dillon. Drzwi si otworzyły, weszli Ferguson i Johnson.

— No dobra, stary, wyrzu to wreszcie z siebie — powiedział Ferguson.

— Na miło bosk , dajcie mi papierosa. Dillon pocz stował go i podsun ł ogie .

— Wyrzu wszystko z siebie, Tommy. Od razu si lepiej poczujesz.

— Jak ci mówiłem, nigdy nie poznałem Barry'ego osobi cie, ale miał interesy z Jobertem w Marsylii, a ja pracowałem u Joberta. no wi c spotykałem facetów, których Barry podsylał z Irlandii w sprawie broni. Był taki jeden, Patrick Doolin, z którym handlowałem w Pary u.

Tu wtr cił si Dillon.

— Znam to nazwisko. Powiesił si w celi w wi zieniu Maze.

— To ten — potwierdził McGuire. — Wyszli my kiedy razem w Pary u na miasto, zjedli my kolacj . Dostał formalnie szału. Zacz ł nadawa na Barry'ego, jaki to z niego zwierzak. Podobno kiedy szoferował Barry'emu. Jakie trzy lata temu wiózł go po nocy, a Barry był pijany i chyba wzi ł jeszcze jakie prochy. Wygadał si

Doolinowi, że właśnie rabin był piątymi tajnymi agentami wojsk brytyjskich, czterech mężczyzn i kobiet. Twierdził, że jednego przepuścił przez betoniarkę. Resztę bodajże zastrzelił. Już nie pamiętam.

— I co dalej? — dopytywał nieubłaganie Dillon.

— Wicie chyba, że jest przywódca Synów Erynu? Podobno ten zamach zorganizowała filia nowojorska z pomocą kogoś, o kim mówił Łącznik.

— Łącznik? — upewnił się Ferguson.

— Innymi słowy, wtyczka.

— Czyli sporo temu Doolinowi powiedział — skomentowała Hanna.

Ferguson pokiwał głową.

— Niech go pan pilnuje, Fox. Bądźmy w kontakcie.

— Tak jest, panie generale. Ferguson odwrócił się do pozostałych.

— Idziemy.

GODZINÓW PÓŃNIEJ Ferguson siedział u siebie w gabinecie z Blakiem Johnsonem, kiedy drzwi się otworzyły i ku jego zdziwieniu weszła Hanna z Dillonem.

— Znalazłam coś, panie generale — powiedziała od progu. — Trzy lata temu zlikwidowano w Ulsterze grupę tajnych agentów, czterech mężczyzn i jedną kobietę. Dowódcą był major Peter Lang. Zginął od bomby samochodowej, tak potłuczony, że nie zostały po nim nawet szczątki. A oto szczegóły dotyczące pozostałej czwórki. Pewnie o tej sprawie mówił Barry.

— Mój Boże, Peter Lang, syn mojego dawnego przyjaciela Rogera Langa — westchnął Ferguson. — Poznała pani jego matkę, lady Helen Lang, na pogrzebie Tony'ego Emswortha.

— Pamiętam tę uroczystość z tarasu — rzekł Dillon. — Z takimi dowodami chyba dokądś zajdziemy. A więc, jaki jest nasz następny ruch?

— Chyba najpierw muszę porozmawiać z prezydentem — zawahał się Blake Johnson.

Ferguson pokręcił głową.

— Jeszcze nie teraz, Blake. Trochę się wstrzymaj. Co tu masz zrobić. — Odwrócił się do Hanny. — Czy były jakie potwierdzone informacje na temat kontaktów z Barrym?

— Nie, panie generale, a sprawdzałam przez MI5 i MI6. Zamylił się.

— Proszę natychmiast zadzwonić do Simona Cartera. I spytać go, co wie na temat Jacka Barry'ego i Synów Erynu, a także przecieków z góry, niewykłuczone.

z Białego Domu.

— Tak jest — powiedziała Hanna i wyszła.

— JAK zwykle był rozdrażniony. Choć może nie tak bardzo — zameldowała Hanna, kiedy wróciła po półgodzinie.

— Jak to? — spytał Ferguson.

— Wydawał się wyraźnie wstrząśnięty. Odniosłam wrażenie, że już o tym wiedział, chociaż to przecie niemożliwe.

— Ten szczywany łotr potrafiłby okłamać nawet Wszechmogącego — przypomniał jej Dillon.

— Muszę przyznać, że cholernie szybko wrócił. I przedstawił mi kartotekę Jacka Barry'ego. Ale nie ma w niej nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

— żadnych informacji na temat Synów Erynu? — Johnson zwrócił się do Fergusona. — Czy Carter nadal jest zastępcą dyrektora Wydziału Słuszb Specjalnych?

— Jak najbardziej.

— Skoro więc on nic nie wie...

— Niech mnie pani poinformuje czy z nim przez komórkę — poprosił Hanna Ferguson. Wystukała numer, podała generałowi telefon.

— Carter? — odezwał się Ferguson. — Muszę się z tobą spotkać. W Terrace w Westminsterze za pół godziny.

— Posłuchaj, Ferguson...

— Właśnie kości raport dla premiera. Chętnie przyjmę twoje sugestie. — Ferguson wyjął telefon i zadumał się. W końcu powiedział: — Zabiorę cię ze sobą, Johnson, jako przedstawiciela prezydenta. To wywrze na nim wrażenie. I ciebie też, Dillon, bo zawsze go wyprowadzasz z równowagi.

— O, mało kto mnie tak nienawidzi jak nasz stary, poczciwy Carter.

— No cóż, chętnie go rozdrażni. — Ferguson zwrócił się do Hanny. — Jest pani geniuszem komputerowym. Proszę sprawdzić wszystko, co może mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Wstał. — Ruszamy.

NAWET ktoś rangi Fergusona musiał stać w kolejce do gmachu parlamentu brytyjskiego. Posuwano się niemiłosiernie powoli, bo wszystkich sprawdzali dokładnie najpotężniejsi policjanci w Londynie. Generał, Blake Johnson i Sean Dillon wreszcie dotarli do głównego holu, pokonali labirynt korytarzy i znaleźli wejście na taras z widokiem na Tamizę.

— Chwała Bogu, Dillon, e zało yłe marynark — powiedział Ferguson. —
Przynajmniej wygl dasz jak człowiek.

Dillon machn ł na kelnera, który niósł kieliszki szampana.

— Czy pan tu jest z japo sk delegacj ? — zapytał.

— A jak pan my li?

Dillon podał kieliszek Johnsonowi, drugi Fergusonowi, który przyj ł, aczkolwiek z oci ganiem. Sam te wzi ł. Stali przy parapecie i wygl dali na Tamiz .

— Jakie tu s zabezpieczenia? — zainteresował si Johnson.

— W dole rw cy nurt, pi w złów — odparł Dillon. — Nawet oddziały specjalne marynarki wojennej miałyby problemy.

— Ale nie Dillon — pochwalił si Ferguson przed Amerykaninem. — Przyłyn ł tu dwa lata temu na spotkanie waszego prezydenta z członkiem parlamentu, eby pokaza Carterowi, i jego zabezpieczenia wcale nie s takie niezawodne. Zjawił si w przebraniu kelnera i podał im kanapki.

Johnson wybuchn ł miechem.

— Fakt, e Carter nie był zachwycony — powiedział skromnie Dillon.

W tym momencie zjawił si Carter. Skrzywił si na widok Dillona.

— Ferguson, na miło bosk , musimy przebywa w towarzystwie tego draba?

— Wezwałem tu Dillona, bo go potrzebuj . A to jest Blake Johnson, szef ochrony osobistej prezydenta Cazaleta.

— Znam pana Johnsona. — Carter niech tnie podał mu r k .

— Do rzeczy — zaproponował Ferguson. — Pani inspektor Bernstein prosila ci o informacj dotycz c Jacka Barry'ego i Synów Erynu.

— Powiedziałem jej wszystko, co wiem.

— Czyli nie wiesz nic na temat Ł cznika Amerykanów z Barrym, mo liwe, e zaplantowanego w Białym Domu?

— Gdybym wiedział, tobym ci powiedział. Ferguson zwrócił si do Blake'a Johnsona.

— W takim razie b d tak dobry i powiedz mu wszystko. Kiedy Johnson sko czył, Carter zachował imponuj cy spokój.

— Wi kszo tych informacji to mo e by bzdura. Dlaczego mieliby my wierzy McGuire'owi?

— Z drugiej strony, kiedy nasz przyjaciel był w r kach Barry'ego, ten dowiódł, e ma niezrównanych informatorów — przypomniał Dillon.

— Spodziewał si ę mnie. Wiedział, ę nie jestem McGuire'em — wtr ęcił Johnson.

Ferguson skin ęł na kelnera z szampanem.

— Jeszcze po jednym, panowie? Carter, jeden kieliszek ci nie zaszkodzi.

— Skoro tak twierdzisz.

— I jeszcze co . Nie wspominała ę nic pani inspektor Bernstein o tej grupie tajnych agentów zlikwidowanej trzy lata temu przez Jacka Barry'ego. Major Peter Lang i spółka?

— Bo mnie nie pytała. Ka dy mo ę to sobie sprawdzi ę w komputerze. Nigdy jednak nie padła sugestia, jakoby Barry i Synowie Erynu mieli z tym co ę wspólnego. adnych dowodów w całej sieci. Co ę jeszcze? Bo jestem zaj ęty.

— Chyba nie. Powiem premierowi, ę po pieszyte ę z pomoc ę jak zawsze.

Carter zmarszczył czoło.

— Chcecie w to anga owa ę premiera?

— Akurat ty doskonale znasz moje wyj tkowe mo liwo ci w tym wzgl dzie.

— A niech ci cholera! — wybuchn ęł Carter i szybko odwrócił si ę na pi cie.

Po POWROCIE do Ministerstwa Obrony znale li Hann Bernstein przy komputerze.

— Ma pani co ę nowego? — spytał Ferguson.

— Znalazłam pewien interesuj ęcy szczegół, panie generale. Według ró nych ródeł, przez ostatnie dwa lata słu by bezpiecze stwa nie szafowały zbyt wiele informacjami na temat działalno ci ugrupowa ę irlandzkich n kaj cych naszych przyjaciół Amerykanów. Wie ę niesie, ę takie materiały napływaj ę systematycznie do r ęk członków Sinn Fein. I chocia ę główny nurt nie ustał, wydaje si ę , ę jako ę tych materiałów pozostawia wiele do ęyczenia. Podobne rzeczy mo ęna znale ę w rubrykach politycznych co lepszych gazet...

Dillon jej przerwał.

— Czyli nie ma dalszych szczegółów na temat tajnych operacji?

— Na to wygl da.

— Czy gdyby to było oficjalne stanowisko słu b specjalnych — zapytał Blake Johnson — to pan by o tym nie wiedział?

— Ja bym si ę dowiedział ostatni — stwierdził Ferguson. — Zawsze moja uprzywilejowana pozycja u premiera była im sol ę w oku.

— Znam to uczucie — powiedział Johnson. — Sam mam na pie ęku z CIA i FBI.

— Czyli s dzimy, e Simon Carter i jego ludzie wiedzieli o tym, co si stało trzy lata temu? — spytał Dillon.

— Tak przypuszczam. — Ferguson pokiwał głow i zwrócił si do Hanny. — Pani inspektor, prosz ruszy swoj akademick głow rodem z Cambridge.

— Dwie rzeczy s pewne. To, e raptem słu by bezpiecze stwa zacz ły traktowa naszych przyjaciół Amerykanów podejrzliwie. Pewnie dowiedziano si o udziale Synów Erynu w tych zabójstwach, ale uznano, e nie sposób tego dowie .

— A druga?

— e nie istniej akta tej sprawy, przynajmniej obecnie.

— To by si zgadzało — skomentował Ferguson. — Skoro proces pokojowy ma tak wielk wag , słu by uznały, e nie wolno anga owa w to premiera, bo musiałby wówczas zaanga owa w to prezydenta, i dopiero wynikłby problem. A przy okazji i mnie, i ciebie, Blake.

— Sukinkoty — powiedział Amerykanin.

— Owszem. A przesyłaj c waszym ludziom bezu yteczne informacje, nic nie tracili — powiedział Ferguson.

Hanna pokiwała głow .

— Co wi c pan zamierza?

— Zobaczysz si z premierem. Nie mam wyboru, tak samo jak Johnson. Prezydent Cazalet oczekuje raportu w sprawie Barry'ego.

— A udział słu b specjalnych? — zapytała Hanna.

— Niczego takiego nie było. adnych akt, adnych dowodów. Zdziwienie opowie ci McGuire'a oraz subtelne aluzje, e to wszystko brednie.

— I tyle?

— Niezupełnie. Ale od tej chwili bior spraw w swoje r ce. I poprowadz j po swojemu.

JOHNSONOWI nie udało si porozmawia z prezydentem, bo ten wygłasza! przemówienie w Bostonie, po czym pojechał na trzydniowy urlop do swojego domu w Nantucket. Porozmawiał wi c z własn sekretark Alice Quarmby, a poniewa poł czył si przez bezpieczn lini , mógł mówi otwarcie.

— Martwiłam si o pana — powiedziała.

— I słusznie. Ten łajdak Barry wymkn ł si z sieci, ale omal mnie nie zdybał. Sprawdź t jego nowojorsk filii Synów Erynu, co?

— Zaraz si tym zajm .

— Musz ju ko czy , a ty dowiedz si jeszcze, czy dzi nie wylatuje z Anglii jaki samolot wojskowy.

ROZMOW rozstrzygaj c odbyli w gabinecie Fergusona. Hanna podsumowała to banałem.

— Nic tu wi cej nie wskóramy.

— Teraz ju wszystko w twoich r kach, brachu — powiedział Dillon. — Nowojorska filia Synów Erynu. — Roze miał si . — To brzmi zupełnie jak nazwa pubu irlandzkiego.

Johnson zmarszczył brew.

— Wiesz, mo e to wcale nie jest taki głupi pomysł...

Zadzwoił telefon.

Ferguson posłuchał, a potem skin ł głow .

— Jedn chwileczk . — Spojrzał na Johnsona. — Twoja sekretarka sprawdziła na lotnisku. Jeszcze dzi wieczorem odlatuje do Stanów golfstrom RAF-u. Mógłby wyl dowa na Farley Field i stamt d ci zabra .

— To wietnie — ucieszył si Amerykanin.

— Potwierdzam — rzucił krótko Ferguson do telefonu i odło ył słuchawk .

Dillon u miechn ł si krzywo.

— B dziemy czekali z zapartym tchem.

Rozdział pi ty

JOHNSON powitał Alice wylewnie w swoim gabinecie w Białym Domu. Udało mu się zdrzemnąć w samolocie, zjadł też śniadanie na pokładzie, ale marzył o tym, żeby wziąć prysznic i się przebrać, co zrobił natychmiast po przyjściu do biura — czuło się, że musiał tam nocować, toteż zawsze trzymał w pogotowiu zmian ubrania.

Kiedy zasiadł wreszcie za biurkiem, ogolony, z umytą czupryną, prezentując się doskonale w granatowym garniturze, Alice podała mu kawę, zerkając na zegarek z aprobatą.

— Ubyło panu dziesięć lat — pochwaliła. — A teraz proszę opowiedzieć, co się stało.

Blake Johnson prowadził Piwnicę w osobliwy sposób. Miał tylko jednego pracownika, mianowicie Alice. Do wszystkich zadań zatrudniał członków z tajnej listy: kolegów z czasów FBI, najrozmaitszych specjalistów, od profesorów wyższych uczelni po dawnych kumpli z Wietnamu. Nikt nic nie wiedział o innych. Za wyjątkiem Alice. Która teraz nie posiadała się z oburzenia.

— To wskazywałoby na to, że w Białym Domu jest szpieg.

— Niby czemu nie? Trafiaj się wszędzie. W Pentagonie, w CIA, w FBI...

Nalała mu drugą kawę.

— Słuchaj, w tym, że dzięki temu jest informacja w komputerach i mimo wszelkich zabezpieczeń, zbyt łatwo się włamać.

— Skoro o tym mowa... dowiedziała się czegoś o Synach Erynu?

— Nie bardzo. Jack Barry figuruje w kartotekach CIA i FBI, ale to jedyna wzmianka o Synach Erynu.

Johnson zmarszczył brwi.

— Musiał o nich wspominać. — Wtem się rozemniał. — Właśnie nie przypomniałem sobie komentarz Dillona. że Synowie Erynu brzmi jak nazwa irlandzkiego pubu.

— Niezła myślenie.

— W takim razie zmieńmy taktykę. Sprawdź puby, restauracje, kluby...

Wyszła, a Johnson zasiadł do pracy. Po godzinie wróciła.

— Kiedy ju wpadłam na trop, dalej poszło łatwo. — Trzymała w ręce wsterek papieru. — Synowie Erynu. Hasło figuruje pod irlandzkimi klubami. W restauracji „U Murphy'ego”. W Bronksie.

Johnson spojrzął na zegarek.

— No to może jeszcze skoczyć do Nowego Jorku. Zadzwoń, zamów mi stolik, samochód i zarezerwuj pokój.

LOKAL „U Murphy'ego” znajdował się na Haley Street. Nie wyglądał jak typowy bar irlandzki, cały w zieleni, ze złożonymi harfami. Był starszy, bardziej solidny. Johnson podjechał tam tuż po trzeciej.

— Proszę zaczekać — rzucił kierowcy, wysiadł i podszedł do drzwi.

W środku panował mrok. Staro wiecki wystrój, ciemne, ciemne wykładane mahoniem. Barman miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, podwinął rękawy, okulary zsunął na czubek nosa. Czytał kolumnę sportów „New York Timesa”.

— Dzień dobry — przywitał się Johnson. — Proszę bushmillsa z wodą.

— Przynajmniej ma pan gust. Staruszek sięgnął po butelkę.

— Jak ktoś się nazywa Dooley, to musi mieć gust — odparł Johnson. — Znajomy polecił mi wasz lokal. Nazywa się Barry.

Staruszek podsunął mu szklankę.

— Nie przypominam sobie.

— Pan niech się napije.

Staruszek nalał sobie dobrą miarkę i wypił jednym haustem.

— Mówił, że zaglądał tu do klubu zwanego Synami Erynu.

— A, tak. Zbiera się ich tu czterech czy pięciu. Nic szczególnego poza jednym senatorem.

— Senatorem?

— Tak, tak, senatorem Michaeliem Cohanem. Nawet sympatyczny gość.

— Ciekawe. A inni?

— Niech sobie przypomni... Patrick Kelly, prowadził tu w pobliżu jakieś budowy... Tom Cassidy, ma się irlandzkich pubów... Kto tam dalej?

— Napije się pan jeszcze?

— Dziękuję, chętnie skorzystam. — Nalał sobie, wypił połowę, pokiwał głową.

— A, Brady. Martin Brady. Facet ze Związku Zawodowego Szoferów. Słyszałem, że

w zeszłym tygodniu kto go stuknął, kiedy wychodził wieczorem ze zwiżkowej siłowni. — Nachylił się bliżej. — Podobno miał kłopoty z mafią. Rozumie pan?

— No tak... A kiedy ci Synowie Erynu się spotykają?

— Regularnie to nie. Od czasu do czasu. Już od miesięcy ich tu nie widziałem.

— Tak? — Johnson położył dwudziestkę na barze. — Czyli przegapiłem szansę. Miło się z panem rozmawiało. Reszty nie trzeba.

— Bardzo dziękuję.

Po wyjściu Johnson zadzwonił do Alice z komórki i podał jej nazwiska członków klubu.

— Sprawdź w bazie komputerowej nowojorskiej komendy policji dane na temat zabójstwa Brady'ego. Jadę teraz do hotelu Pierre. Zadzwonię za godzinę.

JOHNSON w pokoju hotelowym jadł kanapki i popijał kawę, kiedy oddzwoniła.

— Czy pan siedzi?

— A tak le?

— Chyba tak. Postanowiłam na wszelki wypadek przepisać ci wszystkie nazwiska przez komputer policji nowojorskiej. O grupie nie ma wzmianki, ale są wszyscy członkowie: Brady, Kelly i Cassidy.

— Mów.

— Wszyscy zostali zastrzeleni. Najpierw Brady w strzelaninie ulicznej. Rzekomo porachunki mafii. Trzy dni później Cassidy. Pogłoski o zemście gangów wymuszających haracze. Jeszcze trzy dni później Kelly. W napadzie rabunkowym, kiedy rano wyszedł się przebiec w swojej posiadłości w Ossining. Wiem to z doniesień prasowych, które nijak nie łączą tych trzech spraw. Gdyby ktoś nic nie wiedział na temat Synów Erynu, z pewnościami by tych spraw nie skojarzył.

— A senator Cohan?

— Nie figuruje w komputerze nowojorskiej policji, ale na pewno żyje. Wczoraj wystąpił w programie Larry'ego Kinga i to w dodatku na żywo!

— O czym mówił?

— Jak zwykle o pokoju w Irlandii. Ostatnio modny temat. Wybiera się do Londynu, żeby wtrącić swoje trzy grosze, bo chce zyskać głosy wyborców pochodzenia irlandzkiego. Co mam zrobić?

— Weź te prezydenckie pełnomocnictwa in blanco z pieczęcią i podpisem prezydenta... Wypełnij jeden formularz na nazwisko kapitana Harry'ego Parkera i

przefaksuj mi kopi .

Podał jej numer faksu.

— A kto to taki?

— Propagator zerowej tolerancji na ulicach Nowego Jorku. Prowadzi specjalny Wydział do spraw Zabójstw, mietanka detektywów, znakomite komputery. Znam go z czasów FBI. B d my w kontakcie.

Nast pnie zadzwonił do Fergusona w Londynie.

— Powiem ci co , co ci si nie spodoba — zapowiedział i przekazał mu złe wie ci.

— Kto si uwija na powa nie — skwitował Ferguson.

— Tak by to mo na uj . Zastanawiałem si nad mierci Ryana w Londynie. W ko cu on te miał powi zania z Barrym. Mógłby zdoby szczegóły ze Scotland Yardu? Wiemy, e Dillon uwa ał, i morderstwa dokonała kobieta, ciekawe tylko, z jakiej broni.

— Oddzwoni za pół godziny.

Ferguson zadzwonił do kartoteki archiwum Scotland Yardu, nast pnie do Dillona.

— Przyjed tu, i to szybko.

Dillon zjawił si po dziesi ciu minutach, kiedy faks Fergusona wypluwał dwa arkusze.

— Co si dzieje? — spytał.

Ferguson czytał pilnie. Podniósł wzrok, podał je Dillonowi.

— Sprawozdanie na temat ciała Ryana wyci gni tego z rzeki. Zastrzelony z nietypowej broni. Sam zobacz.

Dillon pokiwał głow .

— Aha, kolt dwudziestka pi tka. Kobieca bro , chocia mocno skuteczna, zwłaszcza z wydr onymi nabojami. — Oddał mu raport. — No i co z tego?

— Wła nie dzwonił przed chwil Johnson z Nowego Jorku. Znalazł lokal, w którym spotykali si Synowie Erynu, tyle e wi kszo z nich ju kropni to. Trzech zastrzelono w ci gu ostatnich dwóch tygodni. — Dillon gwizdn ł. — Przy yciu pozostał chyba tylko senator Michael Cohan z Nowego Jorku... Ma tu przyjecha za kilka dni na jakie sympozjum pokojowe w Dorchester. Tylko tego brakowało, eby kto załatwił senatora ameryka skiego w Londynie.

— Co pan proponuje?

— Pogadam z Blakiem Johnsonem i przekażę mu informacje.

JOHNSON słuchał uważnie w swoim pokoju w hotelu Pierre.

— Wieczorem mam spotkanie z wybitnym specjalistą od zabójstw. Tu jest mój numer faksu. Przyślij mi materiały na temat Ryana, a ja ci przekażę, czego się dowiedziałem. Jest z tobą Dillon?

— Dam go do telefonu.

— Co ci podpowiada intuicja, mój irlandzki przyjacielu?

— Znasz to stare przysłowie: jeden raz — w porządku, dwa to zbieg okoliczności, trzy to akcja celowa, a ten jest czwarty.

— Naprawdę dzisiaj, czy to dzieło jednej osoby, w dodatku kobiety?

— Wiem jedno. Jakiś człowiek albo jakaś grupa, postanowił zlikwidować Synów Erynu, a czterech na pięciu to niezły wynik. Na miejscu senatora Michaela Cohana miałbym niezłego pietra.

HARRY Parker siedział w swoim gabinecie przy Police Plaza pod jedynekami i myślał o tym, żeby iść do domu. Miał za sobą ciężki dzień. Zamierzał wstąpić do ulubionego klubu, kiedy zadzwonił telefon.

— Harry, to ty? Mówi Blake Johnson.

— Co nowego, staruszkule? Nie widzieliśmy się od czasu dochodzenia w sprawie Delaney'a... Ile to już minęło? Dwa, trzy lata? Podobno odszedł z FBI.

— Ruszyłem w świat. Opowiem ci, jak się spotkamy.

— Czyli kiedy?

— Możliwie jak najszybciej.

— Właśnie nie wychodziłem.

— Harry, a gdybym ci powiedział, że to ma coś wspólnego z prezydentem?

— Powiedziałbym, że kłamiesz jak z nuty. — Nastąpiło milczenie, więc Parker dodał: — A co, nie? Powiedz, że tak, Blake. — Po czym do wiadomości zdobyte podczas dwudziestu pięciu lat pracy na ulicy zrobiło swoje. — W co ja się pakuję?

— Zapewniam ci, że w coś nad wyraz frapującego. Wstawił kawę. Harry odłożył słuchawkę i zamknął się. Miał czterdzieści osiem

lat, sto osiem kilo, czarna skóra i pochodził z Harlemu. Nigdy nie dostał stypendium uniwersytetu Columbi, a zaraz po dyplomie wstąpił do policji. Zawsze chciał być policjantem, nie przeszkadzały mu ani nocne zmiany, ani

siedemdziesiąt godzinny tydzień pracy.

Znowu podniósł słuchawkę i zadzwonił do delikatesów po drugiej stronie ulicy.

— Kłaniam się, Myro, tu kapitan Parker. Muszę posiedzieć dłużej w pracy. Przylij mi dwie porcje opiekanych kanapek z serem, frytki i kawę.

Dosłownie chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył. Ale to był tylko posłaniec z delikatesów.

— Zostaw to tam na stole — powiedział Parker, i w tej samej chwili w progu stanął Blake Johnson.

— O, ładnie pachnie. Przez cały dzień prawie nic nie miałem w ustach.

— No, to teraz mnie objesz. — Parker odprawił gestem posłanieca. — Rozgości się.

Usiedli naprzeciwko siebie po dwóch stronach niskiego stolika w kuchni. Johnson sięgnął po kanapkę.

— Pycha.

Parker zdjął wieczko z kubka z kawą.

— Czuj się. Wiesz, obrzydliwie dobrze wyglądasz. Mów, z czym przychodzisz.

Johnson wyjął z kieszeni kopertę.

— Przeczytaj.

Parker otworzył, wyjął prezydencki nakaz.

— Blake, nigdy czegoś takiego nie widziałem, chociaż znam ze słyszenia. Wiem, że nie pracujesz już dla FBI, ale dla kogo? Dla CIA, służb specjalnych...

— Nie, Harry. Dla samego szefa. Mam pod sobą specjalny wydział, bardzo utajniony. Nawet nie musimy się opowiadać nowojorskiej komendzie policji. Podlegamy tylko prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Idziesz na to?

— A mam wybór?

— Nie, bo to sprawa wagi państwowej, wymagająca twojej profesjonalnej ekspertyzy.

Harry Parker uśmiechnął się niespodziewanie.

— Skoro tak, to wal, bracie. Słucham.

PÓŃIEJ, siedząc z zakasnymi rękawami przed komputerem, powiedział:

— Sprawdź te londyńskie informacje na temat Ryana. — Postukał drzwiami w klawisze. — Dobrze, zacznijmy od Synów Erynu. Martin Brady, Związek Zawodowy

Szoferów. Pewnego wieczoru wyszedł z siłowni zwi zkowej i dostał kul w tył głowy. Typowa egzekucja mafii.

— Aha — podchwycił Johnson. — Tyle e mafia omija przecie CIA. Poza tym zwykle u ywaj małego kalibru, powiedzmy dwadzie cia dwa.

Palce Parkera biegały po klawiszach.

— Masz racj , ale w tym przypadku to był kolt dwudziestka pi tka, z nabojami wydr onymi w rodku. — Usiadł wygodniej w fotelu. — Pozwól, e wróc do Ryana. — Stukał dalej. — Kolt kaliber dwadzie cia pi . Jed my dalej.

Parker nadal stukał.

— Trzy dni pó niej Cassidy wychodzi o pierwszej nad ranem ze swojej nowej restauracji w Bronksie. Wywiad policyjny ustalił, e padł ofiar akcji wymuszenia haraczu. — Jeszcze troch postukał i potrz sn ł głów . — Co niesłychanego. U yto kolta dwadzie cia pi .

— I jeszcze jeden — podpowiedział Johnson. Parker wrócił do pracy.

— Patrick Kelly, przedsi biorca budowlany, milioner, zgin ł od strzału w serce w swojej posiadł ci w Ossining. Zawsze miał na r ce złoty zegarek, a na szyi złoty ła cuszek. Oba zgin ły. — Odwrócił si do Johnsona. — Figuruje jako nieudany napad rabunkowy.

— A teraz sprawd bro . Parker sprawdził i pokiwał głów .

— Co pi knego. Ten sam kaliber od Londynu po Nowy Jork. I co ty na to?

— Moim zdaniem zabójca był nie w ciemi bity. Popelnił tylko jeden bł d, e u ył tej samej broni. Brady i mafia, Cassidy i wymuszenie haraczu, Kelly i napad rabunkowy.

— Zgadzam si , nie w ciemi bity. A poniewa zabójstwa pozornie nie s ze sob powi zane, zapewne ta historia z broni nigdy nie wysłaby na jaw, gdyby nie twoje podejrzenia co do morderstwa Ryana. Jedno tylko jest dla mnie zagadk . Skoro koltem u ytym w Londynie posłu ono si nast pnie do trzech zabójstw w Nowym Jorku, to kto, u diabła, w dzisiejszych czasach przemknie si przez ochron lotniska z broni ?

Johnson pokiwał wolno głów .

— Ludzie, którzy korzystaj z prywatnych samolotów, Harry. Grube ryby, bogaci faceci, których przepuszcza si w pokłonach.

— Bo e wi ty, co to za historia?

— Jeszcze nie wiem, ale je li j rozgryz , ty dowiesz si pierwszy.

— Serdeczne dziękuję.

— Nic więcej nie mogę, Harry. A teraz muszę iść na spotkanie z prezydentem.

W LONDYNIE było już dobrze po północy, gdy Blake Johnson zadzwonił do Fergusona i znalazł go w łóżku.

— Robisz coraz ciekawiej, generale.

Ferguson, w pełni rozbudzony, siadł jak struna.

— Proszę mówić.

Johnson zrelacjonował sprawę.

— I co ty na to? — spytał, gdy już zdał relację. — Jaka grupa lojalistów namierzyła Synów Erynu?

— Blake, drogi chłopcze, stary ze mnie wygą, od dawna w branży. Mam nosa. Daj głowę, że ta sama broń w Londynie i w Nowym Jorku oznacza jednego zabójcę.

W TYM samym czasie, bezpieczny w swoim domu na skałach w hrabstwie Down w Ulsterze, Jack Barry strzelał sobie kielicha, kiedy zadzwonił jego zakodowany telefon komórkowy. Odezwał się Łącznik.

— Gdzie ty się, do diaska, podziewałeś? — natarł na niego Barry.

— Przyjacielu, jestem z tym człowiekiem. Blake Johnson zjawił się w Waszyngtonie, zakładam więc, że jesteś na wolności.

— Też mi nowina. Przyjechał z nim Sean Dillon i jakaś kobitka, szychy w policji. Straciłem dwóch ludzi, ale mnie się udało dać nogę.

— To dobrze. Mam nadzieję, że nie puścicie farby na temat naszej umowy?

— Jasne, że nie — skłamał Barry.

— To świetnie. Bądź w kontakcie. I Łącznik się rozłączył.

Barry zaklął pod nosem. Irytowało go to, że nie wie, z kim ma do czynienia, podobnie zresztą jak wszystkich Synów Erynu. Zastanowił się chwilę, po czym zadzwonił do senatora Michaela Cohana.

Ten natychmiast odebrał.

— Halo?

— Mówi Barry. Dzwonić nie w porę?

— Raczej tak, bo trwa właśnie nieprzyjemność. Ale przeszedłem do swojego gabinetu. Chciałem do ciebie dzwonić, bo mam złe wieści. Zginął Martin Brady. W ulicznej strzelaninie. Podobno mafijne porachunki.

— Co za zbieg okoliczności. Bo Tim Pat Ryan niedawno zginął w podobnych

okoliczno ciach.

— Tak? — zdumiał się senator. — Ale wiesz, on naprawdę był gangsterem.

— A Kelly i Cassidy?

— Nie rozmawiałem z nimi od miesiąca. Może powinienem...

— W tle słychać było trzask otwieranych drzwi i huragan pijackiego śmiechu. —
Idź tu. Oddzwonił. — I Cohan odłożył słuchawkę.

STARY, szalowany drewnem dom w Nantucket od lat był własnością Cazaletów. Dla prezydenta był pełen wspomnień z dzieciństwa, wakacji szkolnych i okresu dochodzenia do siebie po ranach odniesionych w Wietnamie.

Blake Johnson usiadł naprzeciwko prezydenta, a Henry Thornton oparł się o kominek.

— Wszystko to wydaje się niewiarygodne. Chociażby ten Barry

— powiedział Cazalet.

— A jednak prawdziwe, panie prezydencie — odparł Johnson.

— Chwalił się nawet swoimi informatorami działającymi jakoby w Białym Domu. Ale naprawdę wiedział, kim jestem i gdzie pracuję dla pana.

— Wygląda na to, że wiedział wszystko. Czy związek Łącznika z Barrym oznacza, że jest on albo Irlandczykiem, albo sympatykiem IRA?

— W takim razie, panie prezydencie, w grę mogłoby wchodzić wielu ludzi — powiedział Thornton. — Nawet moja matka była Irlandką. Pochodziła z hrabstwa Clare. Około czterdziestu milionów Amerykanów jest pochodzenia irlandzkiego, w tym znaczna część personelu Białego Domu.

— I ty mi to mówisz? — powiedział Johnson. — Tak czy owak, nie ustanie w wysiłkach. Najgorsze jednak zostawiłem na koniec.

— A może by coś jeszcze gorszego? — Prezydent pokiwał głową. — Czekam niecierpliwie, Blake.

Prezydent wraz z szefem kancelarii wysłuchali zdruzgotani raportu Johnsona o życiu i śmierci Synów Erynu.

— To przechodzi ludzkie pojęcie — stwierdził Cazalet.

— Czy mogłoby to krótko skomentować, panie prezydencie? — spytał Thornton.

— Bardzo proszę.

— Synowie Erynu działali w niesłusznej sprawie. Z całą pewnością ci, skoro kumali się z Jackiem Barrym. A to by znaczyło, że senator Cohan również musi być niezłym ziółkiem.

— Te to rozwa ałem — odparł prezydent. — Czy mógłby by tym tajemniczym Ł cznikiem?

— W tpi — odparł Johnson. — Gdyby był, po co miałby podnosić sobie reputację poprzez członkostwo w prestiżowym klubie?

— Otó to — podchwycił Cazalet.

— Co robimy? — spytał Thornton.

— Oficjalnie nic — powiedział prezydent. — Cohan wyprze się wszelkich powi za , a trudno mu będzie co udowodnić .

— Czy może pan mu zabroni jechać do Londynu?

— Niby dlaczego? Jeśli raz go namierzeli, to go dopadną czy to w Londynie, czy w Nowym Jorku. — Prezydent zwrócił się do Blake'a. — Popro Fergusona, aby zawiadomił premiera o najnowszych wypadkach. Omówi to z nim w stosownym czasie.

— A senator Cohan?

— Nastraszcie go. Niech robi swoje, a wy ledwie czekać na jego krok. Przy odrobinie szczęścia, może coś się zdarzy.

— Wedle rozkazu, panie prezydencie.

MNIEJ więcej trzy godziny później senator Michael Cohan odebrał telefon w swoim gabinecie w Nowym Jorku.

— To ja — przedstawił się Ł cznik. — Mam nie najlepsze wieści, senatorze. Niestety, wszyscy Synowie Erynu nie żyją . Brady, Cassidy, Kelly, Ryan. A co ciekawsze... wszyscy zginęli z tej samej broni.

Cohan osłupiał z przerażenia.

— Groza! To niemożliwe. Słyszałem o Bradym i Ryanie, ale Kelly i Cassidy te ... Na miłość boską , co się dzieje?

— Słyszałem o ostatnim Mohikaninie? — Ł cznik się roześmiał. — Jeste ostatnim Synem Erynu. Ciekawe, gdzie teraz spadnie topór? Nawiasem mówiąc, pan prezydent ma informacje o twoich powiżaniach.

— Wszystkiego się wyprze . Skąd wiesz?

— Mówiłem już wcześniej. Znam wszystko, co przechodzi przez Białą Dom.

— Kim jesteś ? Bo e, czemu ja się w to pchałem...

— al ponieważ... bo się pchałem . A ja muszę pozostać wielką tajemnicą .

— Niech ci szlag trafi!

— To mam załatwione. A teraz słuchaj uważnie. Pan prezydent upoważnił Blake'a Johnsona do rozmów z tobą, żeby przekazał ci wszystko i poradził uciec w góry.

— Co mam robić? Za trzy dni muszę być w Londynie.

— Wiem. Ja bym ci radził jechać. Zagroenie wcale nie będzie tam większe niż tutaj, a pod twoją nieobecność spróbuj coś wykombinować. Przy spotkaniu z Johnsonem udawaj głupiego. Jadałem kiedyś w klubie z Synami Erynu, natomiast nie masz pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Ale kto to robi? Protestanci?

— Chyba raczej wywiad brytyjski. Czyli będzie bezpieczny w Londynie.

— Niby dlaczego?

— Bo jesteś senatorem amerykańskim, no więc nie chcieliby ci chyba pukać w Londynie.

— Oby miał rację.

— Wierz mi. Będziecie w kontakcie.

I Henry Thornton odłożył słuchawkę.

Na Cohana padł blady strach, a człowiek w takim stanie to łatwy łup. Przy odrobinie szczucia ów tajemniczy zabójca go załatwi. Barry'emu za Thornton postanowił na jakiś czas odpuścić. Zobaczy, co się stanie z Cohanem.

Podszedł do barku, nalał sobie whisky, oczywiście irlandzkiej. Powiedział prezydentowi prawdę. Jego matka urodziła się w hrabstwie Clare. Nie wspomniał tylko o tym, że miała przybranego brata z nie lubnego łosa, ochotnika u Michaela Collinsa w powstaniu wielkanocnym 1916 roku w Dublinie. Został stracony przez Brytyjczyków, a jego nazwisko od małego dźwięczało Thorntonowi w uszach.

Na studiach doktoranckich w Harvardzie w roku 1970 Thornton poznał liczną irlandzką katoliczkę z uniwersytetu Queen's w Belfastie. Nazywała się Rosaleen Fitzgerald. Okazała się miłą dla niego. Spędzili razem idylliczny rok, po czym dziewczyna wyjechała na wakacje i znalazła się na niewłaściwej ulicy Belfastu o niewłaściwej porze. W ferworze strzelaniny między spadochroniarzami brytyjskimi a oddziałem IRA zginęła na ulicy.

Jego nienawiść do Brytyjczyków sięgnęła zenitu. I wtedy nadarzyła się sposobność, żeby odpłacić im pięknym za nadobne.

— Zemsta będzie słodka — powiedział cicho.

NAZAJUTRZ Cohan przyjął serdecznie Johnsona w swoim biurze na Manhattanie i wysłuchał go ze zgrozą i niedowierzaniem. Obiecał, że będzie uważał w Londynie, ale przyznał, że musi jechać. Sprawa była wielkiej wagi, a zresztą dał słowo.

— Tylko informuj mnie o wszystkim — poprosił Johnsona, ciskając jego ręką i patrząc mu w oczy.

Johnson obiecał. Po powrocie do siebie zamienił jeszcze słowo z prezydentem i zadzwonił do Fergusona w Londynie.

— Co wiacie zamierzacie w sprawie Cohana? — spytał.

— Dam mu ochronę.

— A co si, twoim zdaniem, stanie?

— Tak jak ci powiedziałem, staruszkule. Za długo jestem w branży. Mam nosa, który mi podpowiada, że facet zginie w Londynie.

Rozdział szósty

W COMPTON Place padało. Lady Helen Lang wybrała si ę na / ę przeja d k ,
szczelnie opatulona kurtk ą i w kapeluszu przeciwdeszczowym. Po Morzu Północnym
hulał wiatr, wzburzaj c fale przybojowe, które rozbijały si ę o kamienist ą pla ę .
Przejechała cwałem przez wydmy, a nast ępnie ci gn ę ła wodze.

— No, Dolly. — Poklepała klacz po szyi. — Wracamy do domu.

Dolly pu ci ę ła si ę galopem przez sosnowy las, wzi ę ła jednym susem wysok
bramk ę , jak gdyby była na zawodach. Przed stajni ą obok domu czekał Wood,
parobek lady Helen.

Przytrzymał Dolly, kiedy pani zsiadała.

— Dobrze si ę je dziło, milady?

— Wy mienicie.

— No to popieszcz j ę zgrzebłem, a potem dam jej owsa*

— B d ci wdzi ę czna.

Podeszła do kuchni, otworzył Hedley.

— Znowu pani galopowała.

— A co, wolałby , eby si ę przewróciła i umarła? — U miechn ę ła si ę . — Nie
b d starym zrz d ę . Pójd wzi ę prysznic, a potem mo esz mnie zaprosi ę do pubu
we wsi na obiad.

Kiedy wyszła, Hedley zrobił sobie kawy. Słyszał, jak Wood odje d a. Otworzył
drzwi kuchenne i wyjrzał na dwór. To wszystko było jak zły sen, wszystko, co stało
si ę od tamtej nocy w Wapping, kiedy zabiła Ryana. Potem Nowy Jork. Brady, Kelly,
Cassidy...

A go przeszedł dreszcz. Ale co on miał na to poradzi ę ? Nie mógł zło y ę na ni
donosu. Za wiele dla niego znaczyła. Poza tym on sam zabił zbyt wielu ludzi w
Wietnamie, czasem w dobrej sprawie, czasem w złej, i jedno wiedział z cał
pewno ci ę . Je eli kiedykolwiek trafi na tego ł cznika, to załatwi go cia bez
skrupułów.

Wyk pana, przebrana, Helen Lang weszła do gabinetu i zasiadła do komputera. Ju po chwili na ekranie ukazał si cały plan podró y senatora Cohana, ł cznie z dat przylotu, a nawet numer jego apartamentu w hotelu Dorchester. Zeszła zadowolona do kuchni, gdzie zastała Hedleya.

Si gn ła po ko uch i zdj ła go z haka na drzwiach.

— No, Hedley, jedzenie czeka. Idziemy — zakomenderowała. Wyszli na podwórko, podeszła do mercedesa.

W pubie, jak zwykle o tej porze roku, panował mały ruch. Był to stary bar, z wielkimi kamiennymi płytami na podłodze i niskim, belkowanym sufitem. W otwartym kominku paliły si szczapy drewna, obok, zza długiego kontuaru z d biny, wystawały dystrybutory piwa, w gł bi stała bateria butelek.

Bar obsługiwała Hetty Armsby, kobieta w rednim wieku.

— Du e piwo dla Hedleya, a dla mnie d in z tonikiem — poprosiła lady Helen.

— Czy b d pa stwo co jedli?

— Zapiekank mi sn i ten wasz pyszny domowy chleb. Lady Helen wyj ła papierosa, Hedley jej przypalił.

Wzi li swoje napitki, odeszli do stolika. Kiedy czekali na jedzenie, Helen powiedziała swojemu szoferowi:

— Pojutrze senator Cohan przyje d a do Dorchester. Hedley wzi ł gł boki oddech.

— Nie popu ci pani, co?

— eby wiedział. — Wyj ła z kieszeni mał torebeczk , otworzyła, wyci gn ła plastikowy prostok cik. — Pami tasz, jak na South Audley Street zmieniali mi piec w kuchni? Taki był wtedy bałagan, e przeniosłam si na jeden dzie do hotelu Dorchester. — U miechn ła si . — To jest klucz od tamtego apartamentu.

Hedley wzi ł go do r ki.

— No i co?

— Cz sto si przechwalasz, e masz wielu szemranych kole ków. Kiedy zgubili my klucze do starych stajni, przyniosłe taki, którym otworzyli my wszystkie. Twierdziłe , e to od znajomego luszarza w Londynie.

— Bo tak było.

— Jak wiesz, Hedley, jedn z rado ci angielskiego wiata arystokracji jest bycie zapraszonym na wszystkie wi ksze przyj cia. Pojutrze wybieram si na bal w hotelu Dorchester.

— W czym mógłbym pomóc?

— Chciałabym, żeby twój kolega zerknął na ten klucz. Wiem, że jest zakodowany komputerowo i że teraz niczego się nim nie otworzy, ale jeżeli ten twój znajomy jest taki dobry, jak mi się wydaje, to być może umiał przerobić go na uniwersalny.

Hedley westchnął.

— Skoro tak pani sobie życzy.

— Jak najbardziej. I nie zawiedź mnie.

MICHAEL Cohan poleciał concorde'em z Nowego Jorku do Londynu. Trzy i pół godziny miłego lotu, piękne stewardesy, pyszne jedzenie, szampan za darmo.

Ale to wszystko się pogmatwało. Co okropnego. Elektorat pochodzenia irlandzkiego zawsze był dla niego najważniejszy, a Brady okazał się jednym z jego najlepszych sponsorów ze względu na swoją niezachwianą pozycję w Związku Zawodowym Szoferów. To on poznał Cohana z Kellym i Cassidym.

Podobnie jak większość Amerykanów pochodzenia irlandzkiego, Cohan bardzo przeżywał sytuację w Irlandii. Członkowie ugrupowania IRA byli dla niego bohaterami, toteż zaangażował się w zbieranie funduszy. Wspominał młodemu w barze „U Murphy'ego”, picie, piewanie pieśni opozycyjnych. Ale to było emocjonujące. A któregoś wieczoru Brady przyprowadził Jacka Barry'ego, który przyleciał do Nowego Jorku w interesach. Był zawodowcem na usługach IRA.

Barry opowiedział mu o życiu w podziemiu i o walkach z brytyjskimi spadochroniarzami. Zaproponował, jak można by rozszerzyć pomoc. Ale to Brady ze swoją pracą w nowojorskich dokach na rzecz Związku Szoferów okazał się naprawdę wartościowy. Zarysowały się mu liwocieńskie przerzuty broni do Irlandii. Cohan i Kelly skupili się na zbiórce pieniędzy, a Cassidy zajął się zakupem odpowiedniej broni. Cohan przypomniał sobie ich pierwszy przerzut: pięćdziesiąt karabinów Armalite przemyconych do Irlandii na portugalskim statku.

Już wtedy, na wniosek Barry'ego, nazwali się Synami Erynu i założyli klub „U Murphy'ego”, a w nim własne logo z nazwą na tabliczce. Wszystko było jawne, a jednak. Ale kiedy Barry ponownie przyjechał do Nowego Jorku, wspominał o swoim zwierzchniku. Był to tajemniczy głos przez telefon, który przedstawił się po prostu: „Nazywaj mnie Łącznikiem, bo nim jestem”.

Dostarczał, o dziwo, informacji przechodzących między wywiadem brytyjskim a

Waszyngtonem — istotnych dla walk w Irlandii. Na powa nie zaczął się, kiedy Ł cznik przekazał szczegóły na temat działalności wywiadu brytyjskiego w Nowym Jorku i w Bostonie, w tym dane na temat poszczególnych agentów.

Wtedy to Brady dzięki swojej pracy związkowej oraz Cassidy poprzez swoją firmę budowlaną stali się szczególnie użyteczni. Obydwaj mieli rozległe kontakty, nie wahali się zaciągać długów wdziecznie. Przy tym los im sprzyjał — Brytyjczycy stracili swoich tajnych agentów i nie mogli nawet powiedzieć słowa. Bo przecież tych agentów w ogóle nie powinno być.

Cohan zawsze trzymał się z dala od wszelkiej przemocy. Jak dotąd mu się udawało, a tu nagle wszystko runęło. Brady, Kelly, Cassidy i Ryan nie żyli. Dobrze wiedział, do czego pije Blake Johnson. Ale co z tego, że chodził do baru „U Murphy'ego”? Ł cznik obiecał się tym zająć, a jak dotąd wietnie się spisywał.

Cohan usiłował się pocieszyć myślą, że jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Chyba nikt nie poważył się zastrzelić senatora, prawda?

NA DOWNING Street premier wysłuchiwał uważnie najnowsze sprawozdanie Fergusona.

— Niczego nie da się, rzecz jasna, zarzucić oficjalnie senatorowi Cohanowi. Jego członkostwo w grupie Synów Erynu pogrzeba go w naszych oczach, ale on może twierdzić, że chodził tam w zgoła niewinnych celach.

— To prawda, panie premierze — zgodził się Ferguson. — Ale teraz jest tutaj i pozostaje pytanie, co z nim począć.

— Oczywiście, trzeba mu zapewnić pełną ochronę. Zostawiam to na pana głowie, panie generale.

— I zastępcy dyrektora służb specjalnych?

— Odpowiedzialność spoczywa na panu — uśmiechnął się premier. — Wiem, że służby specjalne nie stanęły na wysokości zadania i nie podoba mi się to.

— Czyli odpowiedzialność spada na mnie?

— Jak najbardziej. A teraz, pan wybaczy. Czekać na mnie w parlamencie. — Kiedy Ferguson wstał, premier dodał: — Mam zamiar wpaść jutro o dziesiątej do Dorchester, na otwarcie Forum na rzecz Pokoju w Irlandii, na którym ma się zjawić Cohan. Będzie pan tam?

Ferguson skinął głową.

— Z całą pewnością ci, panie premierze — odparł i wyszedł za premierem.

Hanna Bernstein i Dillon czekali w daimlerze. Ferguson wsiadł i samochód ruszył. Kiedy otworzyła się brama, powiedział:

— Tak jak my lałem, trafia pod nasz kuratel. Carter nie będzie się mieszać.

— Czyli jeżeli senatora spotka tu smutny koniec, to wpadniemy po uszy wiadomo w co — powiedział Dillon.

— Zawsze tak było, mój drogi. — Ferguson zwrócił się do Hanny Bernstein: — Kiedy senator przylatuje?

Spojrzała na zegarek.

— Wystartował dopiero czterydzieci minut temu.

— W porządku. Prowadźcie jego ruchy, sprawdźcie hotel, limuzynę i tak dalej. Niewiele może zrobić, a i to niezbyt oficjalnie. Co najwyżej zapewni mu dodatkową ochronę na czas wizyty.

— Jutro wieczorem w obstawie Forum na rzecz Pokoju w Irlandii będą tabuny ochroniarzy — powiedziała Hanna.

— To prawda — rzekł Ferguson. — Ale i tak mam obawy. Czuję, że wykonawca wyroku jest już na miejscu.

— Irlandka — podsunęła mu Hanna.

— Albo kobieta z irlandzkim akcentem — sprostował Dillon. — Igła w stogu siana. W Wielkiej Brytanii mieszka osiem milionów Irlandczyków.

— Wierzcie w was bezgranicznie, zacznijcie od dzielnicy Kilburn

— powiedział Ferguson.

JEDNAK nastąpiły już wypadki, które miały zmienić wszystko. Z samego rana Thornton rozważył sytuację Cohana w Londynie i coraz bardziej rzedła mu mina. Jaka była gwarancja, że owa tajemnicza zabójczyni uderzy w Londynie? Żadna, a Cohan

— jak by na to nie patrzeć — nadal stanowił zagrożenie. O czwartej nad ranem czasu amerykańskiego zadzwonił do Barry'ego. Irlandczyk wciąż przebywał w hrabstwie Down.

— To ja — przedstawił się Thornton. — Posłuchaj. Mam dla ciebie nie najlepsze wieści — i opowiedział mu wszystko. — Istnieje nawet taka ewentualność, że to kobieta.

— Co takiego? Chyba nie bym ją dorwał. Konałaby w moich czarniach. Czyli został już tylko Cohan?

— Tak, i wpadł w popłoch. Stracił swój osłon członka Synów Erynu. Stał się teraz celem.

— Czyli chcesz go wyjąć ?

— Przylatuje dziś do Londynu na jakąś konferencję w sprawie pokoju irlandzkiego, która odbędzie się jutro w Dorchester. Tam się go zatrzyma. Może trzeba by pomóc tej nieznannej zabójczyni.

— Chcesz, abym się tym zajął?

— Oczywiście teren. Zostalibyśmy tylko my dwaj. O ile mi wiadomo, lot z Belfastu do Londynu trwa około półtorej godziny.

— Może na tego uniknąć — przerwał mu Barry. — Jest serwis taksówek powietrznych, którymi można dolecieć w czterdzieści minut. Od lat z nich korzystam, bo to najszybsza droga dotarcia do Anglii. Interes prowadzi stary pracownik RAF-u nazwiskiem Docherty. Szczwany lis.

Barry, podekscytowany, odłożył słuchawkę i wyjrzał przez okno. Nie ma co wzywać chłopaków. To robota dla jednego. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Docherty'ego w Doonreigh.

KIEDY zjawił się tam godzinę później, wokół było ciemno i posępnie w strugach ulewnego deszczu. Na miejscu znajdowały się dwa stare hangary otwarte na oścież. W jednym stała cessna 310, w drugim navajo chieftain. Barry zaparkował i wysiadł. Miał na sobie brązową marynarkę i dżinsy, na głowie tweedowy kaszkiet, w ręce dołbał spory neseser.

Z komina starego baraku z blachy falistej szedł dym. Drzwi się otworzyły, stanął w nich Docherty. Miał pięćdziesiąt lat, przeczesane włosy i ogorzałą twarz. Był w kombinezonie RAF-u i w oficerkach.

— No, włącz tuż z tego deszczu.

W rodoku staro-wiecki piec dawał ciepło.

— I co, nie złapali cię jeszcze, Jack?

— Mam robotę! Ale trzeba się uwinąć do północy. Dasz radę?

— Przecież mnie znasz. Nigdy cię nie zawiodłem. Naley się piętysięcy.

— Pieniądze to nie problem — powiedział Barry.

— W porządku. Jest takie jedno miejsce na wsi, w hrabstwie Kent, godzinę drogi z londyńskiej Roundhay. Kiedy z niego korzystałem. Już dzwoniłem do tamtejszego gospodarza. Odpalisz mu tysiąka, to ci podstawi wóz, którym podskoczysz do

Londynu. Fałszywa rejestracja, te rzeczy.

— Kolejny obwie ? — spytał Barry.

— Chyba tak jak my wszyscy. No, poza tob , Jack. Bo ty jeste rycerzem słusznej walki o wolno .

— Zaraz ci skopi tyłek, Docherty.

— Nie skopiesz, bo sam by nie poleciał. Dobra, idziemy.

DOCHERTY dotrzymał danego słowa, gdy mimo niskich chmur i potwornej ulewy wyl dowali na Roundhay tylko pi minut po czasie. W pobli u znajdowała si stodoła z otwartymi drzwiami. Przed ni stał stary ford escort. Docherty zgasił silniki.

— A ty co zamierzasz? — spytał Barry, kiedy wysiedli.

— Spokojna głowa. Skocz tylko do zagrody, eby spłaci długi. Nigdy nie wiadomo, kiedy go ciu znów mi si przyda.

I ruszył przez pas, a Barry wsiadł do escorta. Kluczyki tkwiły w stacyjce, ale zanim zapalił, wyci gn ł z nesesera browninga, wyj ł magazynek, załadował i wsun ł za pazuch . Dopiero wtedy ruszył.

Miał dobre tempo, bo pod wieczór wszyscy raczej wyje d ali z Londynu, wi c na jego pasie nie było ruchu. O pi tej dotarł do Londynu, do Kilburn, zaparkował i znalazł pub Michaela Collinsa. Okr ył bar od tyłu, wszedł od podwórka.

W salonie przy stole siedział niski siwy staruszek w okularach na nosie. Przegl dał rachunki. Był to Liam Moran, londy ski organizator Sinn Fein.

— Chryste, to ty Jack?

Oczy a wyszły mu na wierzch.

— We własnej osobie. — Barry podszedł do barku, otworzył butelk whisky, nalał sobie. — Du o macie roboty?

— E nie, bo przecie ten proces pokojowy. Angole wzi li w Londynie na wstrzymanie, no to chłopaki te . Ale co ty tu, do diabła, robisz?

— Ja tylko przejazdem. W drodze do Niemiec — skłamał Barry. — Chciałem sprawdzi , co u was.

— wi ty spokój — odparł Moran. — Mo esz mi wierzy , Jack.

— A, no có , pokój, Liamie. — Barry przełkn ł whisky. — Co za nuda. B dziemy w kontakcie.

I wyszedł.

LONDY SK dzielnic Kilburn zamieszkuj prawie sami Irlandczycy, zarówno

republikanie, jak i lojali ci. Czasem człowiek gotów by przysięc, że znalazł si w Belfa cie. Puby protestanckie z Williamem i Mary wymalowanymi na cianie w gł bi przypominały puby w Shankhill, republika skie za — puby na Falls Road.

Dillon, w czarnej lotniczej kurtce, w szalu i w d insach, z waltherem za paskiem, wmieszał si w tłum go ci „Pod Zielonym Druciarzem”. Nie dowiedział si niczego ciekawego, dopóki nie wyszedł z pubu i nie stan ł w drzwiach, eby zapali papierosa. Tam jaki staruszek skulony przy kiosku dudlił z opró nionej do połowy flaszki. Nazywał si Tod Ahern. Otarł usta wierzchem dłoni i wbił wzrok w Dillona.

— Sean, co si tu kroi wi kszego czy jak? Bo widziałem wcz niej Barry'ego. Macie co wi kszego na oku?

— Trzymaj j zyk za z bami, Tod — poprosił go spokojnie Dillon. — Jack by si w ciekł, gdyby usłyszał, e go widziało . A gdzie to było?

— Zaszedł od tyłu do Michaela Collinsa. My lałem, e chce si spotka z Liamem Moranem.

— No, to zachowaj to dla siebie, Tod. — I Dillon dał mu banknot pi ciofuntowy. — Golnij sobie na mój koszt.

SIEDZ c przy stole i przegl daj c rachunki, Liam Moran poczuł przeci g, który uniósł lekko papiery. Podniósł wzrok i zobaczył w progu Dillona z nie zapalonym papierosem w ustach.

Moran omal nie popu cił w gacie.

— Sean, to ty?

— We własnej osobie. — Dillon zapalił papierosa star zapalniczk Zippo. — Podobno miało wcz niej go cia. Zajrzał tu Jack Barry?

— Kto ci tak powiedział? To wierutna bzdura! Dillon westchn ł.

— Mo emy spraw załatwi polubownie albo ciut gorzej. Czego chciał i gdzie jest teraz?

— Sean, to jaki kiepski dowcip.

Dillon wymacał kolb walthera z tłumikiem za paskiem i wbił luf w praw rzepek kolanow Morana.

— Rozwał ci te giry.

— Nie, Sean! Twierdził, e zajrzał tylko sprawdzi , co tu si dzieje. Podobno wpadł przejazdem w drodze do Niemiec.

— Akurat — powiedział Dillon. — Ma tu pewno swój dziupł . Gdzie ona mo e

by ?

— A skąd ja mogłoby wiedzieć, Sean?

— Szkoda. Bo już po twojej rzeźce.

Dillon wymierzył, na co Moran wykrzyknął:

— St James's Stairs, na nabrzeżu u Wapping. Tam są takie barki mieszkalne. Jego nazywa się „Griselda”.

— Porządny z ciebie człowiek. — Dillon odłożył waltera. — Chcesz, żeby wrócił?

— Nie.

— To trzymaj go na kłódki. I Dillon wyszedł.

Już ze swego mini-coopera zadzwonił do Fergusona i mu powiedział:

— Chyba trafiłem w samo sedno.

— Opowiedz.

Na zakończenie relacji Dillon rzekł:

— Na mój rozum za dużo o tu zbiegów okolicznie ci. Co robi? Załatwi go? Z drugiej strony, mógłby pan wezwać brygadę antyterrorystyczną Scotland Yardu. Zrobiliby z tego trzecią wojnę światową.

— Tego nam tylko trzeba! Spotkajmy się przy St James's Stairs.

BARRY już od lat miał swój kryjówkę na barce przycumowanej na Tamizie opodal St James's Stairs w Wapping, gdzie trzymał garderobę i broń.

Zaparkował eskorta w bocznej uliczce, ruszył w tamtą stronę. Było ciemno, wiatła migotały z rzadka na rzece, ale statki płynęły w ciemnościach. Skręcił, ruszył starym nabrzeżem. Na jego kocu znajdowała się niewielka przystań, nad którą majaczyły stare urawie, a za nimi niewyżywane magazyny. Obok czterech innych barek mieszkalnych stała tam „Griselda”, z doprowadzonym kablem elektrycznym i rurą kanalizacyjną.

Barry wszedł po trapie, znalazł klucz ukryty w rynnie, otworzył metalowe drzwi, wszedł do środka. Po prawej był włącznik wiatła. Gdy je zapalił, wyłoniły się schody. Jednocześnie nie zapaliły się dwa inne wiatła jedno na dziobie, drugie na rufie.

Zszedł na dół, gdzie zapalił jeszcze jednąarówkę, która rozjaśniła kajutę. Znajdowały się tam ławy do siedzenia, stół, mała kuchnia z kuchenką elektryczną, zlew. Nalał wody do czajnika, nastawił, przeszedł do sypialni.

Rzucił neseser na łóżko, zajrzał do komody. Leżały tam ubrania w plastikowych torbach na suwaki: buty, koszule, bielizna, skarpetki, wszystko co potrzebne. Czajnik

gwizdał. Barry wrócił, zalał kawę w kubku, usiadł przy stole i zadzwonił z komórki do Dorchester.

— Z senatorem Cohanem — poprosił telefonistkę.

— A jak pańska godność?

— Harrison z ambasady amerykańskiej. Po chwili zgłosił się Cohan:

— Dzień dobry, panie Harrison. Barry może miał się.

— To ja, pacanie, Jack Barry.

— Jack? — Cohan tęparsknął miechem. — Gdzie jeste?

— Wciw Ulsterze — skłamał Barry. — Rozmawiałem z Łącznikiem.

Przekazał mi złe wieści. Chociaż pewno dobre dla grabarzy.

Cohana przeszedł dreszcz.

— Wszystko obracasz tylko w art.

— Jak mawialiśmy w Wietnamie, jeżeli nie umiesz obrócić tego w art, trzeba się było nie zacięgać. Ale spójrz na to z dobrej strony. Pławisz się w luksusach Dorchester. Z dala od Nowego Jorku.

— Łącznik twierdził, że się wszystkim zajmie. Wiesz, mówi się, że to kobieta stuknęła Ryana. Dasz wiarę?

— No tak, ale mam tę dla ciebie dobrą wiadomość. Za godzinę wylatuję do Nowego Jorku. Łącznik prosił, abym pomógł tam posprzątać ten bałagan. Bądź w kontakcie. Jaki masz numer pokoju? — Cohan mu podał. — Dzięki. Wychodzisz wieczorem?

— Nie, odpoczywam. Jutro mój wielki wieczór.

— Chyba masz rację. Trzymaj się.

Cohan odłożył z ulgą słuchawkę. Otworzył butelkę darmowego hotelowego szampana i nalał sobie kielicha. Bo nikt tak nie potrafił się zajmować sprawami jak Barry.

SIEDZĄC w swoim mini cooperze na skrzyżowaniu Wapping High Street i Chalk Lane, Dillon wypatrywał daimlera. Zdumiał się, kiedy podjechała czarna taksówka, z której wysiadł Ferguson i zapłacił kierowcy. Skulony pod parasolem, mignął przez ulicę i usiadł obok Dillona.

— Parszywa pogoda.

— Pan w taksówce? Nie wierzę. Chyba że wliczy pan to sobie w koszty?

— Nie bądź bezczelny, Dillon. Co zamierzasz?

— Nie mam zielonego pojęcia. Ma pan przy sobie broń?

— A jak się dzisiaj? — spytał znużonym głosem Ferguson i wyjął pistolet automatyczny, starego Smitha and Wessona kaliber trzydzieści osiem. — Mam coś jeszcze.

I wyjął z kieszeni kajdanki.

— Jest pan optymist.

— Czasem mam do polerowania tyłkiem fotelu w Ministerstwie Obrony. No, to do roboty.

Ferguson wysiadł i rozłożył parasol.

Ruszyli razem Chalk Lane. Na przystanku stanęli w drzwiach jednego z magazynów.

— Jedna barka z jednej strony, cztery z drugiej — szepnął Ferguson. — Wiatło pali się na najbliższej i dwóch pozostałych. Jak myślisz, która to?

Dillon wyjął z kieszeni lornetkę.

— Noktowizor. Cud współczesnej techniki. — Skierował go na pierwszą barkę i podał Fergusonowi. — Niech pan sam spojrzy.

Ferguson zerknął i zobaczył barkę bardzo wyraźnie w zielonkawej po wiacie. Na dziobie miała nazwa „Ciriselda”.

— Wietnie. Jaki masz plan? Dillon obejrzał znów „Griseld”.

— Widz włącz na rufie. Spróbuj go otworzyć i tam wejść. Proszę zaczeka tutaj.

Oddał Fergusonowi noktowizor i zniknął w ciemnościach za rogami magazynu. Ferguson widział, jak Dillon przechodzi przez barierkę, unosi kłap wstępu, wślizguje się do środka.

I wtedy u szczytu schodów ukazał się Jack Barry. Ferguson zobaczył go z kubkiem w ręce. Pistolet miał za pasem. General natychmiast podjął decyzję. Schował noktowizor do kieszeni, wyjął Smitha and Wessona, przełożył go do lewej ręki. Ruszył nabrzem, stanął przy trapie, wciąż trzymając parasol nad głową.

— Nie mieliśmy przyjemności się dotąd spotkać, panie Barry. Moje nazwisko Ferguson.

Jack Barry bez namysłu wyciągnął Browninga z tłumikiem i strzelił z biodra. Odstrzelił Smitha and Wessona z ręki Charlesa Fergusona. Moment wcześniej Dillon, który przeciskał się przez wąż nad łazienką, usłyszał, jak Ferguson rozmawia z Barrym. Wyjął Walthera, przebiegł przez kuchnię i salon, wyskoczył na pokład, kiedy

Ferguson padał ju na wznak. Wbił walthera w plecy Barry'ego.

— Rzu bro , Jack, bo ci przestrel krzy . Barry zastygł.

— Sean, to ty?

Ferguson zerwał si na równe nogi.

— Nic si panu nie stało, generale? — spytał Dillon. Ferguson trzymał si za r k krwawi c w przegubie.

— E, to tylko dra ni cie. Nic mi nie jest.

Barry pochylił si i odło ył browninga na pokład, ale kiedy si prostował, r bn ł prawym łokciem prosto w twarz Dillona, a ten wypu cił walthera z r ki. Zwarli si w zaci tej walce. W pewnym momencie Barry zachwiał si do tyłu. Sczepieni razem, run li przez barierk .

Woda była zimna, szok termiczny a parali ował mózg, a pr d porywał natychmiast. Dillon kopn ł Barry'ego w bok i sam wypłyn ł na powierzchni . Fala majtn ła nim o ła cuch kotwicy rufowej. Chwycił go. Kiedy si odwrócił, zobaczył, e pr d znosi Barry'ego. Dillon si trzymał, po chwili walki z pr dem podci gn ł si na ła cuchu na drug stron „Griseldy" i złapał si sworznia z pier cieniem przy burcie.

— Sean? — zawołał Ferguson.

— Jestem.

Dillon wdrapał si po drabince. Usiadł na nabrze u, ociekaj c wod , a Ferguson spytał:

— S dzisz, e zgin ł?

— E, chyba tylko z oczu, panie generale. Powiem, e zgin ł, jak strzel mu z bliska mi dzy oczy, ale nie wcze niej. Zejd my na dół. Przemokłem, przebior si w suche łąchy.

W łazience Dillon ci gn ł z siebie mokre ubranie i porz dnie si wytarł. W male kiej sypialni przebrał si w bielizn , d insy i sweter, znacznie dla siebie za du e, po czym wrócił do Fergusona siedz cego w salonie.

— S dzisz, e Barry zjawi si w Dorchester?

— Raczej nie. Nasz Jack nie jest samurajem. Nie pcha si do samobójstwa. Teraz wie, e depczemy mu po pi tach, je li wi c czał si tu na Cohana, to si zmyje.

Nagle Ferguson odzyskał dobry humor.

— Idziemy. On tu ju na pewno nie wróci. Zga wiatło. Jutro przy l chłopców, eby zaj li si t bark .

FERGUSON si jednak mylił. Barry wypłyn ł przy St James's Stairs, wdrapał si po drabince i wrócił na przysta . Na „Griseldzie" nadal paliło si wiatło. Podpełzn ł w ciemno ciach, szcz kaj c z bami. Po chwili wiatła zgasły, na pogr onym w mroku pokładzie zjawili si Ferguson z Dillonem. Schodzili trapem, zagadani.

Kiedy ich głosy ucichły, Barry w lizgn ł si do rodka, zszedł na dół, ci gn ł mokre ciuchy. Wytarł si do sucha, przebrał, wło ył kurtk , wzi ł komórk do kieszeni. Spod ławy w salonie wyj ł smitha and wessona. Wsun ł go do kieszeni i wyszedł, pogasiwszy wcze niej wiatła.

Szedł, miej c si na głos. Co za dra z tego Dillona. Ale jak miło było wreszcie zobaczy Fergusona na ywo. W ko cu to wszystko jest tylko gr . On to rozumiał, ale czy aby rozumiał to Ł cznik?

Kiedy Barry wyje d ał z Londynu, pogoda była straszna. Potworna ulewa. Mimo to byt wesół jak szczygiełek, gdy ruszał na Roundhay do czekaj cego tam chieftaina.

LADY Helen Lang wyszła z rana, eby si przebiec po Hyde Parku. Usiadła na ławce obok stawu Serpentine i odpocz ła. Wcale si nie zdyszała, form miała naprawd niezł . Perspektywa wieczoru w Dorchester przypominała jej wypraw na bitw . Z cał pewno ci miała bojowy nastrój. Cohan musi. bez dwóch zda . sko czy tak samo jak reszta klubu, i to ona musi wymierzy sprawiedliwo . eby si lepiej poczu , kiedy znów b dzie składała kwiaty przy imieniu swego syna wrytym na tablicy w rodzinnym mauzoleum.

Usłyszała, e woła j Fledley.

— Chciałem tylko sprawdzi , jak si pani biega.

— To miło z twojej strony.

Raptem wstała i zacz ła chwyta powietrze. Złapała si za serce, usiadła, wyj ła fiolk z kieszeni, upu ciła. Hedley podniósł i usiadł obok niej.

— A tak le?

— Nie, nie, tylko zakr ciło mi si w głowie — skłamała. Podał jej na dłoni dwie pastylki. Wzi ła, połkn ła. — Ju lepiej.

— Martwi si o pani , lady Helen. Poklepała go w kolano.

— Napij si herbaty i b dzie dobrze, Hedley. Zaprowad mnie do kawiarni.

Wstali, uj ła szofera pod r k .

FERGUSON w swoim gabinecie w Ministerstwie Obrony omawiał z Hann Bernstein i z Dillonem wydarzenia poprzedniego wieczoru.

— Wy i te wasze mskie przepychanki — oburzała si Hanna. — To powinna by porz dna akcja antyterrorystyczna. Gdyby było tam pełno uzbrojonych funkcjonariuszy, toby my go złapali. Przecie to jeden z najbardziej poszukiwanych terrorystów irlandzkich.

— Przy okazji trafiliby my na pierwsze strony wszystkich gazet, a na tym mi akurat nie zależy — wyja nił jej Ferguson.

Zadzwoił telefon. Sekretarka zaanonsowała:

— Telefon z Ulsteru. Bodaj e Jack Barry.

Ferguson nacisn ł guzik, eby Dillon i Hanna słyszeli rozmow . Wydał dyspozycj :

— To Jack Barry. Niech go namierz .

— Nie mog , panie generale. Dzwoni z zakodowanej komórki — odparła sekretarka.

— No dobrze. Ł czy . Poł czenie było nad wyraz dobre.

— To ty, Ferguson? Chciałem ci zawiadomi , e nie uton łem w Tamizie i wróciłem spokojnie do domu. Szcz ciarz z ciebie. My łłem, e ci załatwiłem.

— No widzisz. Ale odstrzelił mi bro z r ki. A to ju du o.

— Czy Dillon tego słucha?

— Owszem.

— No, to do nast pnego spotkania w piekle, Sean.

Barry roze miał si i w słuchawce zapadła cisza.

— Co to za wyglupy? — zdenerwowała si Hanna Bernstein. — Ale przynajmniej wiemy, e yje.

— Dla Jacka wszystko jest tylko gr — wyja nił Dillon. — Niektórzy twierdz , e to pomylenieć.

— Jedyne pociecha z powrotu Barry'ego do Irlandii jest taka. e nikt tu nie stuknie u nas senatora Cohana — wyraziła przypuszczenie Hanna.

— Naprawd łak pani s dzi? — Ferguson pokr cił głow . — Nigdy nie było mowy o tym. e to Barry zabił tamtych. Jedyne logiczne wytłumaczenie jego obecno ci w Londynie, je eli Cohan miał pa ofiar , byłoby takie, e senator stal si niewygodny. Jednego oprawcy si pozbyli my. Przynajmniej na jaki czas. Ale drugi — w osobie naszej tajemniczej morderczyni — wci czyha. — Podniósł słuchawk . — Prosz mnie poł czy z senatorem Michaeliem Cohanem w Dorchester.

Po chwili odezwał si Cohan.

- Słucham, Michael Cohan. Kto mówi?
- Charles Ferguson. Chyba wie pan, kim jestem.
- Tak, i nie mam ochoty z panem rozmawiać.
- Panie senatorze, mam na względzie tylko pańskie dobro.
- Jestem senatorem amerykańskim, reprezentuję tu prezydenta — skłamał Cohan. — Jeżeli nadal zechce mnie pan przeładować, złożę skargę u premiera.
- I trzasnęła słuchawka.
- Furiat — skomentował Dillon. — I co teraz?
- Jak to co? Musimy się przebrać do obiadu — oznajmił spokojnie generał.

GIULIANO, kierownik baru „Fortepianowego” w hotelu Dorchester przywitał ich wylewnie. Ferguson bywał tam od przeszło dwudziestu lat, Dillon wprawdzie od niedawna, ale za to regularnie. Hanna Bernstein, rzecz jasna, była mile widziana. Giuliano, jak każdy prawdziwy Włoch, doceniał urodzony z bystrym umysłem, a to było najkrótsze podsumowanie zalet Hanny. Nie mówił o jej stanowisku — głównego inspektora wydziału specjalnego Scotland Yardu.

Giuliano ucałował ją w oba policzki, po czym zaproponował menu na obiad. Zamówili, Dillon wybrał niemarkowego szampana Krug.

- Chciałbym się upewnić — zwrócił się Ferguson do Giuliana.
- Rozumiem, że pan senator Michael Cohan ma tu rezerwację na pierwszą?
- Zgadza się — potwierdził Giuliano.
- To niech pan będzie łaskaw posadzić go przy sąsiednim stoliku — poprosił Ferguson.

Giuliano uśmiechnął się.

— Znowu to samo, panie generale. Powinienem chyba napisać książkę. W porządku, Amerykanin będzie siedział obok. Oczywiście powodzenia.

Odszedł, wniesiono szampana, Dillon uparł się, że to on naleje.

- Skąd pan wiedział, że Cohan tu będzie? — spytał.
- Dzięki telefonowi, Dillon. To nieocenione urządzenie. Czasem też mógłby z niego skorzystać. — Ferguson uniósł kieliszek.

— Za zdrowie, miło i szczęście.

— Jeżeli doda pan jeszcze „za pokój w Ulsterze”, to też wypij

— powiedział Dillon, i w tej samej chwili u szczytu schodów zjawił się Cohan.

Giuliano przywitał go, zaprowadził do sąsiedniego stolika, przyjął

zamówienie na wytrawne martini i odszedł. Ferguson wychylił się od stolika i zagadnął:

— Pan senator Michael Cohan, nie myli się, prawda? Generał Charles Ferguson.

Cohan nie posiadał się z oburzenia.

— To skandal. Ostrzegałem, że złożę skargę do biura premiera. Może pan być tego pewien.

— Proszę mnie wysłuchać, panie senatorze — poprosił Ferguson.

— Pomówmy o Synach Erynu, to może znajdzie się między nami jakiś członek — podkreślił to słowo — z pańskim do wiadomości.

Cohan zbladł jak kreda.

— Nie mam z tym nic wspólnego.

— Chwileczkę — osadził go Dillon. — Wczoraj wieczorem Jack Barry zawitał do Londynu. A po co? Chyba dobra się panu do skóry.

Cohan próbował się zgrywać.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Synowie Erynu nie żyją, panie senatorze — przypomniał Dillon. — Podejrzewamy, że Jack Barry wpadł tu jak po ogniu, żeby doprowadzić rzecz do końca, czyli załatwić pana.

— I wciąż na wolno ci pozostaje osobnik, który sprzątnął pańskich kolegów — wtrąciła Hanna.

— Bzdury — uniósł się Cohan. — To wszystko brednie. Proszę mnie teraz zostawić w spokoju! — I łyknął martini.

— Czyli nie chce pan współpracować. Jak pan sobie życzy — powiedział Ferguson. — I taką informację przekazemy premierowi oraz prezydentowi. Dostałem jednak rozkazy, żeby utrzymać pana przy życiu na czas pobytu w Londynie. Zatem dziś wieczorem zjawimy się na rozpoczęcie Forum na rzecz Pokoju w Irlandii, aby wypełnić rozkaz, niezależnie od pańskiej odmowy współpracy.

— Idź pan do diabła! Cohan wstał i wyszedł. Wniesiono ich makarony.

— I co teraz, panie generale? — spytała Hanna.

— Zjemy nasz wyborny obiad, a wieczorem wrócimy tu i spróbujemy dopilnować, żeby temu szubrawcowi nie spadł włos z głowy.

COHAN zadzwonił do członeka na zakodowany numer na komórki i przedstawił

mu po kolei wszystkie swoje w tliwo ci i obawy. Kiedy skończył, Thornton spytał:

— Nie widzisz, co oni z tob wyprawiają? Umówiłem się z Barrym. Poleciał, żeby ci chronił, ale dowiedzieli się, że tam jest i o włos uniknął śmierci.

— Twierdził, że Barry zajmie się mordercą.

— Jeszcze wielu rzeczy nie wiesz. Zaufaj mi.

— Jeżeli coś nie wypali, to ja pójdę pod topór.

— Ech, senatorze, senatorze... Nic nie pójdzie. Proszę się uspokoić, odpręż się, dobrze baw się. Bądź w kontakcie.

Thornton rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Barry'ego.

— Właśnie rozmawiałem z Cohanem. Jest w dygotkach. Ferguson i Dillon nie daj mu spokoju. Dlaczego mi nie powiedziały, że poszło aż tak źle?

— Bo to było wczoraj wieczorem. Chciałem czmychnąć z Anglii, gdzie pieprz rośnie.

— No więc, jak brzmi twoja wersja?

Barry opowiedział mu wszystko, trzymając się mocno liwie cięłej prawdy.

— Jednego tylko nie wiem. Jak ten Dillon mnie znalazł.

— Oj, niezły z niego numerant.

— W wojsku mówiono tak przez dwadzieścia lat, a w IRA mówi do tej pory. A co z Cohanem?

— Niech robi, co chce. Co wymyśli, kiedy wróci do Stanów. Bądź w kontakcie. I odłóż słuchawkę.

W domu przy South Audley Street lady Helen Lang przeglądała garderobę. W końcu wybrała elegancki kostium wieczorowy z czarnej krepy. Przyłożyła się do lusterka przed lustrem. Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Hedley z herbatą.

— I co o nim sędzisz? — spytała.

— Mnie się podoba. Odwiesiła go do szafy.

— To świetnie. Za trzy kwadransy mam umówionego fryzjera.

— I bez niego pięknie pani wygląda, lady Helen.

— Hedley, dziś wieczorem zjawi się tu cały wiat. — Umiechnęła się. — Musz wyglądać najlepiej jak się da. A teraz idź i sam się przygotuj. Za kwadrans zejdziesz.

FORUM na rzecz Pokoju w Irlandii w sali balowej hotelu Dorchester było wielką galą. Premier jeszcze się nie zjawił, ale przybyło już wielu członków rządu. Dillon we

fraku z jedwabnymi wyłogami si gn ł po kieliszek szampana od przechodz cego kelnera.

Hanna w ol niewaj cej czerwonej jedwabnej sukni od Versacego powiedziała:

— Wolnego, Dillon. Przed nami długi wieczór.

— Pi knie wygl dasz — skomplementował j . — Nadawałaby si na rozkładówk w pi mie „Vogue”.

— Pochlebstwami daleko nie zajedziesz.

— Wiem, ale szkoda, co? Zjawił si Ferguson.

— Wszystko w porz dku?

— Chryste, panie generale — zdumiał si Dillon. — Kiedy byłem pachol ciem w Belfa cie, babka zabierała mnie do starego hotelu Grand Central na podwieczorek. Kierownik sali miał taki smoking jak pan.

— Gadaj zdrów, Dillon — odci ł si Ferguson. Lecz po chwili dech mu zaparło.

— Bo e wi ty, lady Helen Lang — powiedział i odwrócił si od Dillona, kiedy zobaczył j id c przez tłum.

Wy ciskali si .

— Jak e miło ci widzie , Charles. — Spozrzegła Dillona. — Pan Dillon, prawda?

— Wielki to dla mnie zaszczyt znów pani spotka , lady Helen — rzekł Dillon, podaj c jej r k .

— Nie mogłam nie wpa . Mieszkam tu za rogiem, przy South Audley Street. Miałam tak blisko.

W tym momencie rozległ si dzwonek przy drzwiach. To przyszedł premier.

— Helen, musz ci , niestety, przeprosi — rzekł Ferguson. 1 skin ł na Dillona.

— B d tak dobry i nalej lady Helen szampana. Pani pozwoli, pani inspektor.

I odeszli na stron .

— Panie Dillon — zagaiła lady Helen. — Czasem si pan ociera o niebezpiecze stwo, prawda?

— Ciekawe spostrze enie. — Wzi ł dwa kieliszki z tacy niesionej przez kelnera. Podał jej jeden. — Prosz . — Rozejrzał si . — Ale tu dzi wspaniałe towarzystwo.

— Którym pan, w gruncie rzeczy, gardzi. Uniósł kieliszek.

— Pani zdrowie, lady Helen, i moje, jedynych sensownych ludzi na tym wiecie, który oszalał.

U miechn ła si , odwzajemniaj c toast, a on, nie wiedzie czemu, poczuł si

nieswojo. Ale dlaczego?

— Forum na rzecz Pokoju w Irlandii. — Pokręcił głowę. — Minęło siedemset lat i na pewne rzeczy jest już za późno. — Urwał, po czym dodał: — Tak bardzo mi przykro.

— A, pewno ma pan na myśli mojego syna. — Uśmiechnęła się z opanowaniem. — Ale jak powiedział kiedyś pewien wielki pisarz, przeszłość to obce terytorium, panie Dillon. Nie wolno mieszkać w przeszłości. Trzeba się zająć teraz niejszością.

— To złota myśl — odparł Dillon. — Lecz żadna pociecha. W tym momencie podeszła do nich starsza pani.

— Moja droga Helen, cóż za niespodzianka.

— Cmoknęła się delikatnie. Helen Lang przedstawiła jej swojego rozmówcę.

— Państwo siłą zapewne nie znajecie księcia Stevela, Sean Dillon.

— Niezmiernie mi miło. Dillon ucałował rękę księżny.

— Lubię was, Irlandczyków — powiedziała księżna. — Takie z was łobuziaki.

Pan też jest łobuziakiem, panie Dillon?

— Pracuje dla Charlesa Fergusona — wyrzuciła go Helen.

— Czyli zgadłam — podchwyciła księżna.

— Z całym szacunkiem, ale muszę panię przeprosić.

I Dillon się oddalił. Zobaczył Fergusona pogrążonego w rozmowie z ministrem, a obok czekającego dyskretnie Hannę. Podeszedł do niej.

— Właśnie zjawiał się Cohan — powiedziała. — Rozmawia tam w kciaku z amerykańskim ambasadorem. Trudno go znaleźć na oku w takim tłumie.

Obserwowali premiera przemierzającego salę. A to ucisnęło komuś rękę, a to zamienił z kimś słowo. Wreszcie dotarł do ambasadora amerykańskiego i do Cohana. Wszyscy pławili się w uśmiechach.

— Najwyraźniej świetnie sobie bawi — podsumował Ferguson.

— Do czasu — powiedziała Hanna. — Tylko do czasu. Mistrz ceremonii, wystrojony w czerwony surdut, obwieścił:

— Panie i panowie, premier Zjednoczonego Królestwa. Rozmowy ucichły, kiedy premier podeszedł do mikrofonu.

— Mości lordowie, szanowni państwo. Jesteśmy w ciekawych czasach. Pokój w Irlandii wydaje się na wyciągnięcie ręki. Chciałbym zatem wyrazić nadzieję ...

COHAN zauważył Fergusoną, Dillona i Hannę Bernstein już wcześniej. Od razu stracił humor. Sięgnął po kolejny kieliszek szampana z tacy, a przy okazji potrafił sympatycznie wyglądać do dam stojących nieopodal.

— Pani wybaczy.

— Ale nic nie szkodzi — zapewniła go lady Helen Lang.

W tej samej chwili dojrzał Hannę Bernstein przeciskając się przez tłum i znów ogarnęło go potworne rozdrażnienie. Czemu, do diabła, nie zostawił go w spokoju.

Ambasador położył mu rękę na ramieniu.

— Michael, dobrze się czujesz? Bo taki jesteś spocony.

— To drobiazg — odparł Cohan. — Przewiał mnie w samolocie. Wtem zdał sobie sprawę, że musi natychmiast stamtąd wyjść.

— Skocz do swojego pokoju i weźmiesz aspirynę.

Helen Lang stała na tyle blisko, że to usłyszała. Obróciła się na pięcie i przełiznęła przez tłum. Stała przy drzwiach, żeby wymacać w torebce klucz uniwersalny, dorobiony przez łusarza zaprzyjaniego z Hedleyem.

Cohan wyszedł z sali, zatrzymał się na moment, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi, a kiedy spostrzegł, że Hanna idzie za nim, skierował się do męskiej toalety. Spryskał sobie wodą twarz, wzięł ręcznik od posługacza i ją osuszył.

Weszła grupka hałaśliwie zachowujących się mężczyzn. Wyszedł za nimi, upewniwszy się, że Hanna Bernstein patrzy w drugą stronę, na salę. Przemknął się na korytarz. Zaraz poczuł ulgę. Małe zwycięstwo. Dotarł do foyer i skierował się w stronę wind, nacisnął szybko guzik.

DZIESIĘ minut później, kiedy nadszedł Dillon, Hanna wciąż stała pod męską toaletą.

— Szukałem cię. Gdzie nasz przyjaciel?

— W środku. — Skinęła na drzwi. — Widziałam, jak wchodził, ale jeszcze nie wyszedł.

Dillon się uśmiechnął.

— Zostaw to mnie.

Znów czekała, obserwując rosnący tłum spóźnionych gości. Wreszcie Dillon zjawił się i zapalił papierosa.

— Ani ładnie gościa.

— Dziwne, bo na pewno wchodził. Sprawdźmy wobec tego, czy jest na sali. — I wróciła na bal.

UNIWERSALNY klucz Helen Lang pasował jak ulał. Natychmiast wsun ła si do apartamentu Cohana i zamkn ła drzwi. Pokojówka zaci gn ła story. Helen w lizgn ła si przez nie, uchyliła drzwi balkonowe, wyszła na taras. Z okna rozci gał si widok na Hyde Park i wiatła miasta. W dole na Park Lane panował wielki ruch. Ogarn ła j dziwna nostalgia.

COHAN wysiadł z windy i ruszył korytarzem. Czuł łomot serca. Wszedł do siebie, otworzył chi ski barek wykładany lak i nalał sobie, roztrz sionymi r kami, du whisky. Wychylił do dna, nalał drug . Co on, u diabła, ma pocz ? Wszystko si sypało. Mógł mu pomóc jedynie Barry. Poszedł do sypialni, wyj ! z torby komórk , wystukał numer.

Barry odebrał jeszcze w swoim domu w hrabstwie Down.

— Kto mówi?

— Cohan. Na miło bosk , co tu si dzieje?

— Jak to?

— Rozmawiałem z Ł cznikiem. Wiem o twojej wyprawie do Londynu wczoraj wieczór. Powiedzieli mi o tym general Charles Ferguson i ten cały Dillon, a teraz siedz mi na karku.

— Co panu powiedzieli?

Cohan powtórzył wszystko, co pami tał.

— Ł cznik twierdzi, e przyjechałe mnie tu osłania .

— Bo to prawda.

— A Dillon twierdzi, e przyjechałe mnie załatwi .

— I komu pan wierzy? — spytał Barry. — Swoim przyjaciółom czy temu konusowi Irlandczykowi? Przecie gramy w jednej dru ynie. I razem to załatwimy. Kiedy pan wraca do Nowego Jorku?

— Jutro.

— To wietnie — ucieszył si Barry. — Jeszcze nie o wszystkim pan wie, ale przyrzekam, e niedługo rozwiej wszystkie pana w tpliwo ci.

— No dobrze, ju dobrze — rzekł udobruchany Cohan. — B d w kontakcie.

Odło ył telefon komórkowy i podniósł kieliszek.

— Po co ja si , do diabła, w to wszystko wpl tałem?

Ledwie zd ył przytkn kieliszek do ust, kiedy story si rozchyliły i wyszła zza

nich lady Helen Lang z koltem dwadzie cia pi w prawej r ce.

Rozdział siódmy

Có to znów, do jasnego pioruna? — zdumiał się Cohan. Roze miała się .

— Nemezis, panie senatorze, tak można by to określić .

— Kim pani jest?

— Niech pan spocznie. Zaraz powiem. Usiadł na jednej z kanap, trząsnął się jak osika.

— Chyba tak to nazywano w starych gangsterskich filmach: „czas zapłaty”.

— Ale co ja takiego zrobiłem?

— Osobiście nic. Z pewnościami pan czyste ręce, ale maczał pan palce w zbrodni, wspólnie z Synami Erynu. Miałam, panie senatorze, syna, odważnego i prawego młodego człowieka. I powiem panu, jak skończył, przez jakie idiotyczne gry, w które wdał się pan z kolegami.

Kiedy skończyła mówić, Cohan był blady jak ściana. Nalała mu kolejną whisky, podała.

— Nie do wiary — wykrztusił.

— A jednak, panie senatorze. Zastrzeliłam Tima Patara Ryana tu, w Londynie, a potem w Nowym Jorku Brady'ego, Kelly'ego i Cassidy'ego.

Wychylił whisky.

— Czego pani chce?

— Zaczniemy od kilku pytań. Kim jest Łącznik?

— Znam go tylko z telefonu. Przysięgam.

— Ale musi się pan domyślać?

— Nie! Wie różne rzeczy, ale nie mam pojęcia, skąd!

— A Jack Barry? Gdzie on się podziewa?

— Wiem tylko, że gdzieś w Irlandii Północnej.

— Przecież słyszałam, jak pan z nim rozmawiał.

— Tak. przez zakodowaną komórkę. Ma numer, ale nie można jej wyłedzić .

— Doprawdy? — Wzi ła telefon do r ki. — Jaki to numer? Podyktowa ła, zapisa ła na kartce, któr schowała razem z komórk do torebki. eby móc zapisa , musiała przeło y kolta do lewej r ki, i w tym momencie Cohan, upatruj c w tym szans , ciska ła w ni szklank i rzuci ła si przez zasłony na taras.

Nie było to jednak m dre posuni cie. Bo nie było dok d ucieka . Wyrza ła przez balustrad , zobaczy ła wst g wiatła wij c si wzdłu Park Lane, a pod kraw dzi tarasu dojrza ła elazn drabink słu c zapewne do wchodzenia na dach. Szybko siad ła okraciem na balustradzie, wymaca ła nog szczebel, kiedy zza zasłony wysza ła Helen Lang z wymierzonym koltem.

— Nie, na Boga, nie! — krzykn ła, po czym po lizgn ła si i run ła.

Helen spojrze ła w dół, zobaczy ła, e ruch si zatrzyma ła, usłysza ła jazgot klaksonów. Obróci ła si na pi cie, ruszy ła do drzwi, wymkn ła si na korytarz. Ju po chwili schodzi ła do holu.

Nemesis to było wła ciwe okre lenie. Cohan zapłaci ła nieuchronn cen . Nawet nie musiała przyło y do tego palca, ale doprowadzi ła rzecz do ko ca. To jej wystarczy ło. Zobaczy ła spore poruszenie przy głównym wej ciu, dojrza ła Fergusona i Dillona, ale w tym momencie dopad ła j dławici cy ból za mostkiem. Odszuka ła fiolek z pastylkami, po ła dwie i wróci ła na sal balow .

MO E wyszed ła do swojego apartamentu — rzek ła Dillon, kiedy sko czyli przeszukiwa sal balow . Wtedy usłyszeli klaksony przed hotelem, zobaczyli zamieszanie.

— Sprawdź , co tam si sta ło, panie generale — powiedzia ła Hanna do Fergusona.

Ruch niemal usta ła. Hanna natychmiast zorientowa ła si , co zasz ło. Wokół ci ła na chodniku zebra ła si tłum, a obok, przy motocyklu, sta ła samotny policjant i dok d dzwoni ła. Hanna błysn ła legitymacj .

— Główny inspektor Bernstein, wydział specjalny. Co si sta ło?

— Wła nie przechodzi łem t dy, pani inspektor. Denat spad ła z góry, omal nie zmia d y ła przechodz cej pary. Wezwa łem karetk i wydział zabójstw.

Hanna natychmiast pozna ła Cohana. Wyprostowa ła si .

— Znam tego człowieka, kolego. To go z naszego hotelu. Prosz trzyma j zyk za z bami, adnych wywiadów ani dla prasy, ani dla nikogo. Czerwony alarm. Wie pan, co to znaczy?

— Tak jest, pani inspektor.

SPRAWDZILI apartament Cohana we troje. Szef zmiany dosłownie wpadł w dygotki.

— adnych ładów walki — orzekła Hanna.

— Tak, pani inspektor. Ale czy wypadł, czy został zepchni ty? Ferguson popatrzył na Dillona.

— A ty, jak s dzisz?

— E, kto by tam wierzył w przypadki w naszym fachu?

— Prosz zabezpieczy apartament. Niedługo przyjedzie tu policja, eby pobra próbki.

— Tak jest, panie generale. Ferguson zwrócił si do Dillona.

— Przeka esz zł wiadomo przez Blakea panu prezydentowi. Ja premierowi.

MIMO blisko ci domu przy South Audley Street lady Helen kazała Hedleyowi czeka na siebie w mercedesie na Park Lane. Przecisn ła si przez tłum gapiów, którzy obst pili ciało senatora Michaela Cohana. Hedley wyskoczył na jej widok i otworzył tylne drzwi. Wsiadła, on usiadł za kierownic , i odjechali.

— Mo e by poje dził troch , Hedley, miałam ci ki wieczór.

— Jak poszło? Opowiedziała mu wszystko.

— Ju po Cohanie, ale dodatkowo zdobyłam namiar na Jacka Barry'ego. — Wyj ła komórk . — Spróbuj go złapa , co?

Barry jadł kolacj , kiedy zadzwonił telefon.

— Kto mówi?

— Nemezis — przedstawiła si lady Helen. — Ale zacznijmy od najnowszych wie ci. Senator Michael Cohan wypadł z siódmego pi tra hotelu Dorchester przy Park Lane. Dzwoni z jego komórki.

Jack Barry osłupiał, jak jeszcze nigdy w yciu.

— Kim pani, do pioruna, jest?

— Brady, Kelly, Cassidy w Nowym Jorku, Tim Pat Ryan w Londynie, a teraz senator Michael Cohan. Oto kim jestem. — Roze miała si . — Zostali cie tylko wy dwaj, ty i Ł cznik.

Barry wzi ł gł boki oddech.

— Ale sk d pani jest? Z lojalistycznych bojowników o wolno ? Czerwona r ka Ulsteru? Protestancka winia?

— Pewnie się pan zdziwi, ale jestem katoliczką, panie Barry. Religia nie ma tu nic do rzeczy, a dziwi się, że pan mówi protestancką winia. Przecież sam pan jest protestantem.

Jack przerwał jej z furii.

— O co chodzi? Jeszcze raz pytam, kim pani jest?

— Rzeki sprawiedliwo ci, panie Barry, oto kim. A dzisiaj o nią bardzo trudno. Ale mam zamiar to zmienić.

Kiedy słuchał jej cichego wywołania onego głosu, jego gniew narastał.

— Pani oszalała.

— Nie do końca. Zamordował pan mojego syna w Ulsterze trzy lata temu i zgładził czworo jego znajomych, w tym kobiet. — I tak za dużo mu powiedziała, ale to dobrze. W jej głowie kłębił się pewien plan.

Barry wyciuciu nie czuł się taki sfrustrowany.

— Dobra, i czego pani chce?

— To proste. Jak mi powiedziałam, trzy lata temu zamordował pan mojego syna w Ulsterze. Teraz ja zamorduję pana.

Raptem ogarnął go strach.

— Co za bzdury! Chyba pani na głowę upadła!

— Przynajmniej przez tę komórkę mogła z panem rozmawiać, kiedy zechce. Możemy się nawet umówić. Bądź w kontakcie.

I odłożyła słuchawkę.

— Podaj mi piersiówkę, Hedley. — Szofer podał. Lady Helen łyknęła i mu oddała. — Dzięki. Wyborna. Od razu się lepiej poczułam. — Wyjęła srebrny papieros, zapaliła, zacięła się. — Co wspaniałego. A teraz pojeździmy chwilę. Okręcając pałac Pali Mali.

Hedley lawirował w dużym ruchu.

— Ale nie będzie się pani umawiała z tym draniem? Zastanowiła się.

— Jedyne rozwiązanie, żeby się z nim spotkać, to zaprosić go do mnie. Hedley pokiwał głową.

— Ale gdyby nawet go pani załatwiła tak jak innych. Co wtedy? Zostanie Łącznik, i nigdy się pani nie dowie, kto to taki... Bo jeden z nich nie wiedział.

— Polityka, Hedley, rozsiewa tyle zła. Weźmy chociażby tę sytuację. Tu nie chodzi o Synów Erynu czy Łącznika. Wszystko zaczyna się od rzędów, brytyjskiego i amerykańskiego. Gdyby nie zatajali przed sobą informacji, Łącznik nie miałby czego

podkrada . Kto wi c w ko cu ponosi odpowiedzialno ?

— Nie rozumiem.

— Skoro jest w to zamieszany Biały Dom, to najwi ksza władza, a zarazem odpowiedzialno spoczywa w r kach prezydenta.

— Co pani zamierza?

— Załatwiłam sobie zaproszenie na przyj cie w przyszłym tygodniu w rezydencji Chada Luthra na Long Island. Prezydent ma tam by go ciem honorowym.

Hedley a si wzdrygn ł.

— Bo e jedyny! Nie mo e pani tego zrobi ! Zastanowiła si przez chwil , potem si roze miała.

— Hedley, na miło bosk , s dzię , e mogłabym go zabi ? Doprawdy, ale ty masz o mnie zdanie. Do tego stopnia nie oszalałam. Ale zawsze mog to z nim omówi .

— Omówi ? Chce si pani do wszystkiego przyzna ? Do tych zabójstw? Ka e pani aresztowa .

— Jeszcze nie poj łe ? Przecie to jego Biały Dom, a zatem jego bałagan. Nie zechce tego ujawnia , podobnie jak ja. Wybuchłby nieprawdopodobny skandal. Mógłby zaszkodzi jego prezydenturze. A z pewno ci zakłóciłby proces pokojowy w Irlandii. Musi ujawni ł cznika. — Wbiła wzrok w Hedleya. — Bo inaczej kto wie, co przecieknie do prasy?

Hedley był wstrz ni ty.

— Chce pani szanta owa prezydenta? — Pokr cił głow . — Przecie załatwiła ju pani tych łotrów. Niech pani da spokój.

— Nie mog — powiedziała. — Ka dy mój dzie jest darowany, Hedley. Bardziej ni by s dził. A to zbyt wa na sprawa.

BLAKE Johnson wysłuchał przez telefon tego, co Dillon miał do powiedzenia. Kiedy Irlandczyk sko czył, Blake powiedział:

— Przypominaj mi si czasy FBI i listy go cze za najbardziej poszukiwanymi przest pcami. Obsesyjnymi zabójcami.

— S dzisz, e ta sama osoba załatwiła Cohana, co tamtych?

— Nie mam w tpliwo ci.

— Czyli jedna kobieta miałaby zlikwidowa wszystkich Synów Erynu? Zabiła pi osób.

— Sean, mój drogi druhu — odezwał się Johnson — a masz lepszą koncepcję ?

— Właśnie ciwie to nie, ale może popracuj ze swoim przyjacielem kapitanem Parkerem.

— Dobra, zostaw to mnie.

Johnson odłożył słuchawkę i zadumał się. Po chwili zadzwonił do prezydenta.

— Słyszał pan o Cohanie ?

— Jak bym mógł nie słyszeć ? — odparł Cazalet. — Trzeba o tym w CNN.

— Mogłbym się z panem zobaczyć ?

— Zapraszam.

PRHYDEN siedział w Gabinetach Ovalnym za biurkiem i podpisywał dokumenty podsuwane mu przez szefa kancelarii. Thornton podniósł wzrok i uśmiechnął się krzywo.

— Masz smutną minę, Blake. I wcale się nie dziwi. Cazalet odchylił się w fotelu.

— Dokończymy później. I co teraz, Blake ?

— Kto zabił pięciu członków grupy Synowie Erynu. Został tylko Jack Barry, który ukrywa się w Ulsterze, oraz Łucznik tu, w Waszyngtonie.

— Ale czy to jest ważne w świetle tego, co się stało ? — wtrącił Thornton.

— Ujmij to tak — odparł Blake Johnson. — Siła Łucznika nie wynikała wyłącznie ze zdobywanych przez niego tajnych informacji. Informacje były przydatne tylko dlatego, że miał pod sobą ludzi, którzy umieli je wykorzystać.

— A teraz wszyscy nie żyją — podsumował Cazalet.

— O nie. Został jeszcze Barry. Skoro Łucznik nadal działa, a Barry jest jego wynajętym bandytą, to nadal mamy spory problem.

— Co proponujesz ?

— Warto by sprawdzić nowojorskie zaplecze Cohana. — Johnson zerknął na Cazaleta. — I chyba czas przetrząsnąć pod tym kłosem Biały Dom, panie prezydencie.

— Zgadza się — powiedział Cazalet. — Sprawdź Cohana. — Odwrócił się do Thorntona. — Ciekawe, czego się dogrzebiesz, Henry.

— Już się zabieram, panie prezydencie. Sprawdź wszystkich — odrzekł Thornton i wyszedł razem z Johnsonem.

Kiedy rozstali się na korytarzu, Thornton patrzył w ślad za odchodzącym

Blakiem Johnsonem. A nie do wiary, jak bardzo czuł się podniecony.

W TEJ samej chwili lady Helen jechała do Norfolk. Siedziała z tyłu mercedesa. Była dziwnie spokojna. Zapaliła papierosa.

— Pewno masz mnie za wariatkę, Hedley.

— Uważam, że pani przesadza, lady Helen.

— Jesteś kochany, ale podobnie jak większość ludzi widzisz tylko to, co widzisz. Mylisz, że masz przed sobą tylko samą osobę, co dawniej. A to nieprawda. Bo bardzo się spieszy, Hedley. Nie mam ani chwili do stracenia.

— Proszę tak nie mówić.

— Ale to prawda, Hedley, jestem bliska śmierci. Może to nie stanie się jeszcze dzisiaj ani jutro, ale niebawem, bardzo niebawem. I, na Boga, muszę przedtem zrobić to, co do mnie należy. Jadę na Long Island spotkać się z prezydentem. Bo Barry zawsze będzie pod tą komórką. Wystarczy wystukać numer. A zatem podaj mi pierścionki i dodaj gazu. Powinniśmy na trzeci wrócić do domu.

NAZAJUTRZ rano Hedley zajechał do sklepu i zrobił zakupy. Ale po powrocie do Compton Place nie zastał lady Helen. Zostawił paczki w kuchni i wyszedł na podwórko. Od strony stodoły dobiegł go huk wystrzału z pistoletu. Wszedł i zobaczył swoją panią. Strzelała do celu z kolta dwudziestki piątki.

— Zatem jedziemy na Long Island, pani z koltem w torebce?

— Pojutrze — odpowiedziała i znów załadowała broń. — Poleć jednym z golfstromów firmy. Moemy wylądować na lotnisku Westhampton na Long Island. To bardzo wygodne.

— Wolałbym, żeby pojechała pani bez broni.

— Chętnie gotowa na wszystko. Nie musisz jechać, jeżeli stanowi to dla ciebie jakiś problem.

— Oczywiście, że musisz. — Chwytnął browninga ze stołu i zaczął strzelać do tarcz. Przestrzelił cztery głowy.

— Znow się popisujesz, Hedley?

— Nie — odparł. — Sprawdzam formę, żeby w razie potrzeby panią wspomóc. No bo jeżeli spotka pani tego Łącznika?

— Czyli jedziesz ze mną?

— Kto musi pani pilnować. — Wyjął jej kolta z dłoni, sprawdził i oddał. — No dobrze, proszę stanąć w odpowiedniej pozycji i pamiętać o tym, co pani mówiłem.

NAST PNEGO dnia Blake Johnson siedział w gabinecie Parkera, pił kaw i jadł kanapk z szynk . Był sam. Na dworze straszyla paskudna marcowa pogoda. Za oknem wirowaly mokre plátky niegu. Drzwi si otworzyly, wszedł Parker.

— Dowiedziałem si , e tu jeste . Ch tnie napij si z tob kawy.

— Wła nie przyleciałem z Waszyngtonu. Warunki atmosferyczne byly tak zte, e nawet nie mogli nam poda niadania.

— To kara za to, e si rozbijasz samolotami. — Parker usiadł i pokiwał głow .
— Tkwisz w gównie po uszy, przyjacielu.

— Co takiego?

— Nie udawaj! A Cohan? Prasa pisze, e to nieszcz liwy wypadek, ale my wiemy lepiej. No wi c, jak sprawa wygl da?

— Zwyczajnie. Wszyscy Synowie Erynu trafili do ekskluzywnego klubu w niebie. Cohan, Ryan, Kelly, Brady, Cassidy.

Parker wgrzyt si w kanapk .

— Wszystko jasne. To zemsta za co , co zrobili Synowie Erynu. Tyle wiem. Ale niewiele wi cej. Dlaczego na przyklad Cohannie zgin ł w Nowym Jorku, tak jak pozostali? Nie stwierdzono prób włamania do jego domu. prawda?

— Sprawd my.

Parker podszedł do komputera, usiadł, co wystukał.

— Nie, adnych takich informacji. — Przerwał. — Chwila. O, to jest ciekawe.

— Co takiego?

— W zeszłym tygodniu zanotowano podwójne zabójstwo obok domu Cohana. Zastrzelono typowych ludzi ulicy. Sekcja zwłok wykazala alkohol i lady kokainy. — Na ekranie wci pojawialo si co nowego. Johnson, staraj c si ukry rosn ce emocje, spytał:

— A z jakiej broni?

Parker postukał. po czym odchylił si w krze le.

— O Bo e, z kolta dwudziestki pi tki. — Odwrócił si do Blake'a. — Sprawd to jeszcze. — Znów postukał szale czo w klawisze, wreszcie przerwał. — Prosz bardzo. S dziłe , e masz czterech Synów Erynu zastrzelonych z tej samej broni. A znalazłem ci jeszcze dwie ofiary.

Johnson nie posiadäl si ze zdumienia.

— Ale dlaczego takich dwóch obwiesiów? Parker si zamy lił.

— Najwyra niej chodziło o dom Cohana. Mo e kto czekał na senatora, a zjawilo si tych dwóch.

Johnson pokiwał głow .

— No tak, w złym czasie, w złym miejscu. Id obejrze miejsce zbrodni. — Wstał. — Dzi ki, Harry, na pewno tu wróc — i opu cił gabinet.

LADY Helen wyszła si przej . Stan ła w ród sosen. Spojrzała na wzburzone morze, wyj ła komórk , zadzwoniła do Barry'ego.

— A, jeste — przywitała si .

— Czego pani chce?

— Nic specjalnego. Chciałam nawi za ł czno . Barry zachował zimn krew.

— Gdzie pani jest?

— O, co za post p. Pytasz o to po raz pierwszy. Nastraszc ci . Na wschodnim wybrze u Anglii.

— Yorkshire, Norfolk?

— To ju byłoby za du o szczegółów. I rozł czyła si .

Barry podszedł do kredensu, wyj ł butelk whisky, nalał sobie szklank . Ale r ka mu si trz sła. Ju zrozumiał, e ta kobieta si od niego nie odczepi. Zadzwonił do Ł cznika.

— Nie powiedziałem panu wszystkiego na temat Cohana.

— To powiedz teraz — poradził Thornton. — Kiedy Barry sko czył, Thornton poprosił: — Powtórz jeszcze, co ta kobieta powiedziała o swoim synu.

— Ze trzy lata temu zamordowałem w Ulsterze jej syna i e zabiłem czworo jego przyjaciół, w tym kobiet .

— Nie przypominasz sobie?

— Na miło bosk , przecie wojuj od lat. Chcesz wiedzie , ile osób zabiłem?

— Dobra, ju dobra. Sam sprawdz .

BLAKE Johnson kazał si podwie pod dom Cohana na Park Avenue, tyle e po drugiej stronie ulicy. Siedział, przegl daj c raport z miejsca zbrodni. Prosta sprawa.

Usiłował wyobrazi sobie t scen , patrz c na dom Cohana. Obyło si bez walki, bo raport patomorfologa wykazał w obu przypadkach natychmiastowy zgon... lecz po chwili zmartwiał. Bo co mu si nie zgadzało. Ofiara pierwsza — grupa krwi

0. Ofiara druga — grupa krwi A. S k w tym, e na koszuli drugiej ofiary wykryto równie ład innej grupy krwi — grupy B.

A zatem była w to zamieszana i trzecia osoba, doszło do walki. Czy by chodziło o zabójc ? Odrzucił jednak tak ewentualno . Obaj faceci zgin li od celnego strzału. Czemu wi c miałyby w gr wchodzi jaka walka? Znow si zastanowił. Chyba e na miejscu znajdowała si jeszcze jedna osoba. Czyli w sumie nie trzy, lecz cztery osoby.

Postanowił obejrze to z chodnika, z innego punktu widzenia.

— Wracaj na komend i zaczekaj tam na mnie — polecił kierowcy. — Przyjad taksówk .

Kierowca odjechał.

Czyli wieczorem zabójca czekał, a Cohan wróci do domu. Gdzie mógłby czeka ? Po tej stronie ulicy, bo st d było dobrze wida i mo na było całkiem celnie strzeli .

Odwrócił si , rozejrzał. Mo na si tu było skry w cieniu wielu klatek schodowych i bram. No to co si nie udało? Spojrzał na dom Cohana. Zza rogu Park Avenue wyszła młoda para. Blake odprowadził ich wzrokiem, min li zaulek, skr cili za róg, znikn li mu z oczu.

— No lak — mrukn ł. — Tak jak my lałem. Kto tu na co trafił. W złym czasie, w złym miejscu.

Zatem odeszła st d osoba z grup krwi B. Ciekawe tylko, w jakim stanie. I dok d?

Johnson przeszedł na drug stron ulicy, zatrzymał si w zaułku. Gdyby kto uciekał, to w któr stron ? W prawo czy w lewo?

Co tam, najpierw pójdzie w lewo, cho by dlatego, e tam przed chwil znikn ła tamta para.

Stan ł na chodniku, skr cił za róg i doszedł do nast pnej przecznicy, mijaj c biura, z rzadka sklepy, które zreszt i tak musiały by wtedy, po północy, zamkni te.

— Ale nie szpital — znowu mrukn ł do siebie pod nosem, patrz c na drug stron ulicy. — Bo ten zawsze jest otwarty.

Na tablicy widniał napis: Szpital Naj wi tszej Marii Panny. Był prywatny, a na wielkiej kolorowej tablicy wyszczególniono zakres usług, w tym ostry dy ur i nagł pomoc.

Johnson wszedł na ganek, wyj ł komórk , zadzwonił do Harry'ego Parkera.

— Harry, potrzebna mi twoja pomoc.

— Masz co ?

— Na razie pewne przeczucia, a je li mnie intuicja nie myli, przydałaby si policja.

— Gdzie jeste ? — Johnson mu powiedział. — Dobra, zaraz tam przyjad .

KIEDY Parker i Johnson weszli na izb przyj szpitala, znale li si w nadspodziewanie luksusowym otoczeniu — wykładczy, fotele, koj ca muzyka. Dy urna piel gniarka w recepcji miała na sobie uniform, który mógłby pochodzi od Armaniego.

— Czym mog słu y ? — spytała uprzejmie. Harry błysn ł złot odznak policyjn .

— Kapitan Parker z nowojorskiej komendy policji. Chciałbym zasi gn informacji. Chodzi o ledztwo w sprawie zabójstwa.

— W takim razie poprosz kierownika administracyjnego pana Schofielda.

— B d wdzi czny, siostrzyczko — odrzekł Harry.

Schofield, opalony, z dobr prezencj , miał na sobie granatowy garnitur w białe pr ki. Kiedy usiedli w jego gabinecie, Johnson wyłuszczył, o co mu chodzi. W strzelaninie, która miała miejsce nieopodal, zgin ły dwie osoby, niewykluczone, e trzecia została ranna.

— I czego pan ode mnie oczekuje? — zapytał Schofield.

Johnson si gn ł po notatnik, napisał dat .

— Czy tego dnia, nad ranem, zgłosił si do pa stwa na ostry dy ur kto ranny?

— Panowie, to sprawa poufna. Obowi zuje nas tajemnica lekarska.

— Ale my mamy nakaz prezydencki.

I Johnson pokazał mu odno ny dokument.

— Dobrze, zaraz sprawdz — uległ Schofield. Przejrzał ksi k przyj . — Owszem, jest tu odnotowana taka pacjentka. Jean Wiley. Zgłosiła si o pierwszej pi tna cie. Z poci t twarz . Opatrzył j doktor Bryant.

— Panie Schofield, doktor Bryant ma dzi dy ur — wtr ciła si recepcjonistka. — Widziałam, jak schodził do stołówki.

— To wietnie — podchwycił Parker. — Prosz nam powiedzie , jak tam trafi , panie Schofield.

Bryant był korpulentnym człowiekiem po trzydziestce. Nosił okulary, miał

ciemne kręcone włosy i broda. Podniósł wzrok na trzech mężczyzn.

— Słucham panów?

Parker przedstawił się, Johnson podziękował Schofieldowi i wyjechał, w czym rzecz.

— Proszę sobie przypomnieć pacjentkę, która przyszła tu z ulicy w środku nocy. Jean Wiley. Z czym się zgłosiła?

— Miała drażnić twarz. Niezbyt mocno, ale z całą pewnością cięno.

— Pytał pan o szczegóły? — zaciekawiał się Parker.

— Oczywiście. Twierdziła, że się potknęła i skaleczyła w kuchni. Zacerowałem ją artystycznie, zostawiła swój numer ubezpieczenia i poszła.

— W takim razie nietrudno jej będzie znaleźć w komputerze. W ten sposób też zdobędziemy grupę jej krwi.

— To nie będzie konieczne — powiedział Bryant. — Pamiętam ją. — Spojrzeli na niego, a on się zarumienił. — Spotkałem się z nią potem kilka razy na obiedzie w tym samym barku, „U Nicka”. tuż za rogiem. To... bardzo atrakcyjna dziewczyna — powiedział rozbrawiając co. — I ma grupę krwi B.

Parker spojrział na zegarek.

— Zbliża się pora obiadu.

Bryant zawahał się na moment i powtórzył słowa Schofielda sprzed chwili:

— Obowiązuje nas tajemnica lekarska.

— Ale zanim ta osoba się tu zgłosiła, na ulicy popełniono podwójne zabójstwo. A to poważna sprawa, panie doktorze.

— Przecie to młodziutka dziewczyna. Nie chcecie chyba powiedzieć, że kogo zabiła?

— Ale skąd — odparł Johnson. — Tyle że musimy najpierw mieć podstawy, by ją wykluczyć.

— No dobrze — zgodził się Bryant niechętnie. — Pokażcie ją. Ale potraktujcie ją delikatnie, dobrze?

— W dzisiejszych czasach uczy się nas w policji delikatnego podejścia — zapewnił go Parker. — No, to idziemy.

BRYANT zajrzał przez szybę do kafejki „U Nicka”.

— Nie ma jej.

— No dobrze, to zaczekajmy — zaproponował Parker. Ledwie przestępił próg,

Bryant zeszywniał.

— Przechodzi wła nie przez ulic . To ta drobna szatynka w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym. Pod czarnym parasolem.

Jean Wiley weszła do baru.

— Nó ki cacy — skomentował Bryant.

— Prosz si skoncentrowa raczej na tajemnicy lekarskiej — przypomniał mu Parker. — Dzi kuj , panie doktorze, ju pan mo e odej .

— W razie czego, wiedz panowie, gdzie mnie znale — powiedział Bryant i odszedł.

Johnson i Parker zbli yli si do okna, zajrzeli do rodka. Dziewczyna wzi ła kaw i kanapk do lo y.

— Jak to rozegramy? — spytał Harry Parker.

— Taktyka „dobry glina, zły glina" nie powinna by potrzebna. No wi c, ty b dziesz miłym pocziwym glin , który z alem wykonuje swoje obowi zki, a ja miłym faciem z federalnej. Tylko pami taj jedno — powiedział Johnson. — Ja tu rz dz . I ja decyduj , co si z ni stanie.

— Im wi cej si dowiaduj o tej sprawie, tym bardziej si ciesz , e nie ja tu rz dz — powiedział Parker. — Wchodzimy.

JEBAN Wiley podniosła wzrok. Min miała niech tn .

— Czy mo emy si przysi ? — spytał Parker.

— Przecie jest du o wolnych miejsc. Parker błysn ł odznak .

— Kapitan Harry Parker z komendy nowojorskiej. A to mój kolega, niejaki Johnson z FBI.

— Liczymy na to, e pani nam pomo e — stwierdził Johnson.

— Chodzi o podwójne zabójstwo w zeszłym tygodniu. Dziewczyna poszarzała na twarzy.

— O Bo e. Czego panowie chc ?

— Kilka szczegółów, pani Jean Wiley, bo tak si pani nazywa. Lat dwadzie cia cztery?

Oczy pociemniały jej z gniewu.

— I co z tego?

— Opowie nam pani o tym. w jaki sposób pani krew mogła si znale na koszuli zamordowanego?

Dziewczyna a podskoczyła z wra enia. Spojrzała ze zdumieniem na

Johnsona.

— W zeszłym tygodniu, w zaułku o kilka przecznic stąd, tu po północy zastrzelono dwóch obwiesiów. Jeden miał grupę krwi A, drugi 0 — cięgnął Parker.

— Tyle że na koszuli drugiego znaleziono ślad krwi grupy B

— wtrącił Johnson.

— Z pewno cię trysnęła, kiedy facet pani cięchnął — dodał Parker, wskazując na delikatny ślad na jej policzku. — Zapewne kiedy pani trzymała, a pani się wrywała. Tak było? Zaczepili pani i zacięgnęli do bramy.

— Dranie, parszywe dranie. — Wzięła głębszy oddech, napiła się kawy. Ręce jej drętały. — Ładnie pan to sobie wykombinował, panie kapitanie, ale przed dwoma laty zrobiłam na Columbii dyplom z nauk prawnych i znam swoje prawa. Dlatego wstrzymuj się od składania zeznań. Nie powiem ani słowa.

— Pał diabli pani zeznania, badania DNA wykażą wszystko. Blake Johnson raptem odtworzył w głowie przebieg sytuacji.

— Chcieli pani zgwałcić, może zamordować — powiedział cicho.

— Pani się szamotała, zagrozili nożem, drasnęli twarz, a wtedy jaka kobieta wyszła z ciemności i ich zastrzeliła.

Parker odwrócił się do niego ze zdumieniem.

— Co?

Ale jego słowa jeszcze bardziej wstrząsnęły dziewczyną.

— Skąd pan wie?

— Czasem wszystkie kawałki znieściska układają się w zgrabną całość. Człowiek mozolnie dopasowuje, a tu nagle odsłania się cały obrazek.

Parker zwrócił się do niej jeszcze serdeczniej.

— Bardzo proszę, niech nam pani o tym opowie.

— Nie mogę — odparła. — Wolałabym umrzeć, niż zaszkodzi tamtej kobiecie.

Dygotała na całym ciele. Johnson wezwał kelnerkę.

— Moją proszę brandy? Napije się pani? To świetnie. I kawę. Mocną, czarną, parzoną po turecku.

Parker wziął od kelnerki kieliszek, podał dziewczynie.

— Wypij. — Usłuchała, zakrztusiła się, następnie sięgnęła po kawę. — Najlepsza kombinacja na świecie — dodał Parker. — I w dodatku zgodna z prawem.

— A tu mamy coś jeszcze zgodnego z prawem — dodał Johnson. — Co, o czym na pewno tylko napomknęto pani na wykładach z prawa.

I podsunął jej nakaz prezydencki.

Dziewczyna zamyliła się, jak gdyby patrzyła w przeszłość.

— Nie mają panowie pojęcia, co to znaczy bycie kobiet w takiej opresji. Nie ma nic gorszego na świecie. Wracałam z nieudanej randki z facetem. Okłamał mnie, nie powiedział, że jest onaty. Zjedliśmy kolację we włoskiej knajpce o kilka przecznic stąd. Upił się i wygadał, że ma on i dzieci. Wybiegłam stamtąd jak oparzona.

— I nie mogła pani znaleźć taksówki? — spytał Parker.

— Było po północy, deszcz lał jak diabli, a kto widział na Manhattanie taksówkę, kiedy pada?

— Ruszyła pani pieszo, tak? — dopytywał się Johnson.

— Jak stałam. Miałam mały parasolk, ale i tak przemokłam do suchej nitki. Kiedy mijalam tamten zaułek, ktoś mnie zawołał, a potem ktoś złapał. Jeden facet mnie trzymał, drugi przejechał po policzku nożem sprężynowym.

A ja przeszedł dreszcz.

— I wtedy zjawiała się tamta kobieta? — spytał Johnson.

— To było coś niewiarygodnego. Mówiła tak ciepło. Kazała im mnie puścić. Jeden trzymał mnie z tyłu, a drugi wykrzykiwał pogroźki pod jej adresem, nie pamiętam dokładnie. Kiedy postąpił naprzód, wyciągnęła rękę nakrytą kapeluszem i go zastrzeliła.

— Huk był duży? — spytał Parker.

— Nie, mały.

— Czyli tłumik. — Pokiwał głową. — A tamten drugi?

— Usiłował zasłonić się mną jak tarczą, miał noż, ale strzeliła mu w głowę nade mną.

Parker odwrócił się do Johnsa.

— Widać musi być dobra, skoro zdecydowała się na taki strzał. No i ten tłumik. Miała rację, Blake, to profesjonalistka.

Johnson zwrócił się znów do Jean Wiley.

— Proszę mi ją opisać.

— Dziwne, ale sprawiła na mnie wrażenie prawdziwej damy. Pod siedemdziesiątkę. Miała płaszcz i kapelusz przeciwdeszczowy, parasol. Włosy siwe.

— A twarz?

— Tylko nie każe mi oglądać zdjęć. Za słabo ją widziałam, żeby móc z całą pewnością zidentyfikować.

— To nic — powiedział Johnson. — Wcale o to nie prosz . Zreszt ta sprawa nie 1 raf i do s du. Ci dwaj znajd si na li cie nowojorskich ofiar ulicy.

— Czyli nikt mnie nie b dzie nigdzie ci gał?

— Ma pani moje słowo. — Tu zwrócił si do Parkera. — Prosz , potwierd to. Kapitan policji potwierdził.

— Pan Johnson kieruje cała akcj , ja tylko pomagam. Tak samo obowi zuje mnie nakaz prezydencki, jak pani .

— Obiecuj , e nikt nigdy nie dowie si o pani — przyrzekł Johnson. — Przeka tylko fakty, wła nie panu prezydentowi. Przy odrobinie szcz cia, panno Wiley, nie b d musiał pani ju wi cej niepokoi . — Zawahał si . — Jeszcze tylko jedno. Jaki miała akcent?

— Mówiła jak prawdziwa dama. Z wy szych sfer. Wie pan, prawie jak angielska dama.

— Czy, pani zdaniem, mogła to by Angielka? — spytał Parker.

— E, nie. S dz c z akcentu, raczej ameryka ska arystokratka.

— No dobrze. I na drugi raz niech pani nie zapomni poprosi w restauracji, eby zamówili pani taksówk — powiedział Parker, wychodz c.

Chwil stali w deszczu.

— I co ty na to? — zagadn ł Johnson.

— Brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie, Blake. Dobroduszna starsza dama zabija dwóch szemranych gwałcicieli, zupełnie jak jaki podstarzały Brudny Harry.

— Tak samo jak Tima Pata Ryana w Londynie.

— A tak e Brady'ego, Kelly'ego i Cassidy'ego w Nowym Jorku. Pewno te Cohana w Londynie. Co czuj , e to bardzo osobista sprawa.

— Zgadza si — przytakn ł Johnson.

— Chyba sprawa ma wi cej wspólnego z Synami Erynu, ni ci si wydaje, ale to ju nie mój problem. — Spojrzał na zegarek. — Musz ju i . Mam spotkanie z komisarzem.

Zatrzymał taksówk . Johnson popatrzył za nim, po czym sam ruszył, eby złapa samolot do Waszyngtonu.

Rozdział ósmy

JAKE Cazalet pływał w basenie Białego Domu. Pilnowało go dwóch ochroniarzy w białych dresach, sierantów piechoty morskiej. Podpłynął do brzegu i zauważył Johnsona.

— Znalazłem coś, Blake?

— Możliwa by tak powiedzie, panie prezydencie.

— Dobrze, za chwilę porozmawiamy. Weźmiesz prysznic, przebiorę się, spotkamy się na górze. Ale nie mam dużo czasu. Robota czeka.

Kiedy Blake Johnson wszedł do Gabinetu Owalnego, Henry Thornton układał stos dokumentów na biurku prezydenta.

— I jak poszło? — spytał szef kancelarii.

— Dowiedziałem się sporo, choć jeszcze nie wszystko. Thornton podniósł rękę.

— Niech pan nie mówi. Zaczekajmy na szefa.

Na te słowa wkroczył prezydent. Włosy miał jeszcze wilgotne, zjełone.

— No, Blake, dowiedzmy się najgorszego. Kiedy Johnson skończył, Thornton powiedział:

— Przynajmniej wiemy, że tajemnicza kobieta, o której mówił Dillon, istnieje.

— Co gorsza, wygląda na to, że to ona zabiła tych wszystkich ludzi — powiedział Cazalet. — Tylko dlaczego?

— Możliwa by to wyjaśnić chyba tylko zemsta osobista — powiedział Johnson.

— A ta dziewczyna, której nazwiska nie chce pan nam podać — spytał Thornton. — Nie mogła być bardziej pomocna?

— Już mówiłem, podała rysopis.

— I to jaki — zauważył Thornton. — Lat blisko siedemdziesiąt, siwe włosy, arystokratyczny akcent. Jakby należała do mietanki towarzyskiej. Ale w sumie i tak niewiele wiemy.

— A pańskie ledztwo?

— Niestety, kłapa — rzekł Thornton. Cazalet zamylił się.

— Blake, porozmawiaj proszę z generałem Fergusonem. Podaj mu najwięcej informacji. Masz jeszcze jakiś pomysł?

— Zastanawiam się, czy któryś z budynków w pobliżu zaułka, w którym zastrzelono tamtych dwóch, nie ma kamer wideo.

— Które mogły zarejestrować kobiety?

— No właściwie. Choćby z daleka.

— W porządku, sprawdź to, i myśli, że to dobry pomysł, by sprowadzić tu Dillona — powiedział Cazalet. — Mignęła mu ta tajemnicza kobieta w Wapping po zabójstwie Tima Pata Ryana.

— Tylko mignęła — podkreślił Johnson.

— Owszem, ale może dopasuje to do migawki z wideo. Nie mamy się czego uchwycić.

— Rzeczywiście nie bardzo, panie prezydencie.

— Przejdźmy do innych spraw. Pojutrze przyjdzie u Chada Luthra na Long Island. Poczciwy Chad jest naszym największym sponsorem. Będzie tam cały świat. Blake, musisz koniecznie przyjść. Weź helikopter.

— Pan wybaczy, panie prezydencie, ale wtedy będzie miał na głowie Dillona.

— To przyprowadź go ze sobą. Chyć go znów spotkam — Cazalet uśmiechnął się. — Ale teraz musisz już iść. Henry będzie zionął ogniem, zanim się połapi w swoich sprawach.

Thornton rozejmiał się ze zrozumieniem, Johnson wyszedł.

WIECZOREM w Londynie Johnson zadzwonił do generała i streścił mu to, co się ostatnio wydarzyło.

— Czyli została nam już jedynie nikła szansa, że jaka kamera na Park Avenue mogła ją zarejestrować? — upewnił się Ferguson.

— Pracuj nad tym. Prezydent uważa, że warto sprowadzić Dillona. On jako jedyny widział tę kobietę.

— Wyślę go najbliższym samolotem. Będzie w kontakcie. Ferguson odłożył słuchawkę, po czym zadzwonił do działu przewozów w Ministerstwie Obrony.

— Tu Ferguson. Kiedy jest najbliższy rejs do Waszyngtonu?

— Concorde jutro z rana, panie generale.

— Rzecz Jej Królewskiej Mości będzie chyba musiał za to zapłacić. Zróbcie

rezerwacji dla Dillona. Jeśli trzeba, to kogo wyrzuć.

Następnie zadzwonił do Stable Mews. Nikt nie podnosił słuchawki. Złapał natomiast Dillona przez komórkę. Głos Irlandczyka brzmiał wyraźnie, chociaż w tle słychać było gwar głosów i muzykę.

— Kto mi przeszkadza w ten wczesny wieczór? — spytał Dillon.

— Ja. Gdzie jesteś?

— U Mulligana.

Ferguson zawahał się, po czym podjął decyzję.

— Kusz mnie te ostrygi. Bądź tam za dwadzieścia minut.

Dillon siedział w barze na górnej antresoli w irlandzkiej restauracji Mulligana przy Cork Street, niedaleko hotelu Ritz. Zanim Ferguson wszedł po schodach i przecisnął się przez tłum, Dillon zamówił pół tuzina ostryg i popił butelkę szampana Cristal.

— Proszę, proszę. — Ferguson podniósł butelkę. — A dlaczego nie krug?

Zjawiała się młoda Irlandka.

— W czym problem? — spytała Dillona po irlandzku.

— Oto porządna dziewczyna z Cork, która mnie rozumie — powiedział Dillon generałowi i uśmiechnął się, odpowiadając jej równie po irlandzku. — Daj mu tuzin ostryg i kufel guinnessa.

Kelnerka uśmiechnęła się do Dillona i znikła w kuchni. Ferguson skomentował:

— Nie zrozumiałem ani słowa. Dostanę coś na zęb?

— Oczywiście. Wiadomo co chodzi?

— O wicie lecisz concorde'em do Waszyngtonu.

Dillon wciął się uśmiechał, ale jego szare oczy przybrały stalowy kolor.

— Proszę ją niej.

Czterdzieści minut później generał przełykał ostatni ostryg.

— Pycha! Tylko w irlandzkim barze umieją tak przyrzędzić ostrygi. I co ty na to, Dillon?

— Na temat rewelacji Blake'a? Wiedziałem, że to kobieta, bo ją widziałem. Opowieść tej dziewczyny potwierdza tylko, że to nie jakaś organizacja cigała Synów Erynu, tylko prywatna osoba kierująca się ciemną zemsty. Ale za co?

— Może tam coś znajdziesz — podsunął Ferguson.

— Nie traćmy nadziei. — Dillon nalał mu szampana. — Jedno mnie intryguje.

— Co takiego?

— My wiemy wszystko na temat Synów Erynu, a wywiad nic. Poza zestawem oczywistych faktów dotyczących Barry'ego. Biała karta. Ie mi to pachnie. Jakby dla Simona Cartera i spółki ze słub specjalnych „nic się nie stało”.

— Może i masz rację.

— Zawsze mam — rzekł Dillon.

JOHNSON siedział w swoim gabinecie w Piwnicy i myślał. W końcu nacisnął guzik, wezwał Alice Quarmby. Weszła, usiadła.

— Kiepsko ma pan minę.

— Przeciek w Białym Domu. Chyba możemy coś więcej zrobić.

— Nie bardzo pan wierzy w starania szefa kancelarii?

— Nie w tym rzecz. Czuj, że coś nam przecieka przez palce. Alice, posłuchaj, gdyby byłaś szefem, a wszystkich Synów Erynu by zabito, to zostałby ci tylko jeden człowiek — Jack Barry.

— Tak?

— Pamiętasz, jak wykryli my dwa lata temu Pattersona? Tamtego szpiega w Pentagonie?

Co jej za witało.

— Ma pan na myśli Synod?

— O to. Może spróbowalibyśmy przez Synod wykryć jakieś rozmowy. Wprowadź nazwisko Jacka Barry'ego. Może coś się znajdzie.

— Blake, Synod sprawdza miliony rozmów.

— Ale dowiemy się, skąd ta osoba dzwoni do Barry'ego. Spróbujmy, Alice. Nie mamy nic do stracenia.

TYMCZASEM Thornton zadzwonił do Barry'ego.

— Mam dalsze informacje. Blake Johnson znalazł w Nowym Jorku młodą kobietę, która zaserwowała nam nie lada opowieść.

— Słucham.

Kiedy Thornton skończył, Barry zasyczał:

— Stara wiedza ma, niech ją tylko dorwie.

— Nie podniecaj się tak. Nawet nie wiesz, kto to taki.

— Tak samo jak ty.

— Jak Johnson, prezydent i twój stary kumpel Dillon w Londynie. A tak

nawiasem mówi c, Dillon niebawem si tu zjawi, eby spróbowana rozpoznana t kobiet z ta m wideo.

— Ciekawe, sk d to wszystko wiesz.

— Ju mówiłem. Mam swoje ródła — odparł wymijaj co Thornton. — Pozwól, e b d pilnował swoich spraw. Ty pilnuj swoich.

— Dobra. To co z t kobiet ?

— Zostaw to mnie. Mo e co wymy l .

WIECZOREM Thornton zacz ł dosłownie katowa swój komputer. Przed wszystkim sprawdził dane CIA na temat paramilitarnych grup protestanckich lojalistów w Irlandii Północnej. Odszukał Jacka Barry'ego, a tak e wszystkich działaczy IRA i Sinn Fein od Gerry'ego Adamsa po Martina McGuinnessa.

Najwyra niej rozp tała si kampania, eby zetrze z powierzchni ziemi Synów Erynu. Lecz komu na tym zale ało? Pokiwał głow . Zemsta, ale z jakiego powodu? Zastanowił si i przyszło mu do głowy tylko jedno — kobieta, która mówiła o swoim synu zamordowanym trzy lata temu w Ulsterze.

Przejrzał dane komputerowe sprzed trzech lat w poszukiwaniu informacji wysłanych do Białego Domu przez wywiad brytyjski i wtedy sobie przypomniał. Jego pierwsza du a akcja. Tajna grupa w Ulsterze. W tamtych sielskich dniach rz d brytyjski namawiał swoich obywateli, eby przekazywali komplet informacji do Białego Domu. Taka informacja napłyn ła i tylko to przekazał Barry'emu. Postukał w klawisze komputera, wszystko si wy wietliło.

Jason, porucznik komandosów, zastrzelony w Londonderry. Archer, porucznik andarmerii, zgin ł od wybuchu bomby samochodowej w Omagh. Była te kobieta, porucznik, równie z Królewskiej andarmerii, zastrzelona na ulicy w Belfa cie. Młody kapitan piechoty wybrany dlatego, e jego matka pochodziła z Ulsteru.

Czyli został tylko jeden. Thornton zamy lił si nad tym, po czym sprawdził pi tego członka grupy, a zarazem jej dowódc . Major Peter Lang z Gwardii Szkockiej, agent słu b specjalnych, zgin ł w South Armagh w zamachu bombowym w samochodzie. Wyczuł, e trafił na wła ciwy trop. Zadzwonił na zakodowan komórk Barry'ego.

Barry udawał głupiego.

— Kto mówi?

— Opowiedz mi — odezwał si Thornton — o brytyjskiej grupie tajnych

agentów, których załatwiłem trzy lata temu.

— Ale o co chodzi?

— Pewna kobieta twierdzi, że zamordowała jej syna i jeszcze czworo jego kolegów, w tym kobiet. Właśnie nie sobie przypomniałem. Wysłałem ci taką informację w dawnych dobrych czasach, kiedy Anglicy jeszcze nam ufali.

— Teraz sobie przypominam — potwierdził Barry.

— A ten dowódca, major Peter Lang? Według naszych danych zginął od bomby samochodowej.

— Niezupełnie. Wyszadziłem jego samochód przy uciążliwym wielkim ładunku, żeby zmylić opozycję.

— Co zrobili ci?

— Był typowym angielskim arystokratą, twardym sukinsynem. Dorwałem go, jak wychodził z pubu w South Armagh. Wzięli my go w obroty. Chłopcy zostawili go w takim stanie, że trzeba go było przepuścić przez betoniarkę, którą znaleźliśmy przy autostradzie.

Sama myśl o tym była tak odrażająca, że nawet Thornton wziął głęboki oddech.

— I co takiego jest w tym facecie? — spytał Barry.

— Chyba coś mam. Zadzwoń później. I Thornton odłożył słuchawkę.

Wrócił do akt Petera Langa. Jego ojciec, sir Roger Lang, pułkownik w Gwardii Szkockiej. I dalej informacja, która zaparła mu dech w piersiach. Jego matka była lady Helen Lang, Amerykanka urodzona w Bostonie. Reszta szczegółów przemknęła przez komputerowy ekran. Jej przedsiabiorstwa, nieprzebrane bogactwo. Adresy w Londynie i Norfolk. A nawet wzmianka o jej szoferze, weteranie z Wietnamu.

Thornton siedział i patrzył w ekran. Wreszcie znalazł owe tajemnicze kobiety.

NAZAJUTRZ rano Barry wstał z łóżka w swojej kryjówce w hrabstwie Down i zaparzył sobie w kuchni herbaty. Przeglądał „Belfast Telegraph” z poprzedniego dnia, kiedy zadzwonił telefon.

— Milcz i słuchaj — powiedział Thornton. — Zabił majora Petera Langa. Jego matka jest lady Helen Lang. Chyba to ona rozmawiała z tobą, mówiła, że zabił jej syna. Wszystko się zgadza: czas, to samo pozostałe czwórki.

Barry wpadł w szal.

— Co za suka. To, co zrobiłem jej synowi, to jeszcze pestka w porównaniu z tym, co jej zrobił.

— Dobra, nie szalej. A co zrobisz?

— Gdzie j mo na dopa ?

— W Londynie i w Norfolk. Thornton podał mu adresy.

— Sprawdź , gdzie b dzie — odparł Barry. — Mam kumpli w Londynie, którzy si tym zajm . Podskocz tam i j załatwimy.

— Miło słysze .

— Słowo. Zostaw to mnie.

Thornton odło ył słuchawk i zamy lił si . Mimo wszystko, czuł si jako niepewnie.

MNIEJ wi cej w tym samym czasie, kiedy samolot Dillona l dował w Waszyngtonie, Thornton szukał w komputerze danych na temat Helen Lang. Zdumiała go wiadomo , e nazajutrz po południu miała rezerwacj na l dowanie swoim prywatnym golfstromem na lotnisku Westhampton na Long Island. Miała by go ciem na przyj ciu Chada Luthra. Znów usiadł do komputera, znalazł list go ci Luthra. Zadzwoił do Barry'ego.

— Jutro wieczorem lady Helen ma by na Long Island na przyj ciu u pewnego dzianego wa niaka, wi c nie szukaj jej w domu.

— Zaczekam — odparł Barry. — Nie przejmuj si . Ta kobieta to ju przeszło .

FERGUSON zadzwonił do Hanny Bernstein i wezwał j do siebie.

— Jak tam idzie zbieranie danych?

— Nadal szukam, panie generale. Nie rozumiem tylko, dlaczego mimo tylu informacji na temat Synów Erynu, nie mamy nic, co tłumaczyłoby prywatn zemst ze strony tej kobiety.

— Na czym stoimy, pani inspektor?

— Postaci kluczow jest tu Jack Barry, ale w sieci znalazłam tylko tło przest pstw. Nie ma adnych wzmianek na temat jego powi za z Synami Erynu.

— Jakie s pani wnioski?

— e ich nie ma, poniewa komu zale ało, eby je usun .

— Słu bom specjalnym?

— Obawiam si , e tak. Ferguson u miechn ł si .

— Naprawd jest pani znakomita. Ju najwy szy czas, eby awansowała pani na stanowisko nadinspektora. Musz porozmawia z głównym komisarzem Scotland

Yardu.

— Nie zależy mi tak bardzo na awansie, panie generale. I co robimy dalej?

— A co pani proponuje?

— Chyba powinien się pan zobaczyć z Simonem Carterem. I, jak powiedzieliby nasi koledzy Amerykanie, skopać mu tyłek.

— Na pewno mu się to nie spodoba, ale pewnie ma pani rację. Proszę do niego zadzwonić i umówić go na spotkanie z nami „Pod Szarym Lisem” w St James's za godzinę.

— Z nami?

— Nie miałbym pozbawić pani tej przyjemności, żeby przebiła go pani na wylot swoim obcasem, pani inspektor.

Hanna się uśmiechnęła.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

PUB „Pod Szarym Lisem” znajdował się w pobliżu Pałacu w. Jakuba. Było dwadzieścia po drugiej, pora obiadowa włączyła ciwie minęła. Lokal opustoszał. Ferguson i Hanna zajęli osobny stolik.

— Dla mnie drink z tonikiem, a dla pani?

— Mineralną, panie generale.

— Szkoda. Dla mnie duży drink.

Barmanka przyniosła napoje i niemal natychmiast pojawił się Simon Carter. Miał mokry płaszcz, strząsnął parasol.

— Co to, do pioruna, panie generale? Pani inspektor dosłownie mi groziła.

— Bo twierdził pan, że jest zbyt zajęty, aby tu przyjść — wyjaśniła Hanna.

Carter zdjął płaszcz, poprosił o whisky z wodą, usiadł.

— Szantażowała specjalnymi uprawnieniami od premiera. Tak się nie godzi, panie generale.

— Drogi Carterze, pan mnie nie lubi, a ja, gdyby się tak zastanowił, że za panem nie przepadam, ale to zbyt poważna sprawa, proszę zatem wysłuchać pani inspektora.

Hanna przedstawiła sprawę, opowiedziała o zastrzeleniu Tima Pata Ryana, o egzekucji na Synach Erynu, Jacku Barrym, o wiadczeniu Jean Wiley. Carter osłupiał.

— Jeszcze nie słyszałem takiego steku bzdur — powiedział słabym głosem.

Ferguson zwrócił się do Hanny.

— O której jeste my umówieni z panem premierem? Hanna skwapliwie skłamała.

— O pi tej, panie generale, ale nie ma dla nas zbyt du o czasu. Wieczorem musi by w parlamencie.

Ferguson zacz ł si zbiera , ale Carter go zatrzymał:

— Jedn chwileczk . Nie zaj kn łem si o tym słowem. Zawsze si tego wypr .

— Ma si rozumie . Carter łykn ł whisky.

— O pewnych sprawach nie mówili my panu, generale, bo **nie** ufali my panu, podobnie zreszt jak pan nam.

Ferguson skin ł na Hann , która powiedziała:

— Zna pan fakty. Jestem funkcjonariuszk policji szkolon do szukania odpowiedzi. Skoro jedna osoba załatwiła wszystkie ofiary, to musiała mie powód. Co le poszło, chyba pan wie co, i wymazał pan to ze wszystkich akt.

Carter nabrał powietrza.

— No dobrze. Kiedy rozpocz ł si proces pokojowy, kazano nam si zachowywa przyzwoicie wobec naszych ameryka skich krewniaków, przekazywa im wa ne informacje na temat wydarze w Irlandii. Z czasem zorientowali my si , e wiadomo ci przekazywane do Białego Domu trafiaj do r k IRA. Punktem kulminacyjnym była okrutna rze , której, jak si pó niej okazało, dopu cił si Jack Barry i jego banda. Skasowano ca ł grup tajnych agentów.

— Mianowicie?

— Pi ciososobow grup pod dowództwem majora Petera Langa. Poza nim było jeszcze trzech m czyzn i kobieta.

— Tak, pami tam okoliczno ci mierci Petera Langa — powiedział Ferguson z zadum . — Jego rodzice byli moimi przyjaciółmi. Zgin ł w samochodzie w takim wybuchu, e nie znaleziono nawet jego szcz tków.

— Nieprawda. Dowiedzieli my si pó niej przez swojego informatora, e Petera Langa torturowano, zamordowano, a nast pnie jego ciało przepuszczono przez betoniark .

— O Bo e! — wyrwało si Hannie.

— Dowiedzieli my si te z tego samego ródła o Synach Erynu, Jacku Barrym i jego ł czniku.

— I co zrobili cie z t informacj ?

— Proces pokojowy był w delikatnej fazie. Nie chcieliśmy go zakłócić .
— I dlatego nie powiedzieliście premierowi?
— Gdybyśmy powiedzieli, pan, panie generale, by się o tym dowiedział, a także Blake Johnson, Piwnica, prezydent USA i Bóg wie kto jeszcze. Uznaliśmy, że lepiej to przemilczeć .

JACK HIGGINS

— Niech zgadnąć — odezwała się Hanna. — Zdecydowaliście się na dezinformację pełną zgarściami typowych, nieistotnych bzdur publikowanych w co lepszych gazetach.

— Co w tym rodzaju — powiedział z ociąganiem Carter.

— Rozumiem. — Ferguson wstał. — Dziękujemy za pomoc.

— Przecież w niczym nie pomogłem. — Carter z trudem wbił się w prochowiec. Wziął parasol. — To już wszystko?

— Tak się dzieje. Carter wyszedł.

— I co pan na to? — spytała Hanna.

— To proste. Moim zdaniem, Tima Pata Ryana, Brady'ego, Kelly'ego, Cassidy'ego oraz niesławego senatora Cohana zabiła moja stara, kochana przyjaciółka, lady Helen Lang.

Rozdział dziewięć

W GABINECIE Blake'a Johnsona w Piwnicy Dillon pił herbatę i jadł kanapkę z serem podaną przez Alice Quarmby.

— Wspaniale wyglądasz, mój irlandzki przyjacielu — przywitał go Johnson.

— Podróżę concorde'em to czysta przyjemność. Szczególnie, kiedy płaci ktoś inny. No dobrze, ale po co mnie wezwałeś?

— Harry Parker sprawdza nagrania z kamery wideo zrobione w domu naprzeciwko rezydencji Cohana. Może uchwycił tę kobietę i może ją poznasz.

— Może rozpoznaję z Wapping, ale to nie znaczy, że byś wiedział, kto to jest.

— Nic innego nie mamy. Zajrzała Alice Quarmby.

— Harry Parker na linii. Johnson podniósł słuchawkę.

— Harry? I jak tam?

— Hej, Blake. Sprawdziłem wszystkie nagrania wideo. W okolicy są tylko trzy kamery. Wszystkie zapisy zniszczono. Nic nie mamy.

— Szkoda — powiedział Johnson. — Ale dzięki, Harry. Gdyby coś wymyślił, daj znać. Być może w kontakcie.

I odłożył słuchawkę.

— Kolejny lepy zaułek? — spytał Dillon.

— Niestety, tak.

— Czyli przeleciałem się za darmo concorde'em bez powodu?

— Na to wyglądasz. Wybacz, Sean, ale skoro już jesteś, to może się rozerwij. Bardzo wany zwolennik prezydenta, niejaki Chad Luther, wydaje dziś wieczorem bal nad balami na Long Island. Być może wszystkie licznice się osobistości.

— I te nie licznice się oczywiście — dodał Dillon.

— Niestety, nie mylisz się, drogi przyjacielu. Przez to słuchobom bezpieczeństwo głowy puchnie. — Johnson podniósł teczkę. — Sam musiałem dopilnować listy gości. Prezydent przyleci tu swoim golfstromem. Ochroniarze będą dowozić go do

specjalnym helikopterem. Może i my się na niego załapiemy.

— Czuj się zaszczycony.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła Alice.

— Wie jej kawy?

— Nie. Dziękujemy. A to... o czym rozmawialiśmy wcześniej?

— Wciąż sprawdzamy. Wyszła.

— Sprawdzacie? — spytał Dillon. Johnson zawahał się, a potem powiedział:

— Przez specjalny program komputerowy zwany Synodem, który rejestruje tysiące rozmów, miliony słów. Jak się wpisze nazwisko, komputer odszuka ci na jego temat wszystkie dane. A potem można przesłuchać wstecz wszystkie ważne rozmowy.

— I kogo tak sprawdzacie?

— Jacka Barry'ego.

— Chodzi wam o Łącznika? — Tak.

— Nauka, postęp... — mruknął Dillon. — Tacy ludzie jak ty i ja to już prawie przeytek.

Zadzwonił telefon, Johnson podniósł słuchawkę.

— Panie generale, to pan? — Urwał. — Oczywiście, jest tutaj. — Wyciągnął słuchawkę. — Generał Ferguson do pana.

— Słuchani, panie generale? — odezwał się Dillon.

— Mam dla ciebie zaskakujące wieści. Słuchaj uważnie. Po chwili Dillon wolno odłożył słuchawkę.

— Co złego? — spytał Johnson.

— Właśnie mi powiedział, kto, jego zdaniem, jest tą tajemniczą kobietą.

Johnson zwrócenia usiadł.

— No mów, na miłość boską — zażądał. Po czym Dillon powiedział. Johnson pokręcił głową.

— Poznałem ją. To wielka dama. Wiedziałem, że jej syn zginął w Ulsterze, ale nie wiedziałem, jak to się stało.

— To by wiele wyjaśniało. — Dillon zapalił papierosa. — Już na pogrzebie coś w niej wyczuwałem. Nie zrozum mnie źle. Lubiłem ją, ale czułem się przy niej nieswojo.

— Wiem naprawdę wierzysz w ten horror?

— Raczej tak. — Dillon rbnął pić w biurko. — Do diabła, Jack Barry...

Niech go szlag trafi.

— Lady Helen Lang... — Johnson zmarszczył czoło. — Chwileczk . — Podniósł list go ci na przyj cie, przejechał palcem. — Tak my lałem. B dzie dzi u Chada Luthra na przyj ciu. Musz uprzedzi prezydenta. — Podniósł telefon, zadzwonił do Gabinetu Ovalnego. — Tu Blake Johnson. Chciałbym mówi z prezydentem.

Pokiwał głow .

— Rozumiem. — Odło ył słuchawk . — Ju wyjechał na Long Island. — Zastanowił si . — Mo e to i lepiej. Powiem mu na miejscu.

W drzwiach stan ła rozpromieniona Alice.

— Ten Synod jest nieoceniony, ale chyba si panu nie spodoba. Wyrzucił rozmowy z Jackiem Barrym sprzed kilku dni. Zapraszam do sali przesłucha .

SIEDZIELI W małym pomieszczeniu, w którym kr ciły si wielkie szpule, i słuchali ostatniej rozmowy Barry'ego z Ł cznikiem:

„Jutro wieczorem lady Helen ma by na Long Island na przyj ciu u pewnego dzianego wa niaka, wi c nie szukaj jej w domu.

— Zaczekam. Nie przejmuj si . Ta kobieta to ju przeszło ". Komputer si wył czył. Alice zadumała si :

— Kto by pomy lał?

— Wiesz, kto to jest? — spytał Dillon.

— Owszem. — Johnson westchn ł. — Wsz dzie poznałbym ten głos. To szef kancelarii prezydenta, Henry Thornton. — Zwrócił si do Alice. — Sprawdź jego dane. Mam kilka spraw do załatwienia, ale zarezerwuj Dillonowi i mnie miejsca w helikopterze na Long Island za dwie godziny.

— Zaraz si tym zajm .

BYŁO tu po pi tej, gdy golfstrom lady Helen wyl dował w Westhampton na Long Island. Ona i Hedley zostali gładko przepuszczeni przez granic . Przebrała si jeszcze w samolocie. Miała teraz na sobie obcisł sukni i czarny jedwabny akiet. Hedley był w szarym uniformie.

— Koktajle s o szóstej — powiedziała. — Limuzyna gotowa?

— Jak najbardziej.

— Powiedz kapitanowi Frankowi, e chciałabym wylecie st d do Anglii najpó niej o dziesi tej.

Hedley wyszedł, zostawiwszy j w sali przylotów dla prywatnych osobisto ci.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Barry'ego. Gdy ten się odezwał, usłyszała w słuchawce głos:

— Dzień dobry, panie Barry. To ja.

— Wiem, kim jesteś, dziuro. Nawet wiem, gdzie teraz jesteś ... na Long Island.

— Nie do wiary, jak pan jest dobrze poinformowany.

— Chęć za tobą nadąży, lady Helen. Znam pani adres w Londynie, adres w Norfolk. To, co zrobiłem z twoim synem, to pestka w porównaniu z tym, co zrobię z tobą.

— Przepracowuje się pan, panie Barry. Może to panu zaszkodzi na serce — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

OKAZAŁA rezydencja Chada Luthra była jego radością i dumą. Trawiaste zbocze prowadziło nad zatokę, w której znajdowała się przystań dla jachtu właściciela i licznych motorówek. Zapadł aksamitny zmrok, w oknach zapłonęły światła, muzyka niosła się hucząc nad ocean. Zjawili się wszyscy liczni członkowie socjety, a także garstka nie liczących się, jak zgrybiwie zauważył Dillon.

Luther, nad wyraz elegancki w granatowym aksamitnym smokingu, przywitał prezydenta i Henry'ego Thorntona.

— To dla mnie wielki zaszczyt, panie prezydencie.

— Ciesz się, że tu jestem, Chad.

— Przygotowałem dla pana apartament na parterze. — Luther zaprowadził tam prezydenta i Thorntona. Za nimi szli ochroniarze. Salon był uroczy, olbrzymie francuskie okna wychodziły na morze.

Prezydent skierował kroki na taras.

— Pięknie tu.

— Spotkamy się na przyjęciu, panie prezydencie.

MNIEJ więcej w tym samym czasie Helen Lang zajeżdżała pod rezydencję lincolnem prowadzoną przez Hedleya. Wsiadła, wygładziła suknię i stała tak, z torebką w ręce.

— Dobrze wyglądam?

— Jak zawsze, proszę pani.

— Zatem do zobaczenia później...

Weszła po schodach. W otwartych drzwiach stało dwóch agentów ze słuchawkami.

specjalnych.

— Zaproszenie, madame?

Otworzyła torebkę, żeby je wyjść, i a zamarła, bo wymacała pistolet. Bo e, co z niej za idiotka! Sądziła, że uda jej się przeszmyglować pistolet? Znieruchomiała z ręką w torebce, zdawało się, że na wieczność, lecz wtem Chad Luther wyprysnął z tłumu.

— Dajcie spokój! Ta dama nie musi pokazywać zaproszenia. Witaj, kochanie.

— Pocałował ją w policzek. — Cudownie wyglądasz. Posadziłem cię u szczytu stołu między sobą a prezydentem.

— Zawsze był kochany. Chad.

— Wobec ciebie przychodzi mi to bez trudu. A teraz chodź, chciałbym ci kogo przedstawić.

I gospodarz wprowadził ją do rodka.

Dillon i Blake Johnson przyszli nieco później, przecisnęli się przez tłum, ale prezydent był już oblany.

— Teraz nie zdołasz się do niego dostać — powiedział Dillon.

— Mam czas — odparł Johnson. — Muszę coś załatwić. Miej oko na naszych głównych bohaterów dramatu.

I wyszedł. Dillon wziął kieliszek szampana od kelnera, po czym wyszedł na taras, gdzie było tylko kilka osób. Stał przy balustradzie. Do schodków podeszła lady Helen Lang. Uśmiechnęła się do niego.

— To pan, panie Dillon. Co pana tutaj sprowadza?

— Niewykluczone, że to samo, co pani — zaryzykował. — Lady Helen, chyba mamy coś wspólnego. Co nas łączy z Białym Domem.

Nawet powieka jej nie drgnęła. Rzuciła tylko jedno słowo.

— Ciekawe.

— Ale już po wszystkim — powiedział. — Nie wiem, co pani zamierza, ale już po wszystkim...

Ona jednak przerwała mu z uśmiechem.

— Myli się pan, drogi przyjacielu. Nigdy nie jest po wszystkim, dopóki ja tak nie zdecyduję.

Po czym obróciła się na pięcie i odeszła.

CHAD Luther zdołał odciągnąć Jake'a Cazaleta od otaczającego go tłumu.

— Pa stwo wybacz . Prezydent musi cho troch odetchn przed kolacj .

— Dzi ki ci, Chad — podzi kował Cazalet w drodze do salonu.

— Tu jest łazienka, panie prezydencie, a gdyby miał si pan ochot napi , tutaj jest wszystko. — I Luther otworzył tafl w cianie, odsłaniaj c imponuj cy barek z lustrem.

— Chad, jak zwykle jeste znakomitym gospodarzem.

— Teraz pana zostawi .

Luther wyszedł, a Clancy Smith z tajnych słu b wszedł do gabinetu i dokonał szybkiej inspekcji.

— Clancy, jeste jak pies go czy, nie przestajesz w szy — skomentował Cazalet.

— Za to mi płac , panie prezydencie. B d na zewn trz. Wyszedł na korytarz i zamkn ł drzwi.

Cazalet wyj ł paczk papierosów. Cholera, człowiek ma prawo chocia do jednej słabostki. Otworzył przeszklone drzwi na taras.

Nad zatok niemal okr on dwoma cyplami wisiał półksi yc. Nad wod znajdowała si przysta wio larska i drewniany pomost, do którego przycumowano wiele okazałych łodzi motorowych.

Przepi kny widok. Wci gn ł powietrze w płuca i raptem usłyszał pytanie zadane aksamitnym głosem:

— Czy mogłabym pana prosi o ogie ?

Odwrócił si . Z zaro li u podnó a schodów wyłoniła si Helen Lang.

— Jak najbardziej.

Zszedł po schodach. Błysn ł płomie . Przytrzymała go za r k .

— O, to rzadko . Staro wiecka zapalniczka Lee Engielda.

— Pami tka z Wietnamu, a sk d pani wie, e to Lee Engielda?

— Mój m był pułkownikiem w wojsku brytyjskim. Miał tak sam . Pan mnie zapewne nie pami ta. Tylko raz mieli my przyjemno si widzie . Na przyj ciu w Bostonie. Jestem lady Helen Lang.

U miechn ł si serdecznie.

— Ale pami tam. W Bostonie mój ojciec robił interesy z pani ojcem. Wyszła pani, o ile pami tam, za angielskiego baroneta.

— Za sir Rogera Langa.

— Jesl tu dzi z pani ?

— Nie. Zmarł dwa i pół roku temu. Nasz jedyny syn zginął podczas pełnienia służby w Irlandii Północnej, a mój był stary i schorowany. Nie przeżył tego wstrząsu.

— Niezmiernie mi przykro.

Ujął ją za rękę, a ona już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— Pani wybaczy — przeprosił i wszedł po schodkach. Już z tarasu obejrzał się, ale ona znikła bez śladu.

DILLON i Blake Johnson stali w kącie zatłoczonej sali balowej, kiedy odezwała się komórka Johnsona. Dzwoniła Alice Quarmby.

— Sprawdziłam Thorntona, szefie, tak jak pan prosił. Znalazłam coś takiego, ehej. Proszę posłuchać.

Czytała ładnych kilka minut. Johnson wysłuchał z kamienną twarzą. W końcu powiedział:

— Dziękuj, Alice, jesteście aniołami.

— Co waśnego? — spytał Dillon.

— W pewnym sensie. Thornton jest tym, którego szukamy, i teraz już wiem, dlaczego. Pójdźcie z wyjątkiem. A teraz lepiej poszukajmy prezydenta.

— Chyba go tu nie ma.

— Ale jest Luther. Będzie wiedział, gdzie znajduje się prezydent — powiedział Johnson.

Luthra zastali w drugim końcu sali zajętego rozmową z Henrym Thorntonem. Obaj się za siebie miewali, z kieliszkami szampana w ręce.

— A panowie, co? Nie pij? — przygadał im Luther.

— Słuchała nie drabka, Chad — zbył go Johnson. — To mój kolega z Londynu, Dillon. Pan prezydent chciał się z nim widzieć.

— Teraz odpoczywa.

Szef kancelarii Białego Domu wyciągnął rękę.

— Bardzo mi miło, panie Dillon. Wiele o panu słyszałem.

— Miło mi.

Thornton odstawił kieliszek i zwrócił się do Luthra:

— Wiem, gdzie jest apartament prezydenta. Zaprowadz ich. Teraz, panowie.

Przebił się przez tłum i poprowadził na korytarz. Na krześle pod drzwiami

siedział Clancy Smith.

Szef kancelarii zapukał, otworzył, wszedł pierwszy do rodka. Cazalet stał na tarasie.

— Co nie tak, panie prezydencie? — spytał Thornton.

— Nie, nie, tylko rozmawiałem właśnie z absolutnie wyjątkowymi kobietami, ale chyba rozplynęła się w powietrzu. — Uśmiechnął się. — O, jest pan Dillon. — Prezydent klasnął w ręce. — Bardzo mi miło.

— Chyba nie tym razem. Wolałby pan chyba zabić postać, niż wysłuchać tego, co Blake i ja mamy do powiedzenia.

— A tak le? — Cazalet oparł się o balustradę. — W takim razie lepiej zapalić. — Wyjął Marlboro, Dillon podał mu ogień. — Słucham, panowie, co za straszne wieści?

Helen Lang, ukryta w dole w zaroślach, słuchała.

— Wie pan o Synach Erynu, panie prezydencie, tak samo jak ja. Zawsze uważałem, że zabójca był jeden. I że musiał mieć bardzo konkretny powód.

Cazalet pokiwał głową.

— Zemsta za coś strasznego.

— A teraz wiemy już, o co chodziło. — Johnson zwrócił się do Dillona. — Sean?

— Całymi latami Łącznik w Białym Domu przekazywał informacje uzyskane od wywiadu brytyjskiego Synom Erynu i Jackowi Barry'emu. Z powodu tych informacji trzy lata temu członkowie tajnego oddziału wojsk brytyjskich zginęli z rąk Jacka Barry'ego i jego ludzi. Dowódcą jednostki był major Peter Lang. Torturowano go, zamordowano, a następnie przepuszczono przez betoniarkę.

— A ja właśnie rozmawiałem tutaj z lady Helen Lang — powiedział Cazalet z osłupieniem. — Powiedziała mi, że jej syn zginął w Irlandii.

— Zgadza się — powiedział Dillon. — To matka Petera Langa.

— I to właśnie ona zabiła Synów Erynu — dopowiedział Johnson. Zdumienie odmalowało się na twarzy prezydenta.

— Nie do wiary! — wykrzyknął Thornton. — Ta starsza dama? Co podobnego!

— Niestety, nie ma co do tego żadnych wątpliwości — potwierdził Johnson.

— Ale skoro to prawda, dlaczego jej nie aresztowano?

— Niestety, nie ma dowodów, panie prezydencie. Zresztą najlepiej byłoby załatwić całą sprawę po cichu. I jeszcze coś. Jest w to wmieszany pewien Łącznik —

czyli zdrajca w Białym Domu.

Na to odezwał się szef kancelarii:

— Tak, ale nikt nie wie. kto to.

— Owszem, wiemy — rzeki Dillon. — Wiemy, że pańskie dochodzenie niczego nie wykryło, panie Thornton, dlatego Blake podjął własne.

Johnson wyjął z kieszeni mały magnetofon.

— Zleciłem programowi Synod monitorowanie telefonów między Białym Domem a osobnikiem nazwiskiem Jack Barry.

— I udało się? — spytał Cazalet.

— Komputer wychwycił wiele takich rozmów, panie prezydencie, ale jedna wystarczy.

Położył magnetofon na balustradzie i włączył. Rozległ się czyisty głos.

„Jutro wieczorem lady Helen ma być na Long Island na przyjęciu u pewnego dzianego waniaka, więc nie szukaj jej w domu.

— Zaczekam. Nie przejmuj się. Ta kobieta to już przeszłość.”

Johnson wyłączył magnetofon, a Cazalet zwrócił się z przerażeniem do swojego szefa kancelarii:

— Henry, na Boga, to przecie twój głos!

THORNTON jak gdyby oklapł, a potem oparł się o balustradę. Zwiesił głowę. Łapał tylko powietrze, a kiedy podniósł wzrok, oczy mu błyszczały.

— Co to znaczy, Henry! Dlaczego? — pytał Jake Cazalet.

— Proszę pozwolić, że ja wyjaśnię — powiedział Johnson, zwracając się następnie do Thorntona. — Twoja matka miała przyrodniego brata urodzonego w Dublinie. Służył jako ochotnik w powstaniu wielkanocnym w tysiąc dziewięćset szesnastym. Zginął z ręk Anglików.

— Zastrzelili go jak psa — rzucił z pasją Thornton. — Dostał siedem kul. Matka nigdy nie zapomniała i ja nie zapomniałem.

— A kiedy była w Harvardzie, zakochała się w Rosaleen Fitzgerald z Irlandii Północnej. Zginęła w strzelaninie ulicznej w Belfastie.

— Zamordowana — dodał Thornton. — Przez brytyjskich żołnierzy. Sukinsyny! Dillon wtrącił swoje.

— A po latach znalazła się jako szef kancelarii w Białym Domu. I wówczas od wywiadu brytyjskiego zaczęły napływać takie informacje. Miała okazję się

zem ci .

— Jak si wci gn ła do grupy Synów Erynu? — spytał Johnson.

— Przez Cohana. Zaprosił mnie na bal dobroczynny na rzecz Sinn Fein. Był pijany. Zacz ła papla ła o snobistycznym klubie i o pomocy dla tej wspaniałej sprawy.

— A jak si zetkn ła z Barrym?

— Zjawił si w Nowym Jorku we wczesnej fazie procesu pokojowego. Zatrzymał si w Mayfair. To proste. Zaproponowałem mu informacj anonimowo jako tajemniczy głos przez telefon.

— I tak si zacz ła czas zapłaty. Thornton si u miechn ła.

— I kto by pomy łał? Taka kobieta? Istny obł d! Cazalet odwrócił si do Johnsona.

— Piekelnie to pogmatwane. Jak z tego wybrniemy?

W tym momencie Thornton poło ył r k na balustradzie i przeskoczył. Wyl dował na czworakach, zerwał si i pu cił biegiem, nie wiadom, e Helen Lang ukryta obok pod osłon zaro li słyszała wszystko.

— Henry, nigdzie nie uciekniesz! — zawołał za nim Cazalet. Po czym zbiegł razem z Johnsonem i Dillonem po schodach.

Clancy Smith, zwabiony krzykami, otworzył drzwi do salonu i wbiegł.

— Panie prezydencie?

— Obstawiaj mnie, Clancy! — zawołał Cazalet. Smith rzucił si za prezydentem, ogłaszaj c alarm dla wszystkich ochroniarzy.

KLUCZ C w ród sosen z jednej strony trawnika, Thornton ukl kł na chwil i wymacał za pasem smitha and wessona, którego zatkn ła tam wcze niej. Tego wieczoru szykował go na Helen Lang, ale los zdecydował inaczej. Thornton wpadł w popłoch. Ochroniarze przeczesywali ogród, alarmuj c go ci, i tak ju zaniepokojonych wcze niejszymi krzykami.

Biegł pochylony w stron pomostu, wskoczył na motorówk . Kiedy zacz ła odcumowywa , usłyszał czyj głos.

— Panie Thornton!

Zatrzymał si . odwrócił, z pistoletem w dłoni. Kobieta wprawdzie była ledwo widoczna w zapadaj cym zmroku, ale natychmiast j poznał.

— Panie Thornton, chyba pan wie, co si stało z moim synem. I otó nadszedł czas zapłaty.

Thornton wycelował smitha and wessona.

Helen Lang sięgnęła po kolta.

Hedley, który przez cały wieczór osłaniał lady Helen, przesadził! barierkę na rufie motorówki, stanął za Thorntonem, ale po lizgnięciu się na mokrym pokładzie. Thornton odwrócił się, celując w napastnika. I wtedy Helen zabiła szefa kancelarii Białego Domu jednym strzałem w tył głowy. Thornton osunął się na kolana i wpadł do wody.

Hedley wstał.

— Proszę poczekać na mnie na parkingu. Sam to załatwię. Niech już pani idzie. Odwróciła się i po chwili spiesznie oddalała.

Hedley wcześniej przestudiował plan rezydencji Chada Luthra dostarczony przez londyńskie biuro lady Helen, toteż wiedział, że przy wejściu do zatoki znajduje się rafa, którą można pokonać jedynie podczas przyływu. A teraz był odpływ. Wcisnął ciało Thorntona na tylny pokład i zapalił silnik. Kiedy ten się rozgrzał, Hedley zeskoczył na pomost, a motorówka ruszyła sama przed siebie. Gdy uderzyła w rafę przy wejściu do zatoki, siła wybuchu była tak duża, że motorówka stanęła w płomieniach jak ognista kula.

Rozległy się krzyki przerażonych gości w ogrodzie i nawoływania ochroniarzy. Hedley czmychnął w krzaki, na miejscu zjawił się niebawem prezydent z Johnsonem i Dillonem.

— O Boże! — zawołał Cazalet, widząc słup ognia.

Hedley umknął pomiędzy sosny, a po chwili usłyszał krzyk lady Helen.

— Puść mnie!

— Muszę sprawdzić pani torebki.

Clancy Smith trzymał ją za prawą rękę w przegubie. Na to zbliżył się Hedley, złapał Clancy'ego za przedramię i odciągnął.

— Zostaw ją, kole.

— Słuchajcie! bezpieczeństwo, urząd ochrony prezydenta — wyrecytował Clancy. — Wypełniam swoje obowiązki.

Clancy, weteran wojny w Zatoce Perskiej, miał nosa. Migiem wyszarpnął beretta z kabury. Ale dla Hedleya ten gest był równie powolny, jak kołysanie się trawy na wietrze. Wystarczył jeden błyskawiczny ruch lewą ręką, żeby odciął lufę beretty z tłumikiem. Wypaliła ze stłumionym kaszlnięciem.

Hedley wykręcił Clancy'emu rękę.

— A teraz rzu .

Clancy Smith był odważnym mężczyzną, ale Murzyn miał straszliwą siłę. Beretta upadła. Hedley obrócił Clancy'ego, znalazł kajdanki ochroniarza i zakuł mu ręce. Clancy padł na twarz.

— Nie bierz tego do siebie, chłopie. Zabiłem więcej ludzi w Wietnamie, niż byś zliczył. — Hedley zwrócił się do Helen. — Idziemy.

I oboje ruszyli wawościek .

Po chwili Clancy'ego znalazło dwóch kolegów.

HEDLEY doprowadził lady Helen do limuzyny, usiadł za kółkiem i odjechał.

— Dobrze się pani czuje?

Lady Helen chwyciła powietrze.

— Dobrze, Hedley. A teraz na lotnisko. Tylko uprzedź ich telefonicznie. Niech będą gotowi do natychmiastowego odlotu do Londynu.

Zadzwoił, nie zwlekając, po czym odłożył słuchawkę .

— I o co ten cały raban? Co to za facet?

— To był Łącznik, który działał w złej sprawie. Niejaki Henry Thornton, szef kancelarii Białego Domu.

— Bo e! — Pokręcił głową . — Nie do wiary.

— I chciałam ci powiedzieć coś jeszcze. Oni już wiedzą o mnie. Prezydent. Blake Johnson, Dillon, Ferguson. To koniec.

Hedley zmartwił.

— I co pani teraz zrobi?

— Wracamy do Compton Place. Tam się zastanowi . — Zapaliła papierosa. — Jedź, Hedley, jedź .

Wyjęła zakodowaną komórkę i zadzwoniła do Barry'ego.

— To znowu ja — powiedziała. — Chcę, żeby pan był na bieżąco. Pańskim łącznikiem okazał się niejaki Thornton, szef kancelarii Białego Domu. Dzisiaj na przyjęciu z prezydentem doszło do konfrontacji. Tak się składa, że wszystko słyszałam. No więc posłałam mu kulki w tył głowy. Poszedł z dymem w niemałym wybuchu. Co to panu przypomina?

Nastąpiło długie milczenie.

— No tak — skwitował Barry. — Czyli zostało tylko nas dwoje. Gdzie pani teraz jest?

— Wci na Long Island. Ale zaraz jad na Gatwick, a stamt d do domu w Norfolku.

— Do Compton Place. Wiem.

— Czyli mog si spodziewa wizyty?

— Ma to pani jak w banku. Przylec na skrzydłach.

— Niezmiernie si ciesz .

Odło yła komórk , a Hedley skomentował.

— Sama si pani o to prosi, lady Helen. Inni te mog tam pani szuka .
Chocia by generał Ferguson.

— Nic mnie to nie obchodzi, Hedley, byle Barry odnalazł mnie pierwszy. A teraz daj mi piersiówk . — Wr czył jej niech tnie. Wysypała kilka pastylek na r k , połkn ła, popijaj c whisky.

— Dobrze. A teraz na lotnisko.

STALI na tarasie. Clancy powiedział prezydentowi, Johnsonowi i Dillonowi, co si stało.

— Był pot ny, czarnoskóry, twierdził, e walczył w Wietnamie — upewnił si Johnson.

— Zgadza si — potwierdził ochroniarz.

— To musiał by Hedley Jackson — zwrócił si Dillon do prezydenta. —
Powiedziałbym, e to nasz ostateczny dowód.

— Dogodny przypadek.

— Skoro pan tak twierdzi, panie prezydencie — rzekł Dillon.

— Ale pan nie wierzy w przypadki?

— Nigdy nie wierzyłem, panie prezydencie. — Dillon u miechn ła si ciepło. —
A ju na pewno nie wobec tej damy.

Rozdział dziesiąty

NIEDŁUGO po telefonie Helen Lang do Barry'ego Dillon zadzwonił do Fergusona na Cavendish Square.

— Co za historia — powiedział generał. — Szef kancelarii? Kto by pomyślał?

— Teraz to już nieważne — rzekł szorstko Dillon. — Już po chłopie, ale mi go nie żal. Miał wielu ludzi na sumieniu, a w przypadku Petera Langa doprawdy coś obrzydliwego.

— Gdzie jest lady Helen Lang?

— Johnson sprawdza. Dam panu znać. Na pewno nie tutaj. Ferguson odłożył słuchawkę, po czym zastanowił się i zadzwonił do Hanny Bernstein.

— To ja — powiedział. — Przepraszam, pani inspektor, że pani tak wcześnie nie zrywam.

— Ale to oczywiste, panie generale.

— Chodzi o taką sprawę. Wczoraj dzwonił do mnie główny komisarz Scotland Yardu. Jest pani teraz nadinspektorem, dyrektorem wydziału specjalnego.

— Co takiego — zdziwiła się Hanna. — Chłopcom się to nie spodoba.

— Bardzo brutalny — powiedział Ferguson. — O ile mi wiadomo, zabiła pani cztery razy na słubie.

— Wcale się tym nie szczycę, panie generale.

— Niech pani nie gryzie sumienie, pani nadinspektor. Wszyscy ci ludzie zasługiwali na śmierć. Sama pani też dostała kulki. Rozpiera mnie dumą, że pracuje pani dla mnie. A teraz będziemy czekać wspólnie na kolejne złe wieści od Dillona. Dam pani znać, kiedy będziemy na miejscu.

BLAKE Johnson wszedł do salonu, w którym Dillon rozmawiał z prezydentem przy kominku. Cazalet odwrócił się.

— I co?

— Pyta pan o lady Helen Lang, panie prezydencie? Tak. Przyleciała tu golfstromem swojej firmy. Odleciała tu przed dziesięć dni. W kierunku Gatwick. — Johnson zawahał się. — Co pan zamierza?

— W sprawie lady Helen? — Cazalet się zamyślił. — Jeśli to się wyda, może nadwerżymy cały proces pokojowy. Trzeba podejść do sprawy rozsądnie. Może na uznanie śmierci Thorntona za nieszczęśliwy wypadek. Zabójstwa Brady'ego, Kelly'ego, Cassidy'ego i Tima Patara Ryana dało się jako zatuszować. Co za do Cohana... — Cazalet wzruszył ramionami. — Nie uroni nawet łzy nad tym łajdakiem. No więc za duży wypiół i spadł z tarasu swojego apartamentu.

— Czyli nic się w ogóle nie stało, panie prezydencie? — upewnił się Johnson.

— Blake, to nie przelewki, i to nie tylko dla Białego Domu, ale i dla Downing Street. Taka afera...

— Tonie cały statek — mruknął pod nosem Johnson.

— No i został jeszcze Jack Barry. — Dillon zapalił papierosa. — Ostatni Mohikanin. Gdyby i on poszedł na dno...

— Nie bójcie się żadnych dowodów, że coś takiego w ogóle miało miejsce — wtrącił Johnson.

Cazalet pomilczał, a potem powiedział:

— Pozostaje jeszcze lady Helen. Z tego, co nam wiadomo, zabiła sześć ludzi.

— Czyli pańskim zdaniem — odparł Dillon — musi zapłacić za wyrzucenie z tego łez padołu zgrai skończonych łotrów, winnych śmierci wielu osób, w tym jej syna?

— Złamała prawo w najgorszy możliwy sposób — stwierdził z pewnością Cazalet.

— Ale teraz opuściła jurysdykcję — przypomniał mu Johnson.

— Jednak nadal spoczywa na mnie czarna odpowiedzialność. — Cazalet się zawahał. — Dobrze, proszę mnie połączyć z generałem Fergusonem.

Już po chwili Ferguson odbierał telefon od prezydenta.

— Czyli nic się nie zdarzyło, panie prezydencie — skwitował generał, kiedy Jake Cazalet przekazał mu najważniejsze wieści. — No dobrze, to się da zrobić. Ale co z lady Helen?

— Wymyślę coś. Wyjdę w trybie pilnym Dillona i Blake'a do Londynu. Polecę moim samolotem.

KILKA godzin później do mieszkania na Cavendish Square znów zadzwonił ktoś

zza oceanu.

— Kto mówi? — spytała Hanna Bernstein.

— Lady Helen Lang. My my się poznały. Bardzo miła z pani policjantka.

Hanna nacisnęła guzik nagle i zamachała rozpaczliwie do Fergusona.

— Jesteś tam, Charles? — spytała lady Helen.

— Jesteś, moja kochana — włączyła się Ferguson.

— Charles, posłuchaj. Wszyscy zapłacili już swój cen. Szef kancelarii był tylko premi. Nie wiedziałam, że to Łącznik. Usiłował mnie drażnić, zastrzelił, musiałam więc uprzedzić go. Mniejsza zresztą o to. Ten twój Dillon okazał się bardzo uprzejmy. Powiedział mi, że już po wszystkim. Chciał mi to pomóc. Szarmancki z niego męczyzna.

— Helen, powiedz mi jedno. Jak poznała prawdę o śmierci Petera i udziale w tym Synów Erynu?

— Od biednego Tony'ego Emswortha. Zabrało go poczucie winy, umierał na raka. Miał nielegalnie kopiować akta służb specjalnych i wszystko mi opowiedział. Przekazał mi je tu przed śmiercią.

— Rozumiem. I co teraz?

— Wracam do Compton Place. Czekam tam na gościa. Na pana Jacka Barry'ego i jego kolegów. Nie mógł odrzucić mojego zaproszenia. Obiecał przylecieć na skrzydłach.

Ferguson oniemiał.

— Helen, nie mówisz.

— Owszem, mówię. On jest ostatni, i to właśnie nie on faktycznie zamordował mojego syna. Gdyby miał ochotę się przyłączyć, Charles, zapraszam. Ale musisz się z draniem spotkać, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi na tej ziemi.

Fergusona przeszedł dreszcz.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo nie najlepiej z moim sercem, Charles. To zadziwiające, jak whisky i pigułki potrafią podtrzymać człowieka. Tak czy siak, jeżeli ja go nie dopadnę, na pewno zrobi to pan Dillon.

— Na miłość boską, Helen.

— Nie, na moją własną miłość, Charles — odparła lady Helen i rozłączyła się.

Hanna, która się temu przysłuchiwała, spytała:

— I co pan na to, panie generale?

— Nie ma dowodu, który pozwoliłby nam ją aresztować.

— A zatem?

— Spotkam ją na lotnisku Gatwick. Dalej zobaczymy.

W DOONREIGH Docherty jadł śniadanie, kiedy zadzwonił telefon.

— Chciałbym polecieć na północne wybrzeże Norfolk — powiedział Barry. —
Do wioski Compton. Tam i z powrotem.

— Ile osób?

— Cztery, może pięć. Jeszcze dzisiaj. Docherty się zawahał.

— Bo ja wiem. W północnym Norfolk są korytarze wojskowe.

— Płac dziesięć tysięcy funtów gotówką. Zastanów się.

— Daj mi trochę czasu, Jack — poprosił Docherty. — Sprawdź mapy. Wtedy ci
powiem.

— Ile to potrwa?

— Godzin.

Barry trzasnął słuchawką i stał przy oknie, wpatrzony w deszcz. Nie był zły, był
podekscytowany. Co za kobieta!

SAMOŁOT prezydencki wystartował z Waszyngtonu. Jak zwykle oszołomił Dillona
panującymi w nim przepychami. Olbrzymie fotele, stoły z drewna klonowego. Stewardem
był sierżant sił powietrznych. Przyniósł kawę Johnsonowi, whisky Bushmills
Dillonowi, a następnie telefon komórkowy.

— To do pana, panie Dillon. Generał Ferguson.

— Wczesne śniadanie, panie generale?

— Sean, siedź cicho i słuchaj — przykazał Ferguson. — Miałem na linii lady
Helen.

— I co?

— Dowiedziała się wszystkiego od Tony'ego Emswortha przed jego śmiercią.
Miał nielegalną teczkę z tą okropną historią śmierci jej syna, trzymaną w tajemnicy
przez wywiad. Powiedziała Barry'emu. — Jedź do Compton Place. Chce go tam
złapać.

— Poważnie o tym myśli?

— Wiesz, co powiedziała? „Jeżeli ją go nie dopadną, na pewno zrobi to pan
Dillon”.

— Rzeczywiście? — odparł flegmatycznie Dillon.

— Nie mam pojęcia, co zrobi na Gatwick.

— To ja panu powiem — rzekł Dillon. — Nic, bo jej tam nie będzie. Sprawdziłem u meteorologów w Westhampton przed odlotem. Prognoza dla Wielkiej Brytanii była kiepska. Zimny front, mgła. Gatwick nie wpuszcisz. Dlatego moim zdaniem wyjdź gdzie indziej.

— W porządku, sprawdź.

— Proszę, to zrobi. I będziemy w kontakcie.

DOCHERTY powiedział przez telefon Barry'emu.

— Dobra, załatwi to. Mam swojego człowieka w północnym Norfolk. Go ciu nazywa się Clarke. Prowadził szkołę pilotażu w Shankley Down na dawnym lokalnym lotnisku z czasów drugiej wojny światowej. Szkoła zbankrutowała. Od tamtej pory organizuje nielegalny most lotniczy do Holandii przez trzydzieści.

— Dla mnie może sobie nawet latać na Marsa. I co, wchodzi w to?

— Tak. Już z nim gadałem. Shankley Down znajduje się najwyżej godzinę drogi od Compton Place.

— W porządku, będzie tam za dwie godziny. Barry wybrał kolejny numer.

— Tu Quinn — usłyszał w telefonie.

— Jack z tej strony. Mam pilny robot. Prywatny lot do Norfolk i z powrotem.

— A w przerwie między lotami?

— Zrobimy to, na czym znamy się najlepiej. Quinn się podniecił.

— A ilu?

— Ty, ja, Dolan, Mullen, McGee. Spotkajmy się za dwie godziny u Docherty'ego w Doonreigh. Jeśli chłopaki nie mogą, zrobimy to sami. Weźcie karabinki Armalite i broń czarna.

— Stawimy się wszyscy, Jack. W imię Synów Erynu.

LADY Helen Lang w golfstromie słuchała relacji pilota o warunkach atmosferycznych w Wielkiej Brytanii.

— Czyli nie najlepiej — podsumowała.

— Zawsze możemy wyjechać na Gatwick, lady Helen. Nad krajem mgły, ale jako się przedrzemy.

— A lotnisko East Midlands? Może tam jest lepiej?

— Z pewnościami lepiej niż na Gatwick.

Od początku zamierzała tam wyjechać, więc tylko się uśmiechnęła.

— W takim razie I dujemy tam. I tak jad do Norfolkku. Nawet b d miała bli ej.

BARRY W Doonreigh zastał na miejscu Quinna i reszt bandy, zgromadzonych w kantorku Docherty'ego, sprawdzaj cych bro . Jego wej cie spowodowało spore zamieszanie. Poklepywania po plecach, miechy.

— Co to za historia, Jack? — dopytywał si Quinn.

Barry jak zwykle umiał zapanowa nad sytuacj . Miał przed sob zgraj rzezimieszków, których nie powstydzilaby si mafia, ale musieli wierzy , e s szlachetnymi bojownikami o wolno .

— Panowie, walczymy rami w rami o wolno Irlandii. Wielu z nas po drodze poległo, zawsze w wyniku zdrady i nieuczciwo ci. Nie wiedzieli cie, e miałem filii Synów Erynu w Nowym Jorku. Czterech członków zastrzelono. — Zapadło milczenie. — Zrobiła to jedna kobieta. Wła nie j chcemy odwiedzi w Norfolkku. Chodzi o zapłat . Załatwimy j i zaraz wracamy. Kto nie chce, niech nie jedzie.

Pierwszy odezwał si Quinn.

— Przecie wiesz. Jack, e jeste my z tob . Barry klepn ł go w rami .

— Porz dny z ciebie facet. A teraz do dzieła. I ruszył do wyj cia.

FRONT atmosferyczny przesuwiał si nad Angli niczym jaka plaga, mgła unosiła si wsz dzie. Na lotnisku w Gatwick Ferguson i Hanna czekali w specjalnym holu dla ochrony, kiedy recepcjonistka ogłosiła:

— Telefon do pana, panie generale.

Lady Helen Lang najwyra niej miała dobry humor.

— Drogi Charles, tak mi przykro, e si min li my. Straszna ta pogoda. Wła nie wyl dowalam w East Midlands. Miałam szcz cie. Jad do Norfolkku. Mgła jeszcze zalega tu i ówdzie, ale ju si podnosi. A Hedley jest wy mienitym kierowc .

— Helen, to szale stwo. Posłuchaj, Dillon i Blake Johnson zd aj za tob trop w trop. Zostaw to im.

— Z Bogiem, Charles. — I odło yła słuchawk . Ferguson zadzwonił z komórki do Dillona.

— Złe warunki atmosferyczne zmusiły lady Helen do l dowania na lotnisku w East Midlands. Teraz jedzie samochodem do Norfolkku.

— No wi c?

— Posłuchaj. Powiedziała mi, e Barry ma tam przylecie . Pewnie nielegalnie,

zapewne wprost do Norfolku.

— Uważasz, że może być sama w Compton Place, kiedy on tam przyjedzie?

— Na to wygląda.

— Zawsze mógłby zadzwonić do komendanta policji w Norfolku i...

— Nie wygłupiaj się, Dillon.

— Ktoś musi wesprzeć — rzekł Irlandczyk. — Jest z nim poczciwy stary Hedley, ale Barry na pewno nie zjawi się sam. Znam go naprawdę dobrze.

— Samochodem do północnego Norfolku będzie jechała kilka godzin, a jest zdeterminowana. Co robimy?

— Przede wszystkim sprawdź, czy możemy wylądować w Farley Field. Lata stamtąd learjet pilotowany przez poruczników Lacey'a i Parry'ego, a ci mają dostęp do pewnego zbrojmistrza, który ma dosłownie wszystko. Tylko w ten sposób możemy dotrzeć do Norfolku z potrzebną bronią. Trochę znam tamto wybrzeże. Plaże są szerokie, zwłaszcza podczas odpływu. Lacey mógłby mnie tam zrzucić na spadochronie. Kiedyś tak skakałem.

Blake Johnson wychylił się i rzucił do telefonu.

— W takim razie proszę o dwa spadochrony. Dillon może miał się i powiedział Fergusonowi:

— Leci tu ze mną pewien stuknięty Amerykanin w średnim wieku, który też się zdecydował na skok.

— Obaj jesteście pomyleni — skwitował rzecz generał.

CHIEFTAIN wylądował na starym, walącym się pasie w Shankley Down, stanął przed hangarami. Na płycie lotniska stała zaparkowana cessna 310, obok stary ford transit, przy nim mężczyzna w kurtce lotniczej.

Wysiedli.

— Cześć, Clarke, wyglądasz pierwsza klasa — przywitał go serdecznie Docherty.

— Gdzie moja forsa? Docherty wyjął grubą kopertę.

— Dwa patole gotówką.

Clarke przeliczył, a Barry szturchnął go w ramię.

— Zgadza się?

Clarke spojrzał na Irlandczyka i jego kumpli. Dyskrecja, jak zawsze, była nieodłączną częścią odwagi.

— Dobra, czego tylko chcecie. Kluczyk jest w transicie. Barry poklepał go po policzku.

— Zuch chłopak. Wrócimy.

Skin ł głów do kolegów. Wsiedli do transita, Quinn siadł za kółkiem, odjechali.

GOLEFSTROM prezydencki wyl dowął w Farley Field. Dillon z Johnsonem wysiedli. Ferguson i Hanna już tam czekali, za nimi Lacey i Parry.

— Wszystko gotowe? — spytał Dillon.

— Szczegóły omówimy w rodku — zaproponował Ferguson. Zaprowadził ich do pustego pomieszczenia, gdzie na polowym

stole le ały spadochrony, dwa automaty ak 47 i dwa browningi. Dillon odwrócił się do Lacey.

— I co?

— Poka panu na mapie. — Lacey podszedł do drugiego stołu. Le ała tam mapa sztabu generalnego w du ej skali. — Tu jest Compton Place, nad morzem. Zatoka podczas odpływu robi się bardzo szeroka. Tak będzie dziś wieczorem.

— W jakim czasie tam dotrzemy?

— W czterdzie ci minut.

— Jedziemy z wami — powiedział Ferguson. — Mo emy was wyrzuci , a potem ruszymy na lotnisko Bramley, dwadzie cia minut lotu stamt d. Dojedziemy samochodem.

— Brawo. — Dillon spojrział znów na map i zwrócił się do Johnsona. — To by było na tyle.

On i Amerykanin zdali się na zbrojmistrza, podstarzałego starszego sier anta, który profesjonalnym okiem ocenił sprzę t. Ubrali się w kombinezony, przypili do ramion kabury na browningi, pobrali kałasznikowy ak 47.

Dillon u miechn ł się do Johnsona.

— No, to do dzieła.

KIEDY Hedley zajechał na podwórko w Compton Place i zgasił silnik, padał deszcz. Lady Helen wysiadła z samochodu i otworzyła kluczem kuchenne drzwi. Hedley wniósł baga e.

— Przebior się i pomy limy o godnym przyję ciu Jacka Barry'ego. — Uniosła r k . — Och. Hedley, na pewno się zjawi. Nie powstrzyma się . A poza nim Charles Ferguson, pan Dillon, Blake Johnson...

— Mam nadzieję , e zjawi się przed nim.

Wyjrzał przez okno. Tylko ciana mgły.

— Hedley, nie artuj. Jazda z Gatwick w takim mleku zabierze im kilka godzin. Schodz za kwadrans.

W sypialni przebrała się, włożyła jednoczęściowy kombinezon, sportowe buty do kostki. Następnie wyjęła z torebki swoją dwudziestkę piątek. Rozładowała, przykręciła tłumik, włożyła magazynek. Otworzyła szufladę, wyjęła cztery dodatkowe magazynki, poupychała po dwa do każdej kieszeni.

Potem wytrzymała z fiołki dwie pastylki na rękę, zawahała się, po czym wytrzymała jeszcze dwie. Weszła do łazienki, nalała wody, połknęła pastylki. Zeszła na dół. Hedley w kuchni parzył herbatę. Podał jej filiżankę.

— Gotów do wojny, Hedley?

— Dawno nie wojowałem.

— Pewnych rzeczy się nie zapomina. — Umiechnęła się. — Jesteś dobrym przyjacielem.

— Wobec pani nietrudno być przyjacielem. — Dopił herbatę, odstawił filiżankę. — A teraz chodźmy do stodoły. Tam zaczekamy. Ciekawe, kto przyjedzie pierwszy.

TRANSIT stanął pod sosnowym lasem naprzeciwko posiadłości w Compton Place. Mgła zaczynała się unosić. Możliwe było dojrzenie przez nie domy, zabudowania, a dalej morze.

— Zostawcie tu transita — powiedział Barry. — Kluczyki pod dywanikiem. Dojdziemy pieszo.

Kiedy zaczęli schodzić, deszcz rozpadał się na dobre. Doszli do zabudowania.

Hedley, na poddaszu stodoły, miał kałasznikowa z tłumikiem i noktowizorem, przez który zobaczył pięciu nadchodzących mężczyzn. Wycelował w Quinna i pociągnął za spust. Traf chciał, że Quinn w tym samym momencie odwrócił się, aby powiedzieć coś Barry'emu. Kula ominęła serce i trafiła w karabinek. Zatoczył się.

— Na ziemi! — krzyknął Barry. Wszyscy usłuchali. Podczołgał się do Quinna. — Nic ci nie jest?

— Chyba nie.

— Czyli ona tam jest i czeka. Trzymajcie się. A teraz rozsypujemy się i naprzód!

LEARJET przedarł się przez mgłę na wysokość trzystu metrów, po czym wzbił się nad wybrzeżem. Pilot Lacey ogłosił przez interkom:

— Nie jest najlepiej. Półamplituda pływ. Chyba lepiej będzie zrezygnować.
Generał odezwał się do Dillona i Johnsona.

— Teraz wasz głos, panowie.

— Tam do diabła! — Dillon chwycił drabkę, otworzył kłapki. — Kto by chciał żyć wiecznie? — Uśmiechnął się do Johnsona. — Cholera, w końcu jesteście starszy. Skacz pierwszy.

— Bardzo uprzejmy — odparł Johnson i kiedy tylko Lacey zszedł na wysokość dwustu pięćdziesięciu metrów, skoczył na głowę, a Dillon za nim.

Dość wiatr, mgła która biła się na mrocznym niebie. Dillon, wiedząc, że Johnson leci przed nim, sam też opadał, przekraczając się w strumieniu za migłowym learnerem. Pociągnął linki wyzwalając spadochron, spojrzał w górę i zobaczył samolot pikujący do góry.

Pod nim Johnson wylądował na piachu tuż nad morzem. Dillon, nieco za nim, skoczył w dwumetrową to bardzo słonej wody, wynurzył się i płynął ociężałe naprzód, bo tamował mu ruchy spadochron. Naciśnięty cznik szybko zwalniając, aby oswobodzić się ze sprężyny, po czym dobiegł do brzegu.

Johnson wyszedł mu na spotkanie.

— W porządku? Dillon skinął głową.

Wyszli na brzeg, przystanęli przy sosnach, po czym ruszyli w stronę domu. Wtem zobaczyli wybuch i słup dymu.

— Na moje oko to granat dymny — orzekł Dillon. — Chodźmy. — I zaczęli podbiegać pod górę.

KIEDY Quinn prowadził innych do stodoły, Hedley skupił się na Mullenie. Zabił go strzałem w głowę, po czym rzucił granat dymny. Reszta rozpięchła się i ostrzelała poddasze stodoły.

Hedley leżał teraz u szczytu schodów, głowę miał zwieszoną, kula utkwiała mu w prawym ramieniu.

Lady Helen kucnęła przy nim.

— Nic ci nie jest?

— Lekkie drażnienie. To drobiazg. Quinn wstał.

— Do roboty — pogonił kolegów. Ruszyli za nim.

Lady Helen uniosła browninga, którego Hedley dał jej wcześniej, i zaczęła strzelać raz po raz. Rozwaliła Quinna. Inni się wycofali.

— Dobra, chłopaki, do stodoły — zakomenderował Barry. — Nie mają dokąd uciec.

— Jack, to bardzo kiepski pomysł — zmitygował go Dolan. — Jak tylko wejdiesz, to ci odstrzelę łeb.

Barry wyjął beretta.

— Albo idziesz, albo sam ci odstrzelę łeb. No już, grzecznie po schodach.

Dolan, przerażony, ruszył, a Blake Johnson, który właśnie nie zjawił się na podwórku, ostrzelał go z kałasznikowa. Facet padł twarzą na kamienie.

Barry podszedł do McGee.

— Nie bój się, damy sobie radę.

Dillon zaszedł ich z drugiej strony stodoły i oddał serię z kałasznikowa.

— Jesteś tam, Jack?

— A to ty, Sean — odkrzyknął Barry. — Zawsze się zjawiasz za późno!

Johnson strzelił w kierunku Barry'ego, dostał ogniwą odpowiedź. W lewej ręce poczuł, jakby trzymał rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, upadł. Dillon oddał trzy serie, jedna trafiła McGee.

Zapadła cisza. Barry podczołgał się, uchylił drzwi stodoły, wsunął się do środka. Zobaczył kobietę na podłodze, ciągnął Hedleya w bezpieczne miejsce.

— Jestem — zawołał.

Odwróciła się, mierząc z browninga bez zmuślenia powiek.

Tymczasem Barry'emu zacięła się beretta. Mocował się rozpaczliwie z zamkiem, i wtedy stało się coś dziwnego. Lady Helen, jakby chcąc złapać powietrze, zachwiała się i osunęła na kolana. Barry wyrzucił jeden magazynek, włożył drugi, wycelował... i wtedy Dillon wpadł do stodoły.

— Nie! — krzyknął i strzelił. Kula drasnęła Barry'ego w twarz. Odskoczył z krzykiem.

Po chwili jednak wziął się w garść i zaczął strzelać przed siebie na olep, a Dillon musiał przykucnąć, a następnie wybiegł tylnymi drzwiami.

Dillon zerwał się i wbiegł na górę.

Zastał tam Hedleya pochylonego nad lady Helen. Miała poszarzałą twarz. Ukłonił przy niej.

— Co się stało? — zapytał.

— Serce, panie Dillon. Już od pewnego czasu żyłam darowanym życiem. Załatwili mi ich? — spytała słabym głosem. — Ale proszę o prawdę...

— Jego band chyba tak, Barry'ego nie.

— Szkoda. Zamkn ła oczy.

Po chwili na podwórko zajechali land roverem RAF-u Charles Ferguson i Hanna Bernstein.

DILLON uwijał si mi dzy ciałami. ył tylko Quinn, postrzelony kilka razy w krzy owym ogniu.

— Dillon? — j kn ł.

— Wszyscy lwoi kumple nie yj .

— A Jack?

— Och, diabeł zawsze umie si o siebie zatroszczy . Umkn ł.

— Sukinkol.

— Dok d mógł uciec?

Quinn zdobył si na upiorny u miech.

— Powiem, jak mi dasz papierosa.

Dillon wyj ł srebrn papiero nic . Papierosy w rodku nie przemokły, mimo jego skoku do wody. Pocz stował Quinna, przypalił zapalniczk Zippo.

Quinn, ledwie ruszaj c ustami, powiedział:

— Przylecieli my z Doonreigh Chieftaincm z Dochertym. Pami tasz go?

— Pewnie.

— Wyl dowali my na starym pasie do l dowania niedaleko st d. W Shankley Down. Docherty miał tam czeka . — Głos mu si załamywał. — Jack zawsze my li tylko o sobie. Chciał wróci do Ulsteru i machn na nas wszystkich r k . Do Hiszpa skiej Kopy. Jego wilczej nory.

— Trzymaj si — rzeki Dillon. — Jeszcze go dopadn . Pami tasz, e umiem lata wszystkim, co ma skrzydła. Czy w Shankley Down był jaki drugi samolot?

Quinn skin ł głow .

— Był. Taki mały z dwoma silnikami. Do którego wchodzi si po skrzydle.

— Cessna trzysta dziesi — mrukn ł Dillon.

— Załatw tego drania, Dillon.

Papieros wypadł Quinnowi z r ki, głowa opadła na bok. Dillon podszedł do Fergusona, który powiedział:

— Posłałem po ludzi, którzy zajm si ciałami. A ten? Wskazał na Quinna, a Dillon pokr cił głow :

— Nie yje. Czterech nie yje.

— Którego z nich znam?

— O, b dzie pan zachwycony. Czterech z listy najbardziej poszukiwanych.

Hanna Bernstein wyj ła z land rovera RAF-u apteczk . Opatrzyła Johnsonowi r k .

Hedley wci pochylał si nad lady Helen. Dillon przykl kn ł. U miechn ła si .

— Czyli dra uciekł, panie Dillon. Wielka szkoda. Dillon wzi łj za r k .

— Tak mu si tylko zdaje. Przysi gam, lady Helen, dopadn go w pani imieniu.

— Zwrócił si do Fergusona. — Ostro nie wnie my j do rodka.

— Ale to zagmatwana sprawa, Charles — skomentowała lady Helen. — Nie wypadnie najlepiej w prasie.

— Wcale si nie dostanie do prasy — odparł Ferguson. — Moi ludzie wywioz tych mieci do Londynu, gdzie spali si ich w pewnym krematorium. Do rana przerobimy ich na kilka kilogramów popiołu, który wyrzuci si do Tamizy.

— I mo esz to zrobi , Charles? Poło ył jej r k na ramieniu.

— Mog wszystko.

— Zostawiam to panu — powiedział Dillon. — Ja bior land rovera.

— Co to ma znaczy ? — spytał Ferguson.

— Quinn powiedział mi, e przylecieli do Shankley Down chieftainem pilotowanym przez mojego starego przyjaciela nazwiskiem Docherty. Podejrzewam, e Jack wła nie startuje.

— Ale co mo esz zrobi ?

— Lotnisko prowadzi niejaki Clarke. Ma tam cessn trzysta dziesi . B d cigał Jacka Barry'ego a do bram piekła. Chyba wiem, dok d zmierza.

— Do Hiszpa skiej Kopy? — domy lił si Johnson.

— Strzał w dziesi tk .

— Ale gdzie wyl dujesz, Sean?

— Znam to miejsce z dawnych lat. Pod Kop s wspaniałe pla e podczas odpływu.

— W takim razie — zaferowała si Hanna Bernstein — mo e pojad z nim, panie generale.

— Jeszcze czego — obruszył si Dillon.

— Co ci powiem, Dillon. eby st d odjecha , musisz mie kluczyki do land rovera, które s w moim posiadaniu. Po wtóre, nie masz prawa działa bez policji, a

jako nadinspektor z wydziału specjalnego b d j reprezentowa .

— Twarda z ciebie kobieta.

— S dziłem, e przekonałe si o tym ju wcze niej — rzekł Ferguson. —
Prosz tylko o jedno. B d my w kontakcie.

KIEDY Barry przyjechał do Shankley Down, Docherty i Clarke stali przed hangarem i palili. Transit zahamował. Barry wysiadł.

— Dobra. No, to ruszamy — powiedział.

— A tamci? — spytał Docherty.

— Nie przyjad — odpad Barry. — Wszyscy nie yj .

— Czekaj no — powiedział Clarke. — Co to za historia?

Barry wyj ł berett i zabił pilota strzałem mi dzy oczy, po czym obszukał jego kieszenie i wyci gn ł dwa tysi ce funtów. Kiedy podniósł wzrok. Docherty patrzył na niego z kamienną twarzą .

— Jack?

— Co poszło nie tak. A teraz ruszamy. — 1 pchn ł Docherty'ego w stronę chieftaina.

Po chwili sun li ju pasem startowym w ród gło nego ryku i wzbili si w ciemno ci.

CZTERDZIE CI minut pó niej Dillon z Hann zatrzymali si przy zwłokach Clarke'a.

— Wida , e Barry t dy przeszedł — stwierdził Dillon. — Zawiadam Ferguson, e jest tu jeszcze jeden denat.

Pobiegł pasem startowym, wspi ł si po skrzydle na cessn , wsiadł z lewej strony, sprawdził błyskawicznie przyrz dy. Po chwili doł czyła Hanna.

— Wszystko w porz dku?

— Zbiorniki pełne, je eli o to pytasz. On ju jest w drodze, a chieftain jest znacznie szybszy od nas. Dom Docherty'ego w Doonreigh znajduje si przeszło sze dziesi t kilometrów od Hiszpa skiej Kopy. Na pewno wła nie tam dra wyl duje. Dogoni go, bo wyl duj na pla y.

— A co teraz jest? Przyptyw czy odpływ?

— Sprawdzimy po drodze. — Wł czył silniki. — Je eli co ci si nie podoba, polec sam.

— Id do diabła, Dillon.

Zamknęła drzwi kabiny, zapisała pas i sięgnęła po drugie słuchawki.

— Nastaw na piękność — powiedział. — Podaj pogodę dla całego kraju. Poszukaj Ulsteru.

Sam też włączył słuchawki, po czym ruszył przed siebie w deszcz. Umiechnął się do niej, rozpadził maszynę i z rykiem silnika wzniósł się w powietrze.

NIESPEŁNA dwie godziny później Dillon leciał nad Morzem Irlandzkim. Lecił nisko, na wysokość najwyżej czterystu pięćdziesięciu metrów, toteż widział plażę i skały Irlandii Północnej, czarne w świetle księżyca. Sprawdził na mapie rozłożonej na kolanach i skierował nieco na zachód.

— No dobrze. A teraz prosto. — Opuścił się na wysokość niecałych dwustu metrów. — Jest tylko jeden szkopuł. Przyplądź nadciąga tam szybko.

Minęła skały i zamek w dole.

— Jesteśmy na miejscu? — zapytała Hanna.

— Tak, to Hiszpańska Kopa.

Zawrócił raz jeszcze w stronę morza, położył się na skrzydło, wysunął podwozie.

— No to koniec podróży, Hanno. Spróbuj się teraz pomodlić. A nuż pomożemy.

Białe grzywacze rozbijały się o brzeg, nie bardzo było gdzie usiąść. Dillon zszedł na wysokość pięćdziesięciu metrów nad wodę, po czym wylądował. Koła zaryły w mokrym piachu nie dalej niż pół metra od wody, cieszna przechyliła się i trafiła nosem w jedyny wolny skrawek plaży.

Kiedy wyłączył silnik, zapadła głucha cisza. Umiechnął się.

— Ładny widoczek.

— Nie wiesz sobie nigdy więcej czego podobnego — oświadczyła Hanna Bernstein. — Wypraszam sobie. Możemy wysiść?

Przemierzali plażę, znaleźli drogę między dwiema skałami. Doszli na szczyt, ale zamek był zamknięty na cztery spusty.

— I co teraz? — spytała Hanna.

— Idziemy do stróżówki — powiedział Dillon i ruszył pewnie prosto przed siebie.

STARY John Harker stał w kuchni i czekał, aż zagotuje się woda w czajniku. Wtem poczuł powiew powietrza na policzku. Odwrócił się, zobaczył w otwartych drzwiach Dillona, obok Hannę.

— Pamięta mnie pan? — spytał Dillon.

— Bo e wi ty! — zawołał Harker.

— Zjawił się lord panicz?

— Dziesięć minut temu. Skąd pan wiedział?

— Wiem wszystko. A teraz bierz pan latarnię i prowadź nas przez ogród. W zamku powiem ci, co masz robić dalej.

— Co pan każe. — Harker zawahał się. — Czy to jego koniec?

— Tak chciałbym się dowiedzieć.

— Dzięki Ci, Panie. — Harker zdjął latarnię elektryczną z kołka. — W takim razie idziemy.

BARRY stał zamyślony w bibliotece, popijał ulubioną whisky i patrzył na portrety swoich przodków.

Wtem drzwi za nim się otworzyły. Weszli Dillon z Hanną. Dillon był nieuzbrojony, za to Hanna trzymała walthera w lewej ręce.

— Sean, do cholery, czy by trzymał z diabłem?

— Czasami.

Barry uśmiechnął się.

— Bóg jeden wie, jak tu trafiłem.

— Tak samo jak ty, tyle że wylądowałem na plaży.

— A co zostawiłeś w Compton Place?

— Wszyscy twoi ludzie nie żyją, Blake Johnson został trochę pokiereszowany.

— A co z lady Helen? — zapytał nerwowo Barry. — Czy nic jej się nie stało?

— Serce trochę nie w porządku. Przeszła atak serca.

— Już prawie miałem, ale w tym momencie pistolet mi się zaciął, a ona wtedy upadła.

Tu wtrąciła się Hanna Bernstein.

— Może się przedstawi? Hanna Bernstein. Nadinspektor z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Muszę pana ostrzec...

Barry cisnął w nią szklankę, uchylił się, gdy do niego strzeliła, skoczył przez ukryte przejście w cianie, i już go nie było.

— Za nim — rzucił Dillon i skoczył do drzwi.

Wpadli do holu wejściowego, drzwi frontowe były otwarte. Harker stał na ganku, z latarnią w ręce.

— Ukryte przejście z biblioteki wychodzi tu do głównego holu. Właśnie mnie

minął. Pobiegł przez zagajnik w stronę skał.

Dillon rzucił się jak szalony w pogonę, Hanna za nim, a w ślad za nimi Harker.

BARRY biegł pochylony przez zagajnik. W lewej ręce trzymał berettę. Nie wiedział właściwie, dokąd biegnie.

Nie mógł przestać myśleć o Helen Lang. Dobiegł do cieki prowadzącej w dół do Rynny. Tu pod nim biała piana rozpryskiwała się z rykiem. Stanął, odwrócił się, wycelował berettę w nadbiegającego Dillona.

Ale Dillon błyskawicznym ruchem wykręcił mu rękę i stanął z nim twarzą w twarz. Trzymał mocno jego prawy nadgarstek, po czym nagle szarpnął go do góry. Barry ryknął, kiedy trzasnęła kula. Dillon z całej siły pchnął go ze schodów. Rozległ się ostatni rozpaczliwy krzyk i piana w Rynnie znów chlusnęła do góry. Stary Harker uniósł wysoko latarnię.

— Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece, ale co z pana za człowiek?

— Czasami sam się zastanawiam. — Dillon zwrócił się do Hanny. — Zadzwoń z komórki do Fergusona. Niech Lacey i Parry przylecą tu po nas learjetem.

— Oczywiście. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Nic ci nie jest?

— Absolutnie.

Piana w Rynnie znów trysnęła fontanną do góry.

— To był łotr nad łotrami, ten Jack. A teraz morze go zabrało, i koniec.

NAZAJUTRZ Dillon siedział z Hanną i Fergusonem przed prywatną salą w londyńskiej klinice. Hedley wyszedł z niej w uniformie szofera.

— I jak się czuje? — spytał Ferguson.

— Nie najlepiej. Pytała o pana Dillona.

Dillon wstał i wszedł na salę. Lady Helen wpołyła wsparta o poduszki, w lewej ręce miała kroplówkę, poza tym była podłączona kilkoma przewodami do jakichś urządzeń. Przyłóżku siedziała pielęgniarka.

Dillon podszedł bliżej.

— Lady Helen? Otworzyła oczy.

— Charles powiedział mi, że podobno pan go załatwił.

— Zgadza się.

— Czyli to koniec Synów Erynu. Jeden z nich nie żyje, nawet Łucznik. Ale wie pan co? Nie przywróciło mi to Petera.

— Wiem.

Wziął ją za rękę. Umiechnęła się.

— Panie Dillon, pan ma się za takiego łajdaka, a jest pan chyba jednym z najbardziej moralnych ludzi, jakich znam. Proszę o tym nie zapominać.

Zamknęła oczy, ręką jej się osunęła, jedno z urządzeń wydało dziwny odgłos.

Pielgniarka wkroczyła do akcji, Dillon wyszedł.

Ferguson i Hanna wstali.

— Odeszła? — spytał generał.

— Ale nie z naszej pamięci — odparł Dillon, dziwnie wzruszony.

— Nigdy jej nie zapomnę. — Położył rękę na ramieniu Hedleya.

— Przejdźmy się po ogrodzie. Marzę o papierosie.

TYDZIEń później jechali z Londynu do Compton Place.

— I co powiedział wtedy premier? — spytał Dillon.

— Bardzo uważał, oczywiście, lady Helen.

— Chyba tak jak my wszyscy.

— Ale był zadowolony z przebiegu akcji. Mogło się przeciesko czy rzezi.

— Czyli panowie premier i prezydent odetchnęli z ulgą. Pochwalili swoją piechotę — powiedział Dillon. — Znowu wyznaczył mi pan rolę kłosa publicznego, tylko tym razem także Hanna i Blake musieli odegrać swoją rolę.

— Taka to gra, Dillon — skwitował Ferguson.

Wjechali do wioski. Parking przy kościele Najświętszej Marii Panny i Wszystkich Świętych był prawie pełny. Sporo samochodów parkowało wzdłuż ulicy.

— Mój Boże, cóż za pojęcie — powiedział Ferguson.

— To prawda. Zdążyłem się przekonać, jak bardzo ją kochano.

— Dillon spojrzał na zegarek. — Jeszcze czterdzieści minut do rozpoczęcia ceremonii. Nie wiem jak wy, ale ja muszę się napić. Skocz do pubu. Jeśli nie chcecie mi towarzyszyć, to zobaczymy się w kościele.

— Ja też bym sobie gołnął. — Ferguson spojrzał na Hannę. — Jeśli pani pozwoli, pani nadinspektor.

— Jak najbardziej.

Podjechali słabym daimlerem do pubu. Weszli, w środku panował tłok. Nie tylko miejscowi w odświętnych strojach, ale też wielu gości. Hetty Armsby w czarnej garsonce uwijała się przy barze. Pomagały jej dwie miejscowe dziewczyny.

— Boże miłosierny — zdumiał się Ferguson. — Dwóch hrabiów, jedna księżna, niech mnie kule, jeśli nie siedzi tam dowódca Gwardii Szkockiej. Przywitam się.

— Stary brytyjski system klasowy — krótko skomentował Dillon, zwracając się do Hanny. — Precyzyjnie się do baru. Zaczekaj tu na mnie, proszę.

Kiedy dotarł, zapytał Hetty:

— Nie macie przypadkiem szampana w lodówce?

— Może się znajdzie mała butelka. — Zmarszczyła brwi. — Ale szampana?

— Dziwi się pani, że na pogrzebie? — Zapalił papierosa. — Chciałbym wypić za zdrowie chyba najwiskiej damy, jak znałem.

Twarz barmanki rozjaśniła się w uśmiechu, pod wpływem nagłego impulsu wychyliła szyję i cmoknęła go w policzek.

— Bo i była najlepsza, bez dwóch zdań. Przyniosła szampana.

— Dwa kieliszki — poprosił.

— Może jednak trzy — rozległ się znajomy głos. Dillon odwrócił się. Za nim stał Blake Johnson z lewej strony na temblaku.

— A ty, skąd się tutaj wzięła? — zdumiał się Dillon.

— Decyzja pana prezydenta z ostatniej chwili. Przysłał mnie tu z prywatnym wieńcem od siebie.

Wziął kieliszek szampana, Dillon pozostałe dwa. Johnson pocałował Hannę w policzek.

— Jak zwykle miło pani widzieć.

— Mnie ciebie też, Blake. No, to za Helen Lang, wielką damę. Uniosła kieliszek, a oni przyłączyli się do toastu.

DILLON nie był człowiekiem religijnym. Kiedy stał z tyłu w zatłoczonym kościele, gdzie odprawiano nabożeństwo ałobne, niewiele do niego docierało. Chociaż w końcu wyszedł, stanął z boku na deszczu, poczekał na Hannę i Fergusona.

Wkrótce, jak na zawołanie, zjawił się przy nim Hedley z dużym czarnym parasolem.

— Kolejny banał, Hedley, prawda? — skomentował Dillon. — Jak jest pogrzeb, to musi padać.

— Zło ci to pana, panie Dillon?

— Uważam, że zasłużyła na coś lepszego.

— Przecież załatwił pan dla niej tego łotra.

— Tylko to mnie cieszy.

Stali z boku, kiedy wynoszono trumnę z kościoła. Kondukt ruszył na cmentarz

do mauzoleum rodzinnego Langów.

— Co za kobieta — powiedział Hedley. — Wie pan, co dla mnie zrobiła?

— Zaraz się dowiem.

— Zadzwoił do mnie jej adwokat. Przekazała mi w spadku milion funtów i dom przy South Audley Street.

Dillon szukał wła ciwych słów.

— Bo ci kochała, Hedley. Chciała ci zabezpieczy . Łzy stan ły Hedleyowi w oczach.

— Panie Dillon, to tylko pieni dze. A co one w ko cu warte?

Dillon poklepał go po ramieniu, kondukt min ł ich, przył czyli się do reszty ałobników. Razem z nimi Ferguson, Hanna Bernstein i Johnson.

Trumn spuszczone powoli do podziemi, wikary wygłosił wspaniał mow , zatrzasn ły się drzwi z br zu. Pod tablic po wi con majorowi Peterowi Langowi pojawiła się nast pna:

Helen Lang

Pozostanie w wielu sercach Zmarła 1999

JACK HIGGINS

Trudno chyba o bardziej niezwykłego zabójc ni osoba bohaterki w *Zdrajcy w Białym Domu* Jacka Higginsa. Autor twierdzi, e pomysł postaci lady Helen Lang podsun ła mu te ciowa, bardzo ywotna kobieta dobrze po siedemdziesi tce.

Orzeł był dowół, bestseller, który przyniół Jackowi Higginsowi mi dzynarodow sław , równie powstał z przewrotnego pomysłu. „To była odwrotno typowej historii — wspomina Higgins. — Bo dobrzy faceci walczyli o niesłuszn spraw . Z pocz tku powie nie podobała się nikomu w bran y. A w ko cu sprzedano przeszło dwadzie cia sze milionów jej egzemplarzy w pi dziesi ciu j zykach". Podczas gdy pisarz po wi ca sporo czasu na studiowanie ródeł historycznych przy powie ciach rozgrywaj cych się w latach II wojny wiatowej, to nie potrzebuje specjalnych bada dla potrzeb współczesnych powie ci, takich jak *Zdrajca w Białym Domu*. Dysponuje bowiem doskonał znajomo ci

mi dzynarodowej działalno ci terrorystycznej, realiów polityki czy brytyjskich słu b specjalnych. Tworzenie sylwetek takich twardzieli, jak Jack Barry czy Sean Dillon przychodzi mu bez trudu. Wychował si w Shankill, dzielnicy Belfastu, i znał wielu bojowników po obu stronach barykady.

Jack Higgins niedawno obchodził siedemdziesi te urodziny, ale nie ustaje w pracy pisarskiej.